

Joanna Kupniewska

**POLICJA**

**ROZUM  
KONTRA SERCE**

NOVAE RES

Joanna Kupniewska

ROZUM  
KONTRA SERCE



**NOVAE RES**

## ROZDZIAŁ 1

Dzwonek budzika terkotał przerażająco. Wwiercał się w mózg niczym gigantyczna dżdżownica w permakulturową ziemię. *Ratunku! Przecież dziś jest pierwszy stycznia. Co za dureń nastawił budzik...? Aaa... no tak, przecież to ja...* Półprzytomna Anna wyciągnęła rękę, żeby uciszyć przeraźliwy dźwięk alarmu. Energicznie klepnęła w miejsce, gdzie zawsze stało owo narzędzie tortur, lecz zamiast boskiej ciszy rozległ się dziwny plask. Jej dłoń, zamiast w przycisk budzika, trafiła w coś niespodziewanego. Ciepłego i miękko uginającego się pod naciskiem. Zdezorientowana, przesunęła rękę centymetr niżej i lekko ugniatając, próbowała określić naturę dziwnego przedmiotu.

Palcami złapała mięsisty, lekko wilgotny cieniutki wałeczek. *Co za cholera?* - pomyślała. Nie mając pojęcia, co to takiego, i nie będąc jeszcze w stanie całkiem otworzyć oczu, przesunęła palce jeszcze niżej. Tym razem faktura obiektu okazała się mniej przyjemna i Anna poczuła dotyk szorstkich włosków. *Coś jakby... zarost? Jasna cholera! Zarost?!* Jej powieki nagle odzyskały wigor, podniosły się i kobieta nie mogła uwierzyć własnym oczom. *Jeszcze śpię?*

Rozejrzała się niepewnie dookoła. Żyrandol nad łóżkiem wyglądał tak, jak zawsze. W rogu sufitu pięknie prezentowała się

spora pajęczyna - też tak, jak zawsze. Na oparciu fotela stojącego obok łóżka malowniczo udrapowana wisiała jej czerwona sukienka, w której bawiła się na sylwestrowym balu, a na środku pokoju leżały czarne szpilki. Zaniepokoiła się lekko, widząc marynarkę w rozmiarze XXL, rzuconą równie niedbale obok jej kreacji.

*Wszystko znajome, skąd tylko, do cholery, wziął się ten facet w moim łóżku?*

Faceta nie obudził ani dzwonek wciąż terkoczącego budzika, ani macanko po twarzy. Ślinił się i uśmiechał lekko przez sen, jakby śnił co najmniej o grze wstępnej. Anna wyłączyła budzik i szarpnęła bezlitośnie osobnikiem, nie bacząc na to, że być może jego sen wkroczył właśnie w kulminacyjny moment.

- Ej, ty! Wstawaj!

Facet zamruczał niechętnie i obrócił się na lewy bok. Razem z pomrukiem doleciał do Anny niezbyt przyjemny zapach przetrawionego alkoholu.

- Ej, facet!

Anna nie zamierzała się poddawać i szarpnęła mężczyznę jeszcze raz, równie jednak bezskutecznie, jak poprzednio. Westchnąwszy bezradnie, spojrzała na jego twarz. *Hm... kto to jest?* Po dokładniejszym zlustrowaniu coś jakby zaczęło jej świtać.

Wczorajsza impreza była naprawdę udana. Jak co roku, komendant choszczeńskiego posterunku zorganizował dla swoich pracowników zabawę sylwestrową. Starszy aspirant Anna Sikora, wystrojona w czerwoną krótką sukienkę i buty na odwrotnie proporcjonalnych do długości sukienki obcasach, wybrała się na ów bal w towarzystwie dobrego kumpla z pracy - Tomasza.

Miała trzydzieści dziewięć lat i chyba za duże wymagania, bo mimo licznej rzeszy przyjaciół i znajomych nie zaznała jeszcze walki serca z rozumem, czyli - innymi słowy - żaden facet nie powalił jej na kolana. Facetka też nie. Anna mieszkała samotnie w niewielkiej

kawalerce w centrum Choszczna i sypiała bez towarzystwa. No, przynajmniej do zeszłej nocy.

Odsunęła kołdrę i spojrzała na swoje ciało. *Chyba wszystko okej...* – pomyślała ze sporą dawką lekko irracjonalnego optymizmu, podziwiając grube skarpetki na swoich stopach i korekcyjną bieliznę, która znajdowała się tam, gdzie powinna. *Te gacie są tak antykonceptyjne, że tylko prawdziwy desperat rzuciłby się na mnie* – oceniła swój wygląd z zasłużoną samokrytyką.

Pochrapujący lekko mężczyzna nie wyglądał na desperata. Spod kołdry wystawał ogolony łeb, ale twarz była całkiem przyjemna dla oka. Ręka podłożona pod głowę mogłaby posłużyć studentom anatomii jako żywy wzorzec prawidłowego umięśnienia kończyn górnych. Z drugiej strony łóżka wystawały stopy w garniturowych skarpetkach i na ich podstawie Anna wywnioskowała, że garderoba intymna śpiącego słodko osiłka również jest w odpowiednim miejscu.

Pokrzepiona swoimi spostrzeżeniami wstała z łóżka i poszła pod prysznic. Po dwudziestu minutach, ubrana w dresowe spodnie i fioletową koszulkę, wróciła do pokoju z kubkiem kawy w dłoni. Sytuacja w pomieszczeniu nie zmieniła się zbyt wiele, pomijając fakt, że facet leżał na drugim boku, a oprócz stóp z pościeli wyłaniały się długie, owłosione łydki. Zegar na ścianie wskazywał godzinę dziesiątą dwanaście. Anka włączyła głośno telewizor, usiadła w fotelu, z którego zrzuciła wcześniej ubrania, i popijając mocną kawę, usiłowała rozwikłać tajemnice zeszłej nocy.

Sylwestrowa impreza odbywała się tego roku w Klubie Sportowym „Błyskawica”. Razem z dużym gronem policyjnym bawili się członkowie choszczeńskiej drużyny kajak polo i inni maniacy sportowi. Do północy obie grupy trzymały się własnych stolików i kieliszków, ale po noworocznych toastach zapanował radosny rozgardiasz. Tomek przyprowadził do policyjnego stolika jakąś dobrze zbudowaną zawodniczkę, przy której nie tak znowu drobna

Anna wyglądała niczym dziecko Etiopii.

Woląc nie narażać się na ewentualną konfrontację z olbrzymką, Anna usiadła przy pełnym mięśniaków stoliku obok. Wysoka blondynka w krótkiej sukience została przyjęta bardzo entuzjastycznie i resztę wieczoru przetańczyła na parkiecie, co chwilę zmieniając umięśnione, ledwo mieszczące się w białych i błękitnych koszulach ramiona. Szczególnie interesujące wydały się jej ramiona Jacka, lidera choszczeńskich kajakarzy, który zarówno rękoma, jak i nogami poruszał z całkiem niezłą koordynacją, nie miała więc obawy, że partner wyłoży się razem z nią pod nogi innych wirujących par. Jego język nie miał już jednak aż takiej sprawności, więc o czym rozmawiali i czy w ogóle – nie mogła sobie przypomnieć. A już tym bardziej nie mogła pojąć, jakim cudem Jacek znalazł się w jej łóżku.

Nie wiadomo, co spowodowało, że mężczyzna zaczął wracać do świata żywych. Bębniący prawie na cały regulator telewizor, zapach kawy czy może wzrok policjantki, wbijający się uporczywie w jego twarz. Chrapnął jeszcze raz, podrapał się po łysej głacy, puścił głośnego bąka i otworzył oczy. Przez chwilę leżał nieruchomo, patrząc bezmyślnie w sufit, po czym gwałtownie usiadł i wbił w Annę przerażony wzrok.

- Rany boskie! Kto ty jesteś?

- Polak mały.

Z umiarkowaną ciekawością Anna obserwowała zmieniający się wyraz twarzy Jacka. Po pierwszym niepokojem w oczach mężczyzny pomału zaczęły przebijać błyski zrozumienia.

- Hanka? Ta policjantka w czerwonej kiece? - Rzucił okiem na wiszący na drzwiach szafy mundur. - Zbroiłem coś i mnie aresztowałaś?

- Przede wszystkim: Anka. Chyba nic nie zbroiłeś... Na twoje szczęście.

Postanowiła być łagodna. W końcu nie wiadomo, czy sama go zaprosiła, czy też on był na tyle przekonujący, że udzieliła mu schronienia na tę zwariowaną noc.

- Chcesz kawy?

Łysy łeb ostrożnie poruszył się w górę i w dół, Anna wstała więc i skierowała się w stronę kuchni. Celowo spędziła tam kilka dobrych chwil, aby dać Jackowi czas na ogarnięcie się. Wracając z kawą, stwierdziła, że mężczyzna nie skorzystał z darowanych minut i dalej siedział półnago w jej łóżku. *Faceci...* - pomyślała z lekką pogardą. *Ja byłabym już ubrana, umalowana i uczesana w sto warkoczyków.* - Podeszła do komody i wyciągnęła czysty ręcznik.

- Idź się wykapać, jak chcesz, a przy śniadaniu pogadamy. No, chyba że już lecisz? - dodała z nadzieją w głosie.

- Z przyjemnością wezmę prysznic. Dzięki.

Upewnił się chyba wcześniej, że nie błysnie nagle klejnotami, bo śmiało odsunął kołdrę i zgrabnie wyskoczył z łóżka. Stał na palcach niczym baletnica, przeciągnął się, unosząc ręce i prawie strącając z sufitu żyrandol. Po kilkunastu sekundach napiął mięśnie klatki piersiowej i na oczach zdumionej policjantki jego sutki wykonały energiczny taniec go-go. Chwilę później podobny taniec wykonały mięśnie pleców i brzucha. Nie był to koniec prezentacji atletycznego ciała, gdyż po wykonaniu dwóch jaskółek, po jednej na każdą nogę, Jacek zakończył swój show spektakularnym szpagatem i z dumą popatrzył na stojącą nieruchomo kobietę.

- I niby co? Brawo mam teraz bić?

Anna ironicznie podniosła jedną brew. Baletmistrz podniósł się z podłogi, bez słowa wziął ręcznik i z urazą w oczach poszedł do łazienki. Anka poczuła lekkie wyrzuty sumienia. *Mogłabyś być trochę miłsza* - zganiła się w myślach. Po chwili jednak wzruszyła ramionami i włączyła program popularnonaukowy.

Ubrany w wymiętoszoną koszulę i bokserki Jacek patrzył z niechęcią w talerz, który postawiła przed nim gospodyni. Z ciężkim westchnieniem podniósł na nią wzrok.

- Szkoda, że piersi nie masz...

- Wiesz co, nie bądź bezczelny! - zbulwersowała się do żywego kobieta. - Może nie są to jakieś balony, ale całkiem spore C.

Mężczyzna zdumiał się jej słowami, lecz po chwili kąciki jego ust zadrgały wesoło.

- Ty to żartownisia jesteś. O kurzych mówię przecież, nie o twoich. Te parówki to zabójstwo dla figury. Jadam tylko drób, warzywa i ryż. Nie masz czegoś innego?

Ance zrobiło się trochę głupio, bo naprawdę nie załapała sensu wypowiedzi Jacka, a uważała się za całkiem inteligentną dziewczynę. Po chwilowej konsternacji z lekkim sercem zrzuciła spadek IQ na wypity wczoraj alkohol.

- Mam jeszcze mrożoną pizzę, jeśli wolisz.

- No, trudno... - Pan dietetyk zrobił jej łaskę. - Już niech będą te parówki...

Mimo kręcenia nosem zeżarł ich z pięć, zanim mogli porozmawiać.

- No więc jakim cudem znalazłeś się u mnie? Bo, powiem szczerze, nie bardzo pamiętam.

- No jak to? Odprowadziłem cię do domu i mnie zaprosiłaś.

Anka poczuła, że na jej twarz wypływa zdradziecki rumieniec, nie traciła jednak fasonu.

- Serio? A ty tak od razu się zgodziłaś?

- Obiecałaś, że mnie nie zgwałcisz.

- I mimo to się zdecydowałaś?

Jacek uśmiechnął się pełną gębą.

- Miałem nadzieję, że zmienisz zdanie. Ale niestety nie zmieniłaś



- dodał uspokajająco. - Zdążyłaś tylko zrzucić kieckę i padłaś do łóżka w tych wielkich galotach, zanim obmyśliłem strategię.

Rumieniec podstępnie ogarnął również szyję Anki.

- W swoim domu mogę spać w tym, co mi się podoba. - Policjantka przyjęła bojową postawę.

- Dobra, dobra... Nie denerwuj się. Wiem przecież, że to gacie odchudzające. Moja matka też takie nosi.

Ręka Anny odruchowo powędrowała w stronę paska, za którym zazwyczaj nosiła broń.

- No, nie chciałem powiedzieć, że jesteś w wieku mojej matki... - wykręcał się spanikowany mężczyzna. - Ani oczywiście, że jesteś gruba... - Pogrążał się coraz bardziej.

Anka pochyliła się nad nim z żądzą mordy w oczach.

- No, daj spokój... - Jacek zaczął w panice wciągać spodnie, złapał w biegu marynarkę i ruszył do drzwi. - Dzięki za przenocowanie i za jedzenie. Zdzwonimy się...

Trzasnął drzwiami i z klatki schodowej dobiegł tupot eleganckich pantofli zbiegających szybko po schodach. Anka uśmiechnęła się z satysfakcją. Po chwili zaśmiała się głośno, sama do siebie. *Uwierzył, że chcę go palnąć. Dobra jesteś, pani władzo...* - pomyślała zarozumiale i położyła się do łóżka, z zamiarem zdrzemnięcia się jeszcze z godzinkę.

Na świąteczny obiad umówiona była do swojej kuzynki Marioli Mężyk, która wraz z mężem Jerzym prowadziła pogotowie rodzinne w oddalonych o szesnaście kilometrów Jagodzicach. Oprócz tego, że łączyło je pokrewieństwo, były też dla siebie najlepszymi przyjaciółkami i Anna z radością myślała o nadchodzącym spotkaniu. Tym bardziej, że na wspólny posiłek wybierał się też jej brat bliźniak Piotrek wraz z całym swym babińcem, czyli żoną Aleksandrą i dwiema córkami.

Piotrek był właścicielem sprawnie działającej firmy budowlanej,

specjalizującej się w stawianiu domów z drewna. Aleksandra, pulchna brunetka, zajmowała się domem i wychowaniem ośmioletniej Hani – chrześniaczki Anny – i trzyletniej Michaliny. Z bratową również rozumiały się idealnie, jeśli nie zważać na dyskretne sugestie o mijającym czasie i braku ciepła ogniska domowego, mimochodem wymykające się Oli przy każdej okazji.

Nie chcąc ponownie usłyszeć terkotu budzika, nastawiła alarm w komórce i pięć minut później spała słodko w pustym na szczęście łóżku.

## ROZDZIAŁ 2

Drogę do Jagodzie mogłaby pokonać z zamkniętymi oczami. Jeszcze dwa lata temu mieszkała tam ciocia Franciszka, daleka kuzynka jej babki ze strony mamy. Mimo że były krewnymi tylko w jakiejś dalekiej linii, w praktyce Franciszka była dla Anki najbliższą, najukochańszą cioteczka.

Anna i jej brat w dzieciństwie spędzali tam prawie każdy weekend. Wspólnie z Mariolą wariowali po łąkach i lasach. Jako wojownicze, choć tylko trzyosobowe plemię „Śmierdzących Skarpet” założyli indiańską wioskę w sadzie Frani i stamtąd organizowali łupieżcze wyprawy do kurnika lub piwnicy. Ze zdobyczami w postaci jajek lub słoików z owocowymi przetworami chowali się w wybudowanym przez Piotrka szałasie i sprawiedliwie dzielili łupy.

Któregoś dnia Anna zwędziła wujowi Zbyszkowi, ojcu Mariolki, papierosa z paczki carmenów i uroczyście wypalili fajkę wiecznego pokoju. Od gwałtownego kaszlu prawie wypłuli płuca, a Anka dostała za kradzież porządne lanie od matki. Przyznała się uczciwie do niecnego czynu, gdy wrócili do domu z załzawionymi oczami i w oparach tytoniowego smrodu.

Przyjaźń, przypieczętowana z takim poświęceniem, kwitła przez lata, choć trochę uśpiona do zeszłego roku, gdyż Mariola

wyprowadziła się po ślubie do odległego Przemyśla. Po śmierci Franciszki kuzynka wróciła w rodzinne strony i zamieszkała w zapisanym jej przez ciotkę domku.

Mimo prawie zerowego ruchu na drodze jechała powoli, bo szosę pokrywała cienka warstwa sypiącego się z nieba białego puchu. Drzewa zaczynały już okrywać się białymi czapami i las ciągnący się po obu stronach drogi wyglądał doprawdy bajecznie. Anna sięgnęła do schowka po okulary przeciwsłoneczne, gdyż nisko wiszące, odbijające się od białego śniegu słońce robiło co mogło, aby nie pozwolić jej na podziwianie widoków. W każdej radiowej stacji leciały świąteczne melodyjki, te same od wielu lat, nastrajając ją przyjaźnie do wszystkich. Łącznie z łysym kajakarzem. *Co mi odbiło, żeby tak straszyć tego biednego chłopaka* – zastanawiała się poniewczasie.

Wjeżdżając swą błękitną corsą na podwórko, zauważyła vana Piotrka, zaparkowanego przy oborze. Uśmiechnęła się pod nosem. Odkąd Mariolka poinformowała, że Cytryna jest w ciąży, Hania nieustannie zadręczała wszystkich, błagając o podwózkę do Jagodziec. Jako wybitnie inteligentna ośmiolatka była przekonana, że tylko ona perfekcyjnie dopilnuje stanu kotnej kozy, i planowała samodzielnie odebrać poród. No, ewentualnie z niewielką pomocą Ajrona – zaprzyjaźnionego weterynarza.

Ajron, a właściwie Aaron Medinopolus, był dawnym kolegą Marioli z lat szkolnych. Po jej powrocie w rodzinne strony los ponownie zetknął ich ze sobą. Małżeństwo kuzynki przechodziło wtedy poważny kryzys i między zaniedbywaną żoną a przystojnym, rozwiedzionym pół-Grekiem całkiem gorąco zaiskrzyło. Iskra jednak zgasła i Mariolka szczęśliwie kontynuowała małżeńskie życie, a doktorek związał się z ich wspólną przyjaciółką, Beatą.

Z wnętrza domu dobiegał przyjazny gwar. Anna wytrzepała ośnieżone buty o wielkich rozmiarów wycieraczkę z napisem „HOME, SWEET HOME” i weszła do ciepłego korytarza.

- No, wreszcie jesteście! - Na powitanie Jerzy wstał z krzesła. Podszedł do szwagierki i objął ją serdecznie. - Jak się udał sylwester, zarazo? Wszystkiego najlepszego w nowym roku. Niebawem dołączysz do grona zacnych czterdziestolatek. W krzyżu już łupie?

- Cześć, trutniu. Sylwester znakomity, wyszalałam się za wszystkie czasy. A ty jak zwykle? Na białej sali? W kraciastym garniturku i pantoflach firmy „Kapeć nad kapciami”?

Po wymianie powitalnych serdeczności ze szwagrem i szybkim cmoknięciu policzka brata Anna ruszyła do kuchni, w której panoszyła się Aleksandra spychająca w kąt panią domu.

- No, szkoda, że koziego sera już nie masz... Dobra, zrobimy z oliwkami. Wiem, że nikt ich nie lubi, ale za to jak pięknie wyglądają... Najwyżej poodkładają na brzegi talerzy. A do wody z brokułami dodaj trochę cukru i soku z cytryny, bo zaraz zrobią się szare...

Anna mrugnęła do wykonującej posłusznie polecenia Mariolki. Ta odpowiedziała jej szybkim uśmiechem i machnięciem głowy, sugerującym, że energiczny szef kuchni również ją zapędzi za chwilę do krojenia i nadziewania.

- Anka! W końcu jesteście. Umyj ręce i bierz się za dewolaje. Piersi indyka masz już roztluczone i doprawione. W salaterce jest masło z czosnkiem i natką pietruszki. Kilka możesz nadziać pieczarkami, ale nie wszystkie, bo Hanka nie lubi. Mariolka, ziemniaki posoliłaś?

Oba kuchciki westchnęły ciężko i ruszyły do roboty, podczas gdy rozwaleni wygodnie panowie oglądali skoki narciarskie na którymś z kanałów sportowych.

- **N**ie ma mowy. Nie zmieszczę ani kawałeczka. - Anna poklepała się po napełnionym brzuchu.

- To dobrze, bo nie chce mi się ruszać.

Mariola walnęła się na sofę obok kuzynki, zostawiając na razie świąteczne ciasta w spokoju. Mimo nie tak późnej pory zapaliła światło, gdyż zimowy zmrok zapanował już na dworze. Panowie poszli do komputera dopieścić projekt nowego domu i kobiety wiedziały z doświadczenia, że co najmniej przez godzinę nie wynurzą się z komputerowego kącika. Hanka wyciągnęła matkę do obory w obawie, że Cytryna zacznie rodzić pod jej nieobecność. Michalina siedziała pod ogromną choinką, ustrojoną w większości jabłkami, orzechami i niezbyt udanymi łańcuchami z kolorowego papieru i we własnym, nie zawsze zrozumiałym dla osób postronnych języku rozmawiała z kilkuletnim chłopcem.

- Jak tam mały? Ryczy jeszcze? - zapytała z troską Anna, patrząc na dzieci. Mariola podążyła za jej wzrokiem.

- W dzień jest już dobrze, ale nocki na razie przerabane. Co najmniej dwukrotnie muszę zmieniać zasikaną pościel...

Anka zgrzytnęła zębami na myśl o rodzicach czteroletniego Natana. Oboje nałogowi narkomani, faszerowali lekami synka, kiedy ten swym płaczem lub innym zachowaniem przeszkadzał rodzicom w imprezach. Na początku, niczym kompotem, poili go dipherganem. Jednak po pewnym czasie mały uodpornił się na ten łagodny środek uspokajający i troskliwi rodzice sięgnęli po relanium. Gdy skończyło się relanium, faszerowali dzieciaka flunitrazepamem, znanym w niektórych kręgach jako tabletką gwałtu. Do Marioli trafił w ciężkim stanie, po kilkudniowej odtrutce w szpitalu. Na skutek odstawienia leków był na zmianę otępiały i agresywny i dopiero po mniej więcej dwóch tygodniach udało się nawiązać z nim jako taki kontakt.

- Nie żałujecie tej decyzji? - zapytała Anna, patrząc z troską, ale i podziwem na kuzynkę.

- Oczywiście, że nie. Nikt nie mówił, że będzie lekko. A zresztą już widzę zmianę w tym biednym dziecku. Przestał zachowywać się

jak szalony lekoman, tylko jeszcze nie potrafi odnaleźć się w realnym świecie. Pamiętasz Emilkę? Z nią na początku też nie było lekko.

Obie uśmiechnęły się na to wspomnienie. Emilka trafiła do Marioli niejako przez przypadek. Nie mając gdzie umieścić bitej przez ojca-alkoholika dziewczynki, Anna, przy pomocy zaprzyjaźnionego adwokata, podrobiła dokumenty, z których wynikało, że Mariola jest daleką krewną dziecka. Przywiozła biedną małą do „Rapsodii” – tak nazywała się posiadłość odziedziczona po Franciszce – i czyn ten stał się kamieniem węgielnym pogotowia rodzinnego w domu Mężyków.

- Na początku bałam się dopuścić do niego nawet psa – kontynuowała Mariola. – Choć biedna sunia była nad podziw cierpliwa. Mały szarpał ją za uszy, bił, krzyczał przeraźliwie... Obawiałam się, że w końcu dziabnie go w samoobronie, ale ta nigdy nawet nie warknęła. A teraz spójrz.

Piętnastoletnia, podobna do wyżła suka leżała spokojnie obok dzieci i mruzczała z zadowoleniem, ilekroć któraś z małych rączek głaskała ją po głowie lub drapała za kosmatym uchem. Obie kobiety z czułością patrzyły na ten spokojny i wzruszający obrazek. Nie nacieszyły się spokojem zbyt długo, bo do domu weszły przemarznięte kozie opiekunki. Aleksandra poszła do kuchni nastawić ekspres na świeżą kawę, a Hania usiadła obok ciotek.

- Wujek Arek to kiedy będzie? Cytryna jest taka gruba, że może urodzić w każdej chwili.

Uświadomiła obie kobiety.

- Ona jest taka gruba co najmniej od dwóch tygodni – zaśmiała się Mariolka.

- Od czasu, kiedy zaczęłaś tu codziennie przyjeżdżać i ją dokarmiać – dodała złośliwie Anna.

Hania nie zwróciła uwagi na dowcipkującą policjantkę.

- Bo wiesz, ciociu, obawiam się, że sama mogę nie dać rady.

Może trzeba będzie wykonać cesarzowe wycięcie...?

Obie panie zachowały pełną powagę.

- Nie martw się - uspokoiła dziewczynkę Mariola.

- Wujek mówił, że Cytryna sama poradzi sobie doskonale. Tym bardziej że w zeszłym roku urodziła Mandarynkę. Kozy doskonale wiedzą, jak radzić sobie w takich wypadkach.

- No tak. Ale przecież wypadki chodzą po ludziach, nie? To i po kozach mogą - dowodziła Hania całkiem logicznie.

- W razie takiego wypadku zadzwonię natychmiast po wujka, okej?

Hanka spojrzała na ciotkę z niepokojem.

- No i po ciebie, oczywiście - dodała natychmiast Mariolka.

Uspokojona dziewczynka kiwnęła głową i dołączyła do maluchów pod choinką.

- No właśnie, a kiedy Ajron wraca znad morza? - zainteresowała się Anka.

- Nie wiem dokładnie. Sylwestra mieli spędzić na statku czy promie... Mówił, że ma tam być jakiś weterynaryjny zlot. A na twoim policyjnym zlocie jak było?

Anna przypomniała sobie własne niefortunne przebudzenie i zachichotała pod nosem.

- Impreza była okej, ale nie uwierzysz, co przydarzyło mi się rano.

- Co?

- Zamiast w budzik palnęłam ręką w jakąś buźkę. Chwilę ugniatałam męską wargę, zanim zorientowałam się, że nie przypomina w dotyku dzyndzla od budzika.

- Matko jedyna! A inny dzyndzel też mu ugniatałaś?

- Na szczęście nie. - Anna ponownie zachichotała na wspomnienie poranku. - To jakiś smarkacz. Sportowiec. Mistrz gry w kajak polo. Jak zobaczył mnie w tych gaciach, co je razem



kupowałyśmy, to mu się skojarzyłam z jego mamuszką.

Obie kuzynki ryczały ze śmiechu, gdy dołączyła do nich Aleksandra z trzema filiżankami kawy i kopiastym talerzem ciasta.

- Z czego rżycie?

- Anka obudziła się dziś u boku jakiegoś przystojniaka - wyjaśniła szwagierce Mariola.

- No, w końcu! - ucieszyła się Ola.

- Kiedy go poznamy?

- Nigdy. - Anna przybrała ponurą minę. - Zobaczył mnie w tych wielkich gaciach, co kazałaś mi kupić, powiedział do mnie „mamuszka”, a ja go zastrzeliłam...

- Anka! Opowiadaj mi tu dokładnie, a nie się wygłupiasz!

- Serio mówię. No, z wyjątkiem tego ostatniego.

Mariola śmiała się jak durna, wyobrażając sobie tę scenę, a lekko zde gustowana Aleksandra patrzyła to na jedną, to na drugą.

- Nie wiem, z czego wy obie tak się cieszyacie. Jeszcze trochę i Ance czwarty krzyżyk strzeli, a ona wciąż sama. - Odwróciła się w stronę szwagierki i dodała: - Zobacysz, na starość nie będzie ci miał kto szklanki wody podać.

- A ja olewam wodę. Grunt, żeby szampana nie zabrakło!

- I to ostatni gwizdek na dzieci... - krakała dalej Olka.

- Dzieci mam do wyboru, do koloru. Jak chcę posłuchać mądrzenia się, to gadam z Hanką, jak słodkiego paplania, to z Mišką. U Mariolki też pełen przekrój. A jak mam dość, to idę do własnego, spokojnego domu i nikt mi nie miauczy do uszu. Zazdrościsz?

Anka wywaliła do bratowej jęzor i złapała kawałek sernika. Aleksandra trochę chyba jej pozazdrościła, bo z westchnieniem popatrzyła na obie córki i w końcu się zamknęła. Zwabieni hałasem lub może raczej zapachami ciasta wrócili do stołu panowie. Jerzy niósł ze sobą kilka butelek.

- Naleweczki, drogie panie? Czeremchowa, różana czy

owocowa?

- Dawaj wszystkie - zarządziła Mariola i wstała, aby przynieść szkło.

Mężczyźni wzgardzili słodkimi trunkami i Jerzy polał do dwóch kieliszków białą, wysokoprocentową.

- Wiecie co? Mam pomysł. - Po kilku kolejkach Aleksandra podniosła swój kieliszek. - Podejmijmy noworoczne postanowienia. Ale nie takie, jak co roku, o których się zapomina, zanim echo myśli ucichnie wśród ścianek mózgu, tylko takie prawdziwe. Jeśli wypowiemy je głośno, to może dotrzymamy danego sobie słowa.

- Dobra. - Mariola entuzjastycznie zapaliła się do planu szwagierki. Może dlatego, że butelka wiśniowej nalewki dawno się skończyła, a w czeremchowej widać już było dno.

- Kto pierwszy?

- Olka wymyśliła, niech ona gada - postanowiła Anna.

Wezwana na dywanik pomysłodawczyni długo się zastanawiała.

- Dobra, ale powiem tylko o jednym. Drugie zachowam dla siebie, żeby nie zapeszyć.

- O nie! - oburzył się Piotr. - To niesprawiedliwe! Łamiesz własne zasady.

- To każdy niech tak zrobi. Jedno na głos, a drugie w myśli.

- Dobra. - Tego wieczoru Mariola była bardzo zgodna.

- Więc ja postanawiam, że schudnę co najmniej sześć kilo.

Zapiszę się na basen albo jakiś aerobik. Albo i tu, i tu.

- Co roku to słyszę... - mruknął pod nosem Piotrek.

- Nie bądź taki mądry. Teraz ty.

Piotrek długo myślał.

- Rzucę palenie.

- To ty palisz?! - zdenerwowała się Aleksandra. - Od kiedy? I czemu ja nic o tym nie wiem?!

- No bo nie palę. Ale mogę zaraz zacząć, a potem rzucić.

- Piotrek, ty to jednak jesteś dureń. Zastanów się, a teraz Jurek. Dawaj.

Jerzy dla odwagi chlapnął szybkiego kielicha.

- Ja obiecuję, że zanim kogokolwiek skrytykuję, poszukam w nim czegoś pozytywnego. - Spojrzał na żonę, która uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Dobrze! - pochwaliła szwagra Anna.

- Ja obiecuję to, co Jurek, i to, co Olka. Zanim kogoś walnę kijem, to dam mu ugryźć marchewkę. No i zapiszę się z Olą na basen.

- Ja postaram się nie zmarnować ani jednego owocu z sadu - postanowiła Mariola.

- Ale mi problem - zaśmiała się policjantka. - Przecież czego nie przerobisz, to zjedzą kozy albo ten nienażarty prosiak.

- Ale się nie zmarnuje, nie?

- Ja nie wiedziałam, że ty taka pazerna jesteś.

- No, jestem, fakt. Jak coś się marnuje, to mnie szlag trafia. Szczególnie, gdy pomyślę, że ludzie czasem nie mają co do garnka włożyć. A jak sobie przypomnę te olane w zeszłym roku porzeczki...

- Czyli to twoje postanowienie to nie takie znów poświęcenie - czepiała się dalej Anka.

- A kto mówił, że to ma być poświęcenie? A ty jak powiesz komuś miłe słowo, to tak się poświęcasz?

*No, właściwie to tak* - odpowiedziała w myślach skruszona nagle policjantka. Równocześnie obiecała sobie solennie, że naprawdę postara się być mniej szorstka dla ludzi.

Całe szczęście, że zeszłej wiosny Piotrek dobudował do wiejskiego domku drewniane piętterko. Cała rodzina spokojnie pomieściła się w obszernych pokojach. Anna zajęła pokój Dawida - dwudziestojednoletniego syna Marioli i Jerzego - który balował

gdzieś w Poznaniu.

*Jak dobrze, że do pracy dopiero na nockę* – pomyślała, zanim jej organizm, wymęczony świąteczno-sylwestrowym nadmiarem trunków i jadła, poddał się i usnęła jak kamień.

## ROZDZIAŁ 3

Kilkanaście kilometrów za miastem, w pobliżu malowniczej wioski o nazwie Dziadowo, dwaj kilkunastoletni chłopcy wybrali się do lasu. Obficie padający od rana śnieg kusił do założenia kurtek i wyprawy do lasu. Rodzice odsypiali nocne balety, nastolatki nie musieli więc nawet pytać ich o pozwolenie.

- Chodźmy koło tej ambony - zaproponował jeden z nich.

Zielona Czapka z zapalem skinął głową.

- Dobra. Tam jest taka fajna polana. Można będzie fort zbudować.

Po dziesięciu minutach znaleźli się u celu. Pięciometrowa myśliwska ambona stała na straży okrągłej polany, otoczonej obsypanymi śniegiem drzewami. Na puchowej pierzynie, jaką okryła się ziemia, znaleźli wiele interesujących tropów. Chłopcy z ciekawością pochylili się, próbując odgadnąć ich pochodzenie.

- Te małe to na pewno zajęc - mądrzył się Pomarańczowy Szalik.

- Noo... A te głębokie to sarna albo jelen. - Zielona Czapka nie chciał być gorszy.

- Sarna. Jelen zostawiłby głębsze. Patrz... Ten szlaczek to chyba lis...

Po kilku minutach znudzili się zabawą w tropiciele i postanowili

zbudować igloo. Pośród wesołych okrzyków na środku polany stanęła nieforemna budowla, na widok której każdy Eskimos zapłakałby rzewnymi łzami. Nie ustała zbyt długo i zawała się przy akompaniamencie zawiedzionych jęków. Chłopcy nie zmartwili się jednak, gdyż dziecięca wyobraźnia nie zna granic i dopiero w miarę lat kostnieje w dorosłych głowach. Pomarańczowy Szalik zadarł głowę.

- Patrz. Ta gałąź ledwie się trzyma. Robimy zawody, kto pierwszy ją strąci.

Pomarańczowy Szalik schylił się i z mokrego śniegu ulepił twardy pocisk. Zamachnął się mocno i rzucił w stronę drzewa. Obaj chłopcy potrzebowali po kilkanaście rzutów, zanim zmaltretowany konar oderwał się i z trzaskiem spadł na brzeg polany. Popatrzyli na siebie z niepokojem. Trzask był bardzo podejrzany... Niepewnie, zachowując pełną ostrożność, podeszli do miejsca, gdzie upadła złamana gałąź. Zielona Czapka odgarnął gałązki krzaków.

- Ja cię... Jakby któryś z nas wsadził tu nogę, to chyba mielibyśmy problem...

Oderwany konar wpadł prosto w dziwne żelastwo ukryte wśród krzewów, które coraz bardziej przysypywał prószący z nieba śnieg.

**A**nna ziewnęła szeroko, łyknęła zimnej kawy i skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Wiesz co, Pajac? Nie wiem, jakim cudem dostałeś się do policji. Przecież ty kawy zwykłej nie umiesz zrobić.

- Dzięki flaszcze wódki, nie kawie.

- Aaa, wszystko już rozumiem. A jak ci się udało przejść testy psychologiczne? - zaczętnie ciągnęła młodszego kolegę za język Anka.

- Proste. Na pytanie, z kim wolałbym pracować: z gejem czy

alkoholikiem, odpowiedziałem, że najchętniej z durniem. I patrz, sprawdziło się... – Tomasz uśmiechnął się szeroko.

Nocne zmiany inspirowały do szczerych rozmów. Pod warunkiem oczywiście, że nie było żadnych nagłych interwencji. A że był środek nocy, z drugiego na trzeci stycznia, wszystkie oprychy leczyły jeszcze kaca i nie miał kto rozrabiać na mieście. Anna grała w internetową grę logiczną, którą pokazała jej Hanka. Polegała na łączeniu kwadratów oznaczonych taką samą cyfrą, aby uzyskać określoną sumę punktów. Strasznie frustrowało Ankę, że ani razu nie dała jeszcze rady zdobyć upragnionego wyniku, podczas gdy jej ośmioletniej siostrzenicy sztuka ta wychodziła prawie za każdym razem.

– Alkoholik, rozumiem. Patrzysz na niego za każdym razem w lustrze, to może się znudzić, ale co masz do gejów?

Tomek wzdrygnął się z niesmakiem.

– Skułbym takiego od razu.

– Serio? A w jakiej pozycji?

– Weź ty się opanuj!

– Przestań być takim homofobem. A co by było, gdybyś paradę równości musiał zabezpieczać?

– Zaplanowałbym nieplanowaną grypę żołądkową. A w ogóle skończ ten temat. – Tomek naburmuszył się i przez jakąś chwilę słychać było tylko klikanie myszki.

– Jasna cholera! Znowu przegrałam.

– Mówiłem, że z durniem...

Na wszelki wypadek policjant odsunął się z ewentualnego pola rażenia nieobliczalnej koleżanki. Anka westchnęła ciężko i odsunęła z niechęcią klawiaturę komputera.

– A jak tam twoja olbrzymka? Powiodło się polowanie? Czy może dzida okazała się za cienka?

– Moja dzida sprawiła się doskonale. A twoje amory udane?

Pampersy zmieniałaś dzidziusiowi?

- Czy ja ci wyglądam na pielęgniarkę? Sam sobie zmieniał.

Anna przeciągnęła się, aż zaskrzypiało krzesło. Przypomniała jej się spektakularna gimnastyka Jacka oraz własne postanowienie noworoczne.

- Obiecałam bratowej, że pochodzę z nią na basen. Nie należy nam się jakiś karnet służbowy czy coś w tym stylu?

Tomek zaśmiał się pogardliwie.

- Jaaasne. - Po chwili zdziwił się, jakby dopiero dotarły do niego słowa Anki. - Ty na basen? Świat się kończy. Przecież ty jesteś wybitnie antyruchliwa.

To była niestety prawda. Wszelkie zajęcia sportowe napawały Annę obrzydzeniem. W organizowanych czasem po pracy integracyjnych grach zespołowych do drużyny wybierano ją na samym końcu. Kapitan pechowej grupy, do której trafiała, ustawiał ją w jakimś miejscu, gdzie najmniej przeszkadzała, a i tak, w przypadku przegranej, całą winę zwalano na nią. Piłka do koszykówki kojarzyła jej się z narzędziem tortur, a rower był żywym symbolem niepotrzebnego przeżytku.

Jedyne, co ją pasjonowało, to strzelanie do celu z ukochanego glocka 17 kaliber 9×19 mm. I mało który z kolegów przewyższał ją w tej czynności. Lubiła też zajęcia z samoobrony, bo bawiło ją rzucanie kolegów na matę i bezkarne wymierzanie ciosów w strategiczne miejsca. Miała też miłą świadomość, że byle dupek nie da jej rady w jakimś ciemnym zaułku.

**N**a pierwsze zajęcia umówiła się z Olą w pierwszy poniedziałek stycznia. *Jakiś strój kąpielowy muszę skombinować* - pomyślała. Owszem, miała ich całkiem sporo w szufladzie, ale raczej nie nadawały się na basen, gdyż składały się wyłącznie z cienkich pasków



kolorowej tkaniny. Anna lubiła dobrze się ubrać, choć nie było to jej priorytetem. Mimo niechęci, jaką czuła do sportu, miała niezłą figurę i lubiła eksponować swoje wdzięki. Cieszyły ją pełne uznania męskie spojrzenia, choć nie była od nich uzależniona, i równie dobrze co w krótkiej kiecce czuła się w rozciągniętych dresach albo mundurze.

- Dobra. Może trochę popracujemy, co?

Z cierpięcniczym westchnięciem oboje pochylili się nad stertą papierów.

**W** samochodzie panowała cisza. Arek pewną ręką prowadził swego jeepa cherokee, a siedząca obok Beata z naburmuszoną miną wpatrywała się w migające za oknami drzewa. Droga ze Szczecina była czarna i pusta, więc Ajron pozwolił swej prawej stopie wcisnąć pedał gazu prawie do dechy.

- Śmierdzi tu - odezwała się rozkapryszonym tonem Beti.

- Ten samochód służy mi do pracy. A moimi pasażerami zazwyczaj są zwierzęta, zapomniałaś?

Beata ostentacyjnie wciągnęła nosem powietrze.

- Koniem wali.

- Przepraszam cię bardzo, rano się kąpałem. - Ajron usiłował rozluźnić atmosferę. Niezbyt skutecznie, gdyż Beti uśmiechnęła się tylko półgębkiem. - Zapomniałem wyjąć z bagażnika siodła, więc trochę zalatuje, to fakt.

Spojrzał na partnerkę z nadzieją, że jej zły humor rozproszy się niczym sztuczne ognie na przedwczorajszym niebie. Nie wiedział, dlaczego Beata od rana zachowuje się jak wściekła osa. Sylwestrowy wyjazd był bardzo udany. No, przynajmniej według niego.

Trzydziestego grudnia, po świętach, pojechali do Szczecina. Stamtąd podstawiony autokar zabrał ich do Kołobrzegu i wieczorem zainstalowali się na pokładzie wycieczkowego statku o pięknie

brzmiającej nazwie „Siostra Świtu”. Dwuosobowa kajuta nie była może największych rozmiarów, ale koje miały miękkie materace, a przez okrągłe bulaje rozciągał się oszałamiający widok na nieskończony horyzont.

Pogoda również dopisała i mimo prószonego momentami śniegu morze było spokojne, a statkiem bujało tylko nieznacznie. Co prawda delikatna Beti powisała trochę wychylona niebezpiecznie za burtę, karmiąc mewy przetrawionymi homarami, ale po kilku godzinach przyzwyczała się do delikatnych drgań pokładu. Na owoce morza nie miała już jednak najmniejszej ochoty.

Sylwestra spędzili u wybrzeży duńskiej wyspy Bornholm. Kapitan statku stanął na wysokości zadania i takich fajerwerków Ajron nie widział jeszcze nigdy. Fakt, że wzrok miał trochę przymglony, bo szampan lał się strumieniami, ale widział wyraźnie milion gwiazd na niebie i kolejny milion, odbijający się w ciemnej toni Bałtyku. Gwiazdy w oczach Beaty i gorący pocałunek na przywitaniu Nowego Roku świadczyły o jej dobrym samopoczuciu, więc nie rozumiał, dlaczego teraz owe gwiazdy zamieniły się w pioruny.

- Dobrze się bawiłaś?

Beata wyduła lekko usta, ale za chwilę w jej oczach zapaliły się ciepłe błyski.

- W sumie nie najgorzej. Sam rejs, jak już mi przeszło rzyganie oczywiście, był bardzo romantyczny. Bornholm też był zjawiskowy. Rozumiem, czemu nazywany jest Majorką Północy. Te oświetlone statki i jachty w Nexø, precudowne, wielkie motyle wśród tropikalnej roślinności, podczas gdy na zewnątrz zimno i szaro...

- Ja byłem bardziej zafascynowany tą wytwórnią wódki... - wtrącił swoje trzy grosze Ajron.

- Domyślam się - zaśmiała się dziewczyna. - Wyszedłeś stamtąd cały obładowany flaszkami. Wystarczą ci do przyszłego roku.

- I tu mnie nie doceniasz...

Atmosfera trochę się rozluźniła, lecz w powietrzu wciąż wisiało jakieś niedomówienie. Ajron ściągnął nogę z gazu, gdy w przedniej szybie mignęło mu coś w rodzaju kogutów na policyjnym aucie.

- No więc czemu masz taką niewyraźną minę?

Beata była dobrą dziewczyną i nie chciała sprawić przykrości ukochanemu. W głowie formułowała słowa, które miały mu delikatnie wyjaśnić jej wątpliwości. Ajron znowu zerknął na nią pytająco.

- Bo to całe towarzystwo... Same dziadki... Gadali wciąż o dychawicach, pryszczycach, jakichś tam ketozach, ochwatach i innych... A ich żonki były równie nudne, jak oni sami.

- Beti! Większość z nich była niewiele starsza ode mnie.

- Ale ty jesteś przynajmniej obłądnie przystojny.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, błyskając białymi zębami.

- Ty też wyróżniałaś się wśród tych matron. Ta srebrna sukienka i białe buty będą mi się śniły nocami.

Beata odpowiedziała skromnym uśmiechem, za chwilę jednak jej czoło znów przecięła pionowa zmarszczka.

- Dziwię się, że w ogóle zauważyłeś, w co byłam ubrana. Głędziłeś tak samo jak te dziadygi.

Ajron sapnął z lekkim zniecierpliwieniem.

- Beti, to moja praca. I równocześnie pasja. Ja nie kwękałem, gdy stałaś dwie godziny i wybierałaś na promie te swoje próbki kosmetyków i perfum. A jak byłaś ubrana, przypatrzyłem się bardzo dokładnie. Szczególnie po tym, jak nadepnęłaś mi na stopę tym niebotycznym obcasem. Do tej pory go czuję...

Cisza znów się zagęściła i pasażerowie mknącego szybko w stronę Choszczyna samochodu mieli nadzieję, że siekiera wisząca w powietrzu nie spadnie żadnemu z nich na głowę. A może mieli nadzieję na coś zupełnie odwrotnego?

## ROZDZIAŁ 4

- To był jednak durny pomysł. Wybitnie durny...

Aleksandra stała przed lustrem w przebieralni i czuła, jak jej kompleksy rosną niczym grzyby po deszczu.

- Oj, przestań panikować. Jakoś po podwórku nie wstydzisz się ganiać prawie w samych gaciach.

- Ale podwórko jest ze wszystkich stron obrośnięte żywopłotem.

Olka miała łzy w oczach.

- Z litości nad sąsiadami...

Anna zmierzyła Aleksandrę krytycznym wzrokiem. Nie było wcale tak źle. Lekka nadwaga wylewała się co prawda zza ramiączek czarnego kostiumu kąpielowego, ale, doprawdy, widziała już w swoim życiu o wiele mniej apetyczne obrazki. Podzieliła się tymi uwagami z zestresowaną bratową.

- No, nic dziwnego - odparła ponuro Ola. - W końcu jesteś policjantką. Pewnie widziałaś mnóstwo napuchniętych topielców i może od nich rzeczywiście wyglądam trochę lepiej...

Nie wdając się więcej w zbędne dyskusje, Anka złapała bratową za pulchne ramię i siłą zaciągnęła na pływalnię. Szału nie było. Kilka osób pławiło się w jacuzzi, na trzech torach spokojnie pływali jacyś ludzie, a na czwartym ambitny wyczynowiec zamasyście machał

ramionami i pruć wodę niczym torpeda. W dziecięcym baseniku kilkoro dzieci dokazywało wesoło, podczas gdy ich mamy nastawiały swój cellulitis na działanie biczów wodnych. Nikt nie złapał za telefon, by zadzwonić do Greenpeace. Nikt nawet na nie nie spojrział. Uspokojona Aleksandra odetchnęła głęboko i weszła do basenu.

- No, dawaj! - zawołała już z wody do wahającej się szwagierki.

Anka nieprzyjaźnie popatrzyła na wodę. *Przynajmniej się nie spocę* - pomyślała na pocieszenie i powoli zeszła po drabince. Zanim zdecydowała się puścić barierkę, Olka była już na drugim końcu pływalni. Z ogromnym samozaparciem wykonała pierwsze niezgrabne ruchy żabki. Albo kraula. Nie wiadomo, jaki był jej zamysł, gdyż rękami zataczała szerokie koła, a nogami z całych sił waliła w wodę. Pozostali uczestnicy toru skwapliwie zeszli jej z drogi, nagle postanawiając kontynuować trening po drugiej stronie basenu. Cudem jakimś pokonała dwadzieścia pięć metrów i, zasapana jak po maratonie, odpoczywała, trzymając się kurczowo drabinki. Aleksandra kończyła w tym czasie trzecie okrążenie.

Anna z zazdrością obserwowała wyczynowca, który bez najmniejszego, zdawałoby się, wysiłku raz za razem dublował wcale nie taką powolną Olę. Podjęła wiekopomną decyzję i postanowiła przepłynąć ten ogromny dystans jeszcze raz. Krztusząc się i prychnając, kątem oka uchwyciła pogardliwe spojrzenie mijającego ją w pełnym pędzie pływaka. *A żebyś tak się walnął w ten różowy czepek* - pomyślała ze złością. Z wielkim hartem ducha przepłynęła pięć długości basenu, po czym, zmordowana okrutnie, poszła do jacuzzi na zasłużony relaks. Po chwili dołączyła do niej Aleksandra.

- Fajnie, nie? - Z szerokim uśmiechem na twarzy usiadła obok ponurej Anki i oddała się rozkoszom masujących bąbelków. - Jutro też przychodzimy?

- Czy ja ci kogoś z rodziny zamordowałam, czy co? Opanuj się! Umawialiśmy się na raz w tygodniu!

- Okej, okej. Częściej nie miałabym z kim dzieci zostawić. Piotrek i tak sapał...

Uspokojona Anna przymknęła oczy, relaksując się mile pomimo smrodu mocno chlorowanej wody.

- Patrz, jakie ciasteczko do nas idzie! - wyszeptała konspiracyjnie podniecona Olka i wciągnęła brzuch.

Anna leniwie otworzyła jedno oko. Do jacuzzi zbliżał się wyczynowiec w różowym czepku. Rzeczywiście, nie wyglądał źle. Długie nogi w plastikowych klapkach kroczyły śmiało przed siebie. Woda lśniła na ciemnych włoskach porastających obszerną klatkę piersiową. Pływak odwrócił się i pochylił, aby odłożyć płetwy na stojący niedaleko leżak.

- Tyyy! Widziałaś kiedyś taki tyłek?

Anna z fascynacją patrzyła na szwagierkę. Rozsądna kura domowa, szlachetna opiekunka domowego ogniska i matka dwójki dzieci zamieniła się w prychnającą z podniecenia i ostrzącą pazury kocicę. Obiekt nagłego pożądania Aleksandry wyprostował się i już po sekundzie z głośnym pluskiem wśliznął się zgrabnie obok nich. Szybkim ruchem mężczyzna zdjął idiotyczny czeppek, uśmiechnął się zdawkowo i kiwając na przywitanie łysą głową, spojrzał przelotnie na siedzące w jacuzzi kobiety. *Łysą głową?* Olka wessała swój brzuch do samego kręgosłupa, a Anka węzowym ruchem opuszczała się coraz niżej i niżej, jakby chciała zniknąć całkowicie wśród bąbelków. Łysol spojrzał uważniej na wykonującą dziwne ewolucje policjantkę.

- Anka? - zapytał.

- Skąd! To nie ja.

- No przecież widzę, że to ty. - Mężczyzna nieco się strapił.

- To nie ja. To moja siostra bliźniaczka.

- Nie mówiłaś ostatnio, że masz siostrę bliźniaczkę.

Spod wody wystawała już tylko głowa policjantki.

- Bo dopiero dziś się odnalazła, po wielu latach poszukiwań.

Okazało się, że kosmici ją porwali...

Aleksandra ponownie przeszła metamorfozę i tym razem wyglądała, jakby wujek Down postanowił dać jej w prezencie dodatkowy chromosom.

- I co? Robili na niej doświadczenia? - Jacek postanowił pognać trochę swą taneczną partnerkę. - A może zemścić się za jej noworoczne groźby?

- Tak. Napromieniowali ją radioaktywnie i zabija teraz laserami z oczu.

- A jak się odnalazła?

- Bocian ją przyniósł i walnął prosto w zagon kapusty.

- Aaa. I przez cały czas żywiła się samymi kapustami?

Jacek usiłował być zabawny, ale nie znał ciętego języka swojej przeciwniczki. Z Anną nikt nie miał szans w słownych pojedynkach. Wiedziała o tym cała rodzina i nikt nie próbował stawać z nią w szranki.

- No właśnie. A w związku z tym, że ją namagnesowali, same głąby się jej teraz czepiają.

Mężczyzna otworzył usta i zapomniał ich zamknąć.

- Uważaj, plomby też mogą wyfrunąć...

- Anka! Co ty bredzisz? Wody chlorowanej za dużo się opilaś? - Aleksandra wróciła do swojej własnej postaci. - Może byś tak mnie panu przedstawiła?

Zdekonspirowana przez własną bratową Anna nie mogła już udawać strzelającej laserami kosmitki, wynurzyła się więc z wody i zrobiła niedbały gest ręką.

- To jest Jacek, to moja bratowa Ola.

Aleksandra uśmiechnęła się szeroko do tajemniczego Jacka i podała mu pomarszczoną przez długie moczenie w wodzie dłoń. Zorientowawszy się co do jej wyglądu, zabrała ją gwałtownie z powrotem. Zanim mężczyzna zdążył ją ująć. Coraz bardziej

zdezorientowany dziwną rodziną chłopak trzymał wyciągniętą rękę dłużej, zanim opadła i pacnęła płasko o wodę, wzniecając falę uderzeniową wprost w szeroko otwarte policyjne oczy. Trąc je i wycierając łzy, Anna stwierdziła, że ma już dość basenu, jacuzzi i Olki. Nie wspominając o łysej glacy w różowym, chwilowo zdjętym czepku.

- Idę do sauny. Spotkamy się w szatni.

- Czekaj. Też pójdziemy - odezwali się zgodnie Ola i Jacek.

Anka wygramoliła się z wanny, nie zwracając uwagi na wyciągniętą pomocnie dłoń Jacka. Chłopak spojrzał na nią z uznaniem.

- No, mała! W tych galotach wyglądasz zdecydowanie lepiej...

- Pilnuj lepiej swoich, bo ci na tyłku pękły, jak odkładałeś pletwy.

Uśmiechając się złośliwie, Anna zostawiła w tyle pływaka wyginającego komicznie ciało w celu obejrzenia własnych pośladków.

- Ale ty jesteś wredna - stwierdziła Aleksandra, dogoniwszy szwagierkę. - Co on ci zrobił, że tak go traktujesz?

- Niby jak?

- No, wrednie. Podobno miałas być miłsza. Pamiętasz nasze noworoczne postanowienia? Czy może tydzień to za długo, żeby coś zostało w twojej głowie?

Dziewczyny wzięły z szatni ręczniki i poszły w kierunku sauny.

- Dobra, dobra... - mruknęła Anka, otwierając szklane drzwi. - Postaram się następnym razem.

Jeśli miała nadzieję, że następnego razu nie będzie, to pomyliła się bardzo, gdyż przystojny Jacuś był już na miejscu. Wyeksponował swe boskie ciało na najwyższej ławce i prężył mięśnie w oczekiwaniu na kobiety.

- Jak jesteście nieprzyzwyczajone, to usiądźcie najpierw na samym dole - poinstruował. - Po pięciu minutach piętro wyżej, a ostatnie pięć na samej górze. Ciepłe powietrze jest lżejsze od



zimnego i dlatego im wyżej, tym cieplej.

- Profesor fizyki... - mruknęła cicho Anka wprost do ucha Oli, po czym spojrzała z szerokim uśmiechem na Jacka. - No patrz! A jak byłam na szczycie Śnieżki, to tam właśnie było najzimniej... No przecież nic nie mówię! - krzyknęła prawie, bo kuksaniec Aleksandry naprawdę ją zabolął.

Posłusznie usiadły na najniższej ławce.

- Sauna jest naprawdę świetnym wynalazkiem. Już w starożytności wiedzieli o jej dobrodziejstwach. W saunie wydalamy z potem metale ciężkie i toksyny, skóra staje się gładka i napięta. Poza tym doskonale działa na cellulit i otyłość... - Jacek zamilkł nagle i rzucił szybkie, przestraszone spojrzenie na Ankę.

- Mów, mów... To jest naprawdę bardzo ciekawe... - zachęciła go policjantka, pomna noworocznych postanowień i obecności świadka swych pochopnie rzuconych słów.

Jacek jednak zamilkł na dobre. Być może dlatego, że słowom Anny towarzyszyło szerokie ziewnięcie. Olka znów zgromiła ją wzrokiem, nie wiadomo za co.

- Możemy się od ciebie sporo dowiedzieć - zwróciła się Aleksandra do adonisa. - Może pójdziemy we trójkę na szklanę wody do tego baru nad basenem? Masz ochotę?

Mordercze spojrzenie Anny spłynęło po Oli jak po kacze.

- Chętnie dowiedziałabym się więcej o odchudzaniu i walce z cellulitem... I o tym ciepłym powietrzu...

**W** domu Aleksandry najważniejszym pomieszczeniem zdecydowanie była kuchnia. Duża, jasna i kolorowa. Na blacie panoszyły się wszelkie możliwe urządzenia elektryczne, poczynając od miksera, na wyciskarce do cytrusów kończąc. Na stojącej w rogu lodówko-zamrażarce brakowało już miejsca na nowe dzieła dziewczynek,

które oddawały się radosnej i spontanicznej sztuce tworzenia obrazów o najróżniejszej tematyce. Wisiały tam więc portrety i krajobrazy, odbite stopy, dłonie i inne podejrzane części ciała. Które i czyje? Na wszelki wypadek Anna nie próbowała tego odgadnąć. Było też sporo abstrakcji wykonanych przez Michalinę. Pod oknem królował spory stół, przy którym siedziały Ola i Anka, popijając z kubków w kolorowe kropki miętową herbatę.

- Przesadziłaś. - Anna spojrzała na bratową z wyrzutem. - Ja rozumiem, że za wszelką cenę chcesz, żebym nie miała lepiej od ciebie, ale to pytanie o stan konta to było przegięcie.

Aleksandra wzruszyła ramionami.

- No przecież nie będziesz go utrzymywać, nie?

**W** kawiarni nie skończyło się, niestety, na szklance wody. Wypili chyba z pięć litrów, zanim Olka stwierdziła, że o potencjalnym szwagrze wie już wszystko. Anka musiała przyznać, że sama z ciekawością słuchała odpowiedzi maglowanego Jacka. Okazało się, że ma dwadzieścia sześć lat, skończył - co było oczywiste - Akademię Wychowania Fizycznego i pracuje na przystani jako trener drużyny kajak polo w kategorii wiekowej młodzików. No i mieszka z mamusią.

Gdy już się trochę rozkręcił, okazał się całkiem sympatycznym chłopakiem, a kiedy przestał patrzeć na Ankę ze strachem, to nawet zabawnym. No, może nie zabijał intelektem, ale wiedział, że bitwa pod Grunwaldem była w 1410 roku. Nie był tylko pewien, kto wygrał... Odpowiedzi na temat ulubionych filmów i książek udzielił bez wahania - klasyka słowa pisanego to „Conan Barbarzyńca”, a jego filmoteka składała się ze wszystkich części „Gwiezdných Wojen” i „Terminatora”.

Nie mógł się za to zdecydować, który z aktorów jest dla niego wzorem do naśladowania: Schwarzenegger, Stallone czy Bruce

Willis. Najbardziej skłaniał się jednak ku temu pierwszemu. Z mniej umięśnionych aktorów tolerował Ala Pacino. Był prawdziwym niewolnikiem własnego ciała.

Dzień zaczynał i kończył gimnastyką. Przed podniesieniem łyżki do ust liczył kalorie i sprawdzał indeks glikemiczny pokarmu na niej zawartego. Każdy miesiąc, przeciętnym ludziom służący do poruszania się, był jego przyjacielem i miał swoje imię. I każdemu poświęcał odpowiednią liczbę minut na indywidualny trening. Anka musiała przyznać, że ciało rzeczywiście miał posągowe. *Tomkowi i reszcie wara by opadła, gdybym przeparadowała pod komendą, uwieszona na jego ramieniu.* – Uśmiechnęła się na samą myśl. – *A przecież tego, co jest, a raczej czego nie ma w głowie, nie widać na pierwszy rzut oka, prawda?* Ta właśnie myśl była chyba powodem łaskawego wyrażenia zgody na wspólną kolację następnego wieczoru, gdy Jacek zaprosił ją do modnej, między innymi również wśród policji, knajpki, usytuowanej nad brzegiem jeziora.

– **P**oza tym on ma jeszcze mleko pod nosem. Jak w ogóle możesz myśleć, że ja i taki szczył moglibyśmy być parą? – Anka wymownie popukała w głowę.

– A Beti i Ajron? Chyba z piętnaście lat ich dzieli. – Aleksandra nie miała zamiaru poddać się bez walki.

– No ale w drugą stronę. Beata jest przecież młodsza. I kocha się w nim już ze sto lat, a dopiero od października są parą.

– No nie wiem, nie wiem... – zmartwiła się Ola. – Chyba mają jakieś kłopoty w raju...

– Czyli? – Anka nadstawiła uszu.

– Byłam wczoraj u Mariolki. Cytryna urodziła w nocy dwa małe koźlaczki, no i Hanka żyć mi nie dawała. Jerzy po nas zajechał, bo coś tam w mieście miał do załatwienia, i akurat jak dojechaliśmy,

Ajron wychodził z obory. Najpierw musiał oczywiście upewnić Hankę, że wszystkie kozy są zdrowe, a później poszliśmy do domu na kawę. Mari zagadała go o Sylwestra, a on tak jakoś się zasępił. Wspomniał o niezgodności charakterów i znudzonych pannicach... Chciałam go pociągnąć za język, ale jakoś tak nie wypadało. Zresztą Ajron zaraz zmienił temat. Zaczął gadać o jakimś kuligu...

- Jacka jakoś nie było ci głupio za język ciągnąć - zaśmiała się z moralnych rozterek bratowej Anna. Po chwili jednak również spoważniała. - Kurczę, szkoda by było. Beti taka zakochana... - W jej mózgu już dojrzywał plan. - Zadzwońię do niej i umówię się na wizytę. Czas przemalować paznokcie. Albo nie... to za krótko będzie. Oczyszczanie. Trudno, poświęcę się... Dowiem się wszystkiego ze szczegółami.

Beata była ich ulubioną kosmetyczką. Miała dwadzieścia osiem lat, a znały się od dobrych czterech. Jej zręczne dłonie sprawiały, że spłycały się zmarszczki na czterdziestoletnich twarzach, tajemniczo znikwały wory pod oczami po nieprzespanych lub przeryczanych nocach i kolorami tęczy błyskały paznokcie na dłoniach i stopach.

Od wielu lat szaleńczo, acz skrycie, Beti kochała się w przystojnym weterynarzu i dopiero trzy miesiące temu splot różnych wydarzeń doprowadził do połączenia ich dusz. Ciał z pewnością również, gdyż namiętny Ajron pożerał na śniadanie pół tuzina więdnących z miłości doń dziewczyc. Gdy dziewczica okazywała się wybrakowana, też zresztą nie narzekał.

Ukochany Beti był cudownie męski i gorąco podniecający. Według Anki niejedna jeszcze poparzy się tym jego urokiem, choć na pewno nie będzie to starszy aspirant Anna Sikora. Przystojny półgrecki bożek miał w sobie to nieuchwytnie coś, co sprawiało, że mądre kobiety zmieniały się w idiotki, a idiotki w... hm... blondynki?

Anna sama sobie kłamała w żywe oczy, że doktorek na nią nie działa. Że nie rozumie, co widzą w nim inne, ale czasem

przyłapywała się na idiotycznym wgapianiu w jego sylwetkę. Fukwała wtedy jak zezłoszczona kotka i zazwyczaj obrywało się werbalnie komuś, kto stał najbliżej.

Równocześnie była bardzo lojalną przyjaciółką, więc przez myśl nawet jej nie przeszło, aby coś z tą swoją głupią fascynacją zrobić. Ajron był dla niej niedostępny - i bardzo dobrze. Szybciej przyłożył sobie do głowy własnego glocka i przycisnął spust, niż stanie się jedną z wielu perełek nanizanych na Ajronowy... hm... drucik.

## ROZDZIAŁ 5

- Anka, stary nas woła.

Przez otwarte drzwi wsunęła się kudłata głowa Tomka.

- Teraz?

Anna podniosła wzrok znad klawiatury.

- No, teraz, teraz...

- Przecież piszę ten raport. Mówiłam Markowi, że za godzinę będzie miał go na biurku.

- To nie o raport chodzi. Przyjechał Maślak i coś chce.

- O rany... Maślaki zazwyczaj pojawiają się we wrześniu, a nie w środku stycznia...

Komendant Wojewódzki Jakub Maślak był cholernym służbistą. Nie miał za grosz poczucia humoru i na starość zdewociał zupełnie. Jego kariera była w pełni rozkwitu dwadzieścia pięć lat temu, czyli jeszcze w czasach głębokiej komuny. Teraz utrzymywał stołek jedynie przez zasiedzenie.

Jako młody, energiczny milicjant gnębił wszystkich i wszystko, a ze szczególną lubością pastwił się nad obywatelami piastującymi wysokie stanowiska, którzy publicznie przyznawali się do coniedzielnych modlitw w kościele. Deklarujący się niegdyś wszem i wobec ateista poczuł chyba na starość bojaźń bożą, bo wycierał

spodniami kościelne ławki kilka razy w tygodniu. Na wszystkich mszach zajmował miejsce tuż pod ołtarzem i z zapalonym świecą śpiewał psalmy, zagłuszając księdza.

Anna miała wątpliwą przyjemność posłuchania jego śpiewu na corocznych, organizowanych w Choszczynie mszach ku pamięci poległych funkcjonariuszy. Ze wstydem przyznawała, że jej związek z kościołem nie był tak głęboki, jak powinien. Właściwie, pomijając śluby, pogrzeby i owe policyjne msze, nie istniał on w ogóle. Była chrześcijanką, ale do rozmów z Bogiem nie potrzebowała pośrednictwa facetów ubranych w czarne sukienki. Tym bardziej że w swoim zawodowym życiu zetknęła się z dziećmi, które siłą były pod owe sukienki wciągane.

Stała przed brudnym lustrem wiszącym na ścianie ich małego gabinetu i usiłowała szybko doprowadzić się do ładu. Poprawiała krzywo zapięte guziki munduru i obciągnęła spódnicę. Złapała leżącą na brzegu biurka gumkę recepturkę i związała długie włosy w niechlujny koński ogon. Chusteczką higieniczną starła z ust szminkę i poszła za Tomkiem.

- Czego chce?

Tomek wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Wizyta komendanta wojewódzkiego zawsze wprowadzała nerwową atmosferę. Miła, koleżeńska nic wzajemnego porozumienia zamieniała się w ciche szepty i podejrzliwe zerknięcia. Biedny miejscowy komendant prężył się, jakby był co najmniej na audiencji u prezydenta, a przez kolejny tydzień wyładowywał swe frustracje na Bogu ducha winnych podwładnych, którzy zresztą nic sobie z tego nie robili.

Oboje lekko zestresowani, zatrzymali się przed drzwiami prowadzącymi do gabinetu Marka.

- Wchodź. - Anka popchnęła kolegę.

- Sama wchodzi. Czemu ja mam iść zawsze na pierwszy ogień?
- Podobno jesteś facetem, nie?

Chwilę przepychali się przed progiem i w końcu nieczystym zagranem, polegającym na użyciu masy swego ciała, Tomek wepchnął koleżankę do pokoju szefa. Anka nie poddawała się do samego końca i wpadła jak burza na środek dywanu, trzymając w zaciśniętej dłoni pęk wyrwanych ciemnych loków. *Jasna cholera, co mam zrobić z tymi kłakami? Zjeść?* - zapytała się w myślach.

Uśmiechnęła się uprzejmie w stronę rozwalonego za biurkiem wojewódzkiego i cichaczem wrzuciła kudły do doniczki z uschniętą paprotką. Marek podskoczył na odgłos rabanu, jaki zrobili podwładni, wpadając do gabinetu, po czym znów stanął na baczność.

- Starszy aspirant Anna Sikora.
- Aspirant Tomasz Pajacykow.

Wyprężyli się przed starym zgredem, który wwiercał w nich swe oczka krótkowidza.

- Spocznij.

Ośmielili się głębiej odetchnąć. Anna ze współczuciem spojrzała na Marka, który dalej stał na baczność z nieszczęśliwą miną. *Zrobię wszystko, żeby ten zgred wyjechał od nas zadowolony* - postanowiła, trochę z troski o szefa, a trochę pamiętając o swym noworocznym pomysle.

Ponownie skupiła wzrok na wojewódzkim i strzeliła swój uśmiech, zarezerwowany dla dzieci i kretynów. Jakub Maślak oglądał ją dokładnie od stóp do głów. *I co się tak maślaczysz, pacanie?* Jego uśmiech lekko stracił na intensywności. Wojewódzki postanowił w końcu wyjawić cel swej wizyty.

- Wiecie oczywiście, że za dwa dni Choszczno spotka wielki zaszczyt.

*O cholera, dopiero za dwa dni stąd wyjedziesz?* - Anna zdecydowała się na uśmiech z cyklu: wyjaw wszystko, co wiesz, albo



pożałujesz...

Cisza panująca w pomieszczeniu sugerowała, że żaden z dwójki przybyłych policjantów nie ma pojęcia o spodziewanym zaszczycie. Maślak westchnął ciężko i podniósł oczy do sufitu.

- Przyjedzie tu czterdziestu proboszczów i biskupów z całego kraju. - Cisza trwała.

- No, na pogrzeb ojca biskupa!

Maślak podniósł nieznacznie głos, co świadczyło o jego irytacji. Anna, choć dalej nie wiedziała, o co ta cała szopka, postanowiła działać.

- Mój Boże, to straszne... Nie wiedziałam, że ojciec biskup zmarł...

Jej pośpiesznie wytarte z czerwonej szminki usta ułożyły się we współczujący dzióbek, a w oczach błysnęły łzy.

- Był takim dobrym i wspaniałym człowiekiem. Jego słów na mszach słuchałam z ogromnym wzruszeniem, były takie mądre i głębokie... Naprawdę nie wiem, jak podźwigniemy się z tej tragedii...

Tomek popatrzył na koleżankę z podziwem i potakująco kiwnął głową. Maślak natomiast z każdym jej kolejnym słowem coraz bardziej przypominał muchomora. Albo czerwoną purchawkę.

- Panie komendancie! Co za kretynów mi pan tu przysłał!?

Jego głos zabrzmiał niczym trąby jerychońskie. Marek drgnął, jakby jakaś zbłąkana kula trafiła go prosto między oczy. Pozostali też podskoczyli w miejscu.

- Jakie msze!?! Ojciec biskupa był emerytowanym księgowym! Zmarł kilka dni temu i na jego pogrzeb przyjeżdżają biskupi wraz z synem nieboszczyka - biskupem Andrzejem. No, chyba wiedziała pani, że jeden z choszczeńskich księży kilka lat temu wyjechał do samego Watykanu? I że trzy dni temu zmarł jego ojciec?

Anka czuła, że jej policzki za chwilę eksplodują. Zdecydowanie

nie pomagał jej widok podrygujących gwałtownie ramion Tomasza. Kolega zza biurka obok chrząkał dziwnie, pokasływał i z całych sił zaciskał zęby. Kilka razy z jego krtani wydostał się dźwięk przypominający zduszone krakanie wrony, nieudolnie maskowany gwałtownym kaszlem. Jego twarz była różowa niczym czapki szanownych biskupów, a grymas świadczył o jakiejś ciężkiej wewnętrznej walce.

- Pana coś śmieszy? - Uwaga wojewódzkiego przeniosła się na Tomasza.

- Melduję posłusznie, że nie, panie komendancie. - Chichot, którego nie mógł już powstrzymać, świadczył, że aspirant Pajacykow beczelnie okłamuje swego przełożonego.

- To może ma pan jakiś tajemniczy atak? - Głos Maślaka ociekał zjadliwą ironią.

- Tak jest, panie komendancie. - Tomek złapał się za brzuch i ledwo można było zrozumieć jego słowa. - Melduję posłusznie, że od dzieciństwa choruję na padaczkę.

Anna poczuła, że atak Tomka jest zaraźliwy i za chwilę ona również będzie tarzać się po podłodze u stóp czerwonego ze złości wojewódzkiego.

- Panie komendancie, czy możemy się oddalić? - udało jej się wyjąkać.

- Wynocha stąd!

Komendant Maślak nie udawał nawet, że ich widok sprawia mu przyjemność. Wręcz przeciwnie, gdyby wzrok mógł zabijać, oboje leżeliby w agonii u jego stóp. Tym razem nie walczyli o pierwszeństwo w drzwiach, tylko pędem pokonali próg i wypadli na korytarz. Ich uszu dobiegł wrzask Maślaka i ciche, nerwowe tłumaczenie Marka.

- Boże... Mamy przesrane...

Mimo tych fatalistycznych słów wypowiedzianych przez Annę

rechotali jak szaleni, nie bacząc na wychylające się z sąsiednich gabinetów zdziwione twarze kolegów.

- I to do samej emerytury...

Parskający Tomek wyjątkowo podzielał zdanie koleżanki.

- **I** tym właśnie sposobem mam wolny cały weekend. Marek darł się, jak opętany, że jaja sobie robimy, że on się musiał grubo tłumaczyć, że po premii poleci i tym podobne, ale słyszałam w jego głosie podejrzany chichot. Wszyscy teraz obstawiają ulice i kłaniają się biskupom, a ja mogę sobie spokojnie u ciebie pryszczę wyciskać - zakończyła swe opowiadanie Anka.

Beata nakładała jej właśnie nawilżającą maseczkę na oczyszczone wcześniej pory skóry. Średnio jej szło, ponieważ ręce rozbawionej kosmetyczki ogarnęła dziwna płasawica. Podobnie, jak i całe ciało. Jacek byłby dumny, bo od szaleńczego śmiechu mięśnie brzucha bolały je tak, jakby kobiety wykonały po tysiąc solidnych brzusków.

Po kilku minutach beztroskiego ryczenia Anna postanowiła przejść do poważniejszych tematów. *Chyba nastroiłam ją już do zwierzeń?* - zastanawiała się w myślach.

- No, a co u ciebie?

- W porządku.

Beti nagle przestała być rozmowna.

- Jak sylwester? Słyszałam, że Ajron wywiózł cię na Bornholm?

- Weź mi nie przypominaj... Pół drogi spędziłam przewieszona przez burtę. Rybacy powinni zwrócić Arkowi część kosztów, bo tak ryby dokarmiłam, że połowy będą rekordowe.

- Ale wyspa super, nie?

Kosmetyczka kiwnęła głową i wzięła się za zmywanie niebieskiej brei z twarzy przyjaciółki.

- Co tak wody w usta nabrałaś? Jak ta ryba właśnie. Ja ci tu życie swoje opowiadam, a ty półsłówkami tylko lecisz...

Beata wzruszyła ramionami i bez słowa zakręcała słoiczki i tuby z przeróżnymi kosmetycznymi miksturami.

- Beti... Coś nie teges?

- Wstyd mi gadać...

Anka zaniepokoiła się nie na żarty.

- On ci coś zrobił czy ty jemu? Mam go skuć?

Lekki uśmiech zakwitł na ponurej twarzy Beti.

- Nie... Tylko ja taka głupia jestem. Sama nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Tyle lat za nim szalałam, a teraz...

Pochowała słoiczki do lodówki i usiadła obok zmartwionej Anny.

- Tej nocy, wtedy u Mari, jak robiliśmy pożegnanie lata, przegadaliśmy kilka dobrych nocnych godzin. Gwiazdy świeciły nam nad głowami, w lesie śpiewały słowiki, a ja byłam najszczęśliwszą kobietą we wszechświecie. Arek opowiadał mi o swoim życiu, pracy, o córce Zuzannie... A ja słuchałam tego niczym najcudowniejszej bajki świata. Nie powiedziałam mu oczywiście, że kocham się w nim na zabój, ale on chyba i tak wiedział, bo tak łagodnie patrzył mi w oczy... Później było jeszcze lepiej. Oglądaliśmy filmy, siedząc przytuleni do siebie, piliśmy wino w małych knajpkach, w końcu wylądowaliśmy w łóżku.

Beti znów wstała i kręciła się bez celu po gabinecie. Przesunęła w inne miejsce pojemnik z lakierami, potrzywała chwilę w dłoniach ozdobną miseczkę wypełnioną cynamonowym potpourri i wzięła się za czyszczenie nieskazitelnie czystych narzędzi do manicure.

- Ze mną jest chyba coś nie tak... - podjęła na nowo wątek. - Dwa lata goniłam króliczka, a jak go złapałam, to stwierdziłam, że wolę pieska. Albo hipopotama... Kocham go, ale tak jakoś inaczej. Jak brata na przykład. Choć jestem jedynaczką... - Usiłowała zażartować, ale Anka słuchała jej uważnie i nie próbowała osądzać. -

Wcześniej wydawało mi się, że Pana Boga za nogi złapałam, a teraz, że u tej samej nogi wisi mi jakaś ołowiana kula. Bez sensu... Sama słyszę, że głupoty jakieś gadam. To chyba ze zmęczenia.

Odłożyła pilniki i uśmiechnęła się do policjantki.

- To co, widzimy się we Wiatrakach na kuligu?

- Jasne. To do niedzieli.

Anna wiedziała, kiedy pokazują jej drzwi. Włożyła płaszcz, złapała wiszącą na oparciu krzesła torebkę i uśmiechnęła się na pożegnanie.

Śnieg sypał z nieba grubymi płatkami. Ziemia pod obcasami skrzypiała rytmicznie w takt jej energicznych kroków. Wsiadła do swojej corsy i pojechała w stronę domu. *Życie to jednak dziwne jest - zadumała się. Czegoś nie masz, to źle. A jak w końcu to coś dorwiesz, to jeszcze gorzej...*

## ROZDZIAŁ 6

Nowe Wiatraki, w których mieszkał pozeracz damskich serc, doktor weterynarii Aaron Medinopolus, leżały pięć kilometrów od Choszczna. Właściwie były to peryferie miasta, gdyż przez ostatnie kilka lat miejscowość rozrosła się we wszystkie strony niczym pączkujące drożdżowe ciasto, wchłaniając okoliczne wioski. Nazwę swą zawdzięczały licznym wiatrowym elektrowniom, wyrastającym jak grzyby po deszczu na pobliskich polach.

Ajron - bo taką ksywę nadali mu koledzy jeszcze w czasach szkolnych - mieszkał we Wiatrakach od czterech lat. Miał dziewiętnastoletnią córkę, która została z matką w Poznaniu. Dziewczyna miała kilka lat, gdy jej matka odnalazła prawdziwą miłość w innych niż męzowskie ramionach i zostawiła zdziwionego mężczyznę, który był pewien, że ich małżeństwo jest całkiem udane.

Przez wiele lat szukał miejsca do życia. Zanim wrócił do Choszczna, w którym spędził wcześniej kilka szkolnych lat, pracował w paru klinikach, w poznańskim zoo, założył i prowadził jakiś czas własną lecznicę, ale jego pasją były konie. Kochał ich potęgę i naturę. Uwielbiał dotyk aksamitnych chrap, gdy delikatnie wybierały przysmaki z jego dłoni. Uważał, że nie ma piękniejszych perfum niż zapach siana w żłobach i woń czystej końskiej sierści. Godzinami

mógł podziwiać, jak jego kara klacz Prima dokazywała na pastwisku z ciemnogniadym ogierem o dumnym imieniu Ferdynando, na co dzień zwanym po prostu Ferdkiem.

Dojeżdżając do celu, Anna spojrzała na zegarek. *Punkt trzynasta, jestem genialna...* – pomyślała skromnie. Gdy wysiadła z samochodu pod domem Arka, dobiegł ją wesoły szum. Spośród wielu podnieconych dorosłych i dziecięcych głosów wyłowiła parskanie koni. Wesołego harmidru dopełniało ujadanie co najmniej dwóch psów. *Ho, ho, kroi się niezła imprezka* – przemknęła jej przez głowę radosna myśl. Z bagażnika wytarabaniła stare, pożyczone od sąsiadki sanki. Do kieszeni grubego kozuszka włożyła rękawiczki, poprawiła szalik związany pod szyją i ciągnąc na sznurku swój pojazd na płozach, dołączyła do rozbawionego tłumu.

Na powitanie pierwsze rzuciły się psy. Stara Saba Mariolki nie dawała się wyprzedzić młodemu wilczurowi Ajrona i kłapiąc na postrach zębiskami, zastępowała mu drogę. Wilczarz uznał jej dominację i cierpliwie czekał na swoją kolej, aby na kozuchu nowego gościa zostawić swoją porcję zbrylonego, brudnego śniegu i kłaków. Zaraz za psami biegły dzieci. W obłoczkach pary wydostającej się z ust podskakiwała wesoło Hania w puchatej kurtce i czapce z trzema pomponami. Za nią, szybko przebierając nóżkami, toczyły się dwie nieforemne figurki, okutane w niezliczone warstwy kurtek, czapek i szalików, w których, metodą raczej dedukcji niż rozpoznania, domyśliła się Miśki i Natana.

Przykucnęła i szeroko rozłożyła ramiona w oczekiwaniu na dwójkę maluchów. Nie przewidziała, że czarno-podpalany, długowłose szczeniak, mimo że również zaliczał się do maluchów, waży dobre dwadzieścia kilo i jest bardzo towarzyski. Całym pędem rzucił się w gościnnie rozwarte ręce i chwilę później dziwny tłumok turlał się po ubitej licznymi butami ziemi.

- Sułtan! Ty czubku, buda!

Czyjeś ręce zrzuciły z Anny potwora, który z wielkiej miłości zlizął cały, nakładany pieczołowicie przez pół godziny, makijaż. Widocznie oba kremy, ten ochronny i ten z filtrem, były bardzo dobrej jakości i nietestowane na zwierzętach. No, właściwie teraz już przetestowane. Anka miała nadzieję, że pies nie zdechnie... Ujęła podaną dłoń i z sapnięciem podniosła się ze śniegu.

- Cześć, Anka.

Poprawiła zsuniętą na oczy czapkę i uśmiechnęła się wesoło.

- Cześć, Ajron. Tylko bardzo cię proszę, chociaż ty mnie nie wylizuj.

Czarne oczy błysnęły szelmowsko.

- Jak chcesz. Ale nie wiesz, co tracisz.

- Daj spokój. Parchy po psie jakoś zniosę. Po tobie byłyby trudniejsze do wyleczenia...

Ajron ryknął śmiechem i oboje ruszyli ku grupie czekających na nich ludzi. Zaprzężone do dużych sań konie stały cierpliwie. Za nimi w równym rzędku, połączone ze sobą długimi, mocnymi sznurami, cztery pary małych sanek czekały na swych pasażerów. Ajron wziął od Anki sznurek i dołączył jej sprzęt do pozostałych.

- Jak tam, ludziska? Wszyscy gotowi? To ładujemy się!

Na wyłożonych kocami i skórmi ławkach usadowiły się kobiety z dziećmi. Michalina i Natan pokrzykiwali radośnie na konie.

- Wiśta wio! Wiśta wio!

Mariolka miała prawdziwe problemy z utrzymaniem małego woźnicy.

- Wita jo! Wita jo! - Michalina nie była wcale gorsza.

Na pierwszych sankach usadowiła się Beata. Zaraz za nią usiadł Piotrek trzymający przed sobą niemogącą doczekać się przygody Hanke. Kolejny był Jerzy, który w ocieplanych gumiakach i kufajce wyglądał jak rasowy wieśniak. Ajron zamykał korowód, tuż za wciąż otrzepującą ze śniegu kożuch Anną.



Sąsiad Aarona, mieszkający w domu obok, tego dnia zamienił się w woźnicę. Był to około pięćdziesięcioletni mężczyzna o pochylonej sylwetce i lekko rozbieganych oczach. Pracował u Ajrona, czyszcząc stajnię, oporzędzając konie i ogólnie pomagając w utrzymaniu gospodarstwa. Usiadł na miejscu przeznaczonym dla woźnicy i złapał wodze w sękatę dłoń.

Lekko pokrzykując z emocji, bo przecież nie ze strachu, ruszyli przez szeroko otwarte wrota bramy. Poszczekujące z podniecenia psy pobiegły w ślad za kuligiem. Para unosząca się z grzbietów i nozdrzy koni, wesołe podzwanianie dzwonek przymocowanych do upręży, skrzypienie śniegu pod płozami, szczekanie psów i okrzyki siedzących na saniach osób powodowały, że ich odjazd z zazdrością obserwowały całe Wiatraki. Liczna i hałaśliwa gromada wolno przejechała przez wioskę i przyśpieszając tempa, zniknęła wśród pokrytych śniegiem majestatycznych drzew, zostawiając za sobą równe ślady płóz i dymiącego placka na środku drogi.

**W**ielkie ognisko, ze wszystkich stron otoczone okrągłymi kamieniami, strzelało wysoko w niebo czerwonymi iskrami. Anka wsadziła ogromnego drąga w sam środek żaru i zamieszała mocno, wzbudzając wesołe śmiechy dzieci i pełne oburzenia protesty dorosłych.

- Weź się opanuj!

Jerzy siedział na pniaku i smażył cztery kielbasy naraz, nabite na naostrzony leszczynowy patyk.

- A czy to moja wina, że rozsiadłeś się pod wiatr?

Anka puściła oko do roześmianej Mariolki, siedzącej obok męża i czekającej na to, kiedy tym razem dla odmiany on nakarmi rodzinę. Beata i Ajron, podobnie jak Anna, smażyli zgodnie po jednej, choć słusznych rozmiarów kielbasce. Piotrek nie byłby sobą,

gdyby nie stworzył z grubych gałęzi rusztowania, na którym sprytnie oparł swoje kije, i przekręcając tylko co jakiś czas, nabijał się z zażawionych od dymu oczu Jerzego.

Sąsiad-woźnica wsiadł na rower i pojechał do domu, obiecując wrócić po nich za dwie godziny. *Boże, straszny desperat* – pomyślała o nim Anna, widząc, jak pedałuje z wysiłkiem pod zaśnieżoną górę.

- Nie zgubi się w tym lesie? – zaniepokoiła się Aleksandra.

- Przecież jechaliśmy grubo ponad pół godziny. I to wcale nie tak powoli.

- Da sobie radę – zaśmiał się Ajron, patrząc na oddalające się plecy. – Mieszka tu od dziecka i zna lasy jak własną kieszeń. Często dorabia, zbierając latem jagody czy grzyby jesienią. Czasem widzę, jak z przyczepą chrustu wyjeżdża z lasu i jedzie swoją starą furgonetką na targ.

- A ma pozwolenie z nadleśnictwa? – zaciekawiała się nagle Anka.

- A skąd mam wiedzieć? – Ajron wzruszył ramionami. – Z tego, co wiem, nie przelewa się tam u niego. Nie wnikaj... – poprosił służbistkę.

*W końcu nie muszę samodzielnie zbawiać całego świata* – Anka w myślach zgodziła się z wrażliwym doktorkiem.

Dzieciaki i psy biegały wesoło dookoła ogniska i siedzących w kręgu dorosłych. Przykryte derkami konie, z głowami zanurzonymi w workach z obrokiem, stały nieopodal, parszając co jakiś czas. Polanę, na którą przyjechali wśród śmiechów i pisków, otaczały wysokie świerki i sosny, z których co jakiś czas spadały z łoskotem wielkie czapy śniegu.

W to piękne styczniowe popołudnie słońca, mrozu i śniegu było akurat w sam raz. Anna odłożyła drąg i spojrzała na drugą stronę kręgu, gdzie, dokładnie na wprost niej, siedziała Beata. *Wygląda jak współczesna ukochana Wołodyjowskiego, Baśka* – pomyślała bez zazdrości. Beti miała na głowie futrzaną czapę, a na dłoniach

podobne rękawiczki. W krótkiej, pikowanej czerwonej kurteczce i długich kozakach wyglądała zjawiskowo. Siedzący obok niej Ajron miał za to bardzo mało z pana Michała. Zdecydowanie bardziej przypominał nieokrzesanego Azję. Jedną ręką opiekuńczo obejmował plecy Beti, a drugą pewnie trzymał kij z nabitą nań kiełbasą. Ubrany był w czarną skórzaną kurtkę i dżinsowe spodnie. Choć jego dłonie kryły się w rękawicach, wzgardził czapką i czarne włosy mocno kontrastowały z wszechobecną bielą.

Mimo palącego się ogniska wszystkie nosy i policzki były lekko zaróżowione od mrozu. Mariola, jako że jedynie ona miała wolne ręce, mądrym ludziom, którzy nie posiadali prawa jazdy lub ewentualnie zapewnili sobie szofera, polewała rozgrzewające napoje w metalowe turystyczne kieliszki. Aleksandra, Jerzy i oboje doktorostwo nie żalowali sobie trunków, które mimo gęstej od zimna konsystencji rozgrzewały ich ciała. W przypadku Anny, Marioli i Piotrka funkcję tę musiała spełnić herbata z sokiem malinowym, polewana z pięciolitrowego termosu.

Po skonsumowaniu pysznych, choć w przypadku Anki mocno spalonych, kiełbasek maluchy zaczęły marudzić, więc obie mamy zabrały je na spacer po lesie. Pozostali biesiadnicy rozmawiali i śmiali się głośno, szczególnie ci, którzy malinową herbatę mieli za nic.

- Ciociu, nudzi mi się. Ulepimy bałwana? - Hania szarpnęła Ankę za rękaw. - Tam obok jest fajne miejsce i niezdeptany jeszcze śnieg. Proooszę!

Anka podniosła się z pniaka, zadowolona właściwie z propozycji chrześniaczki, bo też zaczynała się nudzić. Czuła zresztą, że jeszcze trochę i nigdy już nie uda jej się oderwać przymarzniętego tyłka od niewygodnego siedziska.

- Dobra. Ale bałwana? To takie oklepane. Ulepmy coś innego.

- To może aniołka?

- Eee, to już lepiej diabła.

- Dobra! - Hanka zapaliła się do pomysłu zwariowanej ciotki.

Z wielkim pietyzmem uformowały postać. Budulca było pod dostatkiem, więc śnieżna figura miała całkiem spore gabaryty. Z wyrzeźbionego rękoma i kawałkiem płaskiego korzenia torsu wyrastały ramiona o całkiem niezłych bicepsach, a z głowy - dwa okazałe rogi.

- Ekstra! - zachwyciła się Hania.

Anna krytycznie przyjrzała się ich wspólnemu dziełu.

- Trzeba tylko nadać mu charakteru. Marchewki ani nic w tym stylu nie mamy, ale idź po węgle z ogniska, gałązki i może kilka szyszek? Przynieś, co znajdziesz.

Hanka z entuzjazmem pobiegła szukać skarbów, a Anna zajęła się dopieszczaniem szczegółów. Po kilku minutach dziewczynka przybiegła z powrotem, niosąc pełną reklamówkę tajemniczych przedmiotów. Wysypała je u stóp policjantki.

- Spójrzmy, co my tu mamy...

Z czarnych okrągłych węgielków zrobiła duże oczy. Czubek głowy między zaostrzonymi rogami hojnie posypała zeszkobanym z osmolonych gałęzi drobnym popiołem, który po zmieszaniu z mokrym śniegiem przybrał smolistą barwę. W prawą rękę diabła wcisnęła giętki leszczynowy badył.

- Wideł nie mamy z czego zrobić. Może być bat, nie? - skonsultowała się z pomocnicą.

Hania energicznie skinęła głową. Anka odeszła pięć kroków i spojrzała na diabelskiego bałwana.

- Czegoś mi brakuje... Nos. Nos jest za mały.

Podniosła garść śniegu i mały nosek zmienił się w prawdziwy starożytny nochal. Chwilę jeszcze popracowała nad muskulaturą brzucha i stwierdziwszy, że rzeźba jest skończona, stanęła obok, podziwiając swe dzieło. Hania zwieńczyła je, zawiązując na szyi

diabła czyjś szalik.

- Ale fajnie nam wyszło... - zachwyciło się dziecko.

Stały tak w samozadowoleniu, gdy zjawiała się reszta towarzystwa.

- Ooo. Jacka ulepiłaś - zaśmiała się Aleksandra.

- No co ty - sprzeciwiła się Mariolka. - To przecież Ajron!

Anna zdębiała i spojrzała na weterynarza, a później na śniegowego diabła. *Jasna cholera...* - pomyślała.

Niestety, podobieństwa nie sposób było nie zauważyć. Czarne włosy diabła wyglądały identycznie jak oprószone lekko śniegiem włosy Arka. Pejcz w śniegowych dłoniach mógł skojarzyć się z końskim palcatem. No i ten cholerny nos... Podniosła wzrok na przyjaciół. Wszyscy rzeli rozbawieni.

- Patrzcie, nawet szalik jest jego - zawołał roześmiany Jerzy.

Anna w milczeniu spojrzała na współtowarzyszy jeszcze raz, nie mogąc znaleźć żadnej złośliwej riposty, które zazwyczaj rodziły się w jej głowie w mgnieniu oka.

Rzeli wszyscy oprócz Ajrona. Stał obok zwijającej się ze śmiechu Beaty, a jego węgielkowe, niczym u diabła, oczy patrzyły na nią z nagłą uwagą. Annie również nie było do śmiechu. Jak zaklęta stała bez ruchu i obserwowała, jak w czarnych oczach Arka zapalają się mroczne iskry, a jego usta wykrzywia diabelski wręcz uśmiešek. Nie odrywając wzroku od twarzy mężczyzny, odruchowo oblizła spierzchnięte od mrozu wargi i umarła prawie z przerażenia na widok pożądania, jakie zapłonęło w jego oczach.

## ROZDZIAŁ 7

Rozmyślała pół nocy, zanim znalazła rozwiązanie. Od razu po przebudzeniu złapała za telefon.

- Cześć, Jacek.

- Cześć, mała.

Mimo wczesnej pory zadzwoniła bez wyrzutów sumienia, gdyż Jacek co rano o szóstej trzydzieści przygotowywał swe ciało do trudów codziennego dnia, czyli do zjedzenia posiłków, porannego joggingu dookoła jeziora i godzinnego treningu na basenie wieczorem. W sezonie zimowym nie miał zbyt wielu obowiązków zawodowych oprócz suchej zaprawy, którą organizował dla swojej drużyny młodzików, w zależności od humoru, w wodzie lub na lądzie.

- Słuchaj - odezwała się Anka - ostatnio fajnie było w tej knajpie. Może byśmy to powtórzyli?

*Fajnie jak w sali tortur...* - sprecyzowała w myślach.

- Jasne. Z największą chęcią. Kolacja dzisiaj?

*Kolacja...* - Anna pokręciła z niechęcią głową. *Do kolacji to chyba zwariuję...*

- A może śniadanie?

W słuchawce zaległa cisza.

- Masz na myśli kolację ze śniadaniem? Ale to u ciebie, bo do

domu moja siostra przyjechała...

*Boże, co za głąb...*

- Nie kolacja ze śniadaniem, tylko normalne śniadanie. No, rozumiesz... Jajka na bekonie, naleśniki z dżemem, tosty z żółtym serem...

- Aaa... Ja na śniadanie jem płatki zbożowe z odtłuszczonym mlekiem. Zresztą już zjadłem.

- To może przyjdiesz do mnie i jakiś film obejrzymy albo coś...

Zastanawiała się przez chwilę, czy ma w domu jakieś filmy z Arniem. *Mam!* - przypomniała sobie z radością. *Co prawda nie z Arniem, ale wspominał coś o Alu Pacino.* Po chwili jednak stwierdziła, że „Adwokat diabła” to kiepski pomysł. *Brr...* Otrząsnęła się z niechęcią. Jacek przerwał gonitwę jej myśli.

- Za godzinę idę pobiegać.

- O dziewiątej rano? - Anka nie potrafiła nawet wyobrazić sobie, jak bardzo musiałaby być zdesperowana, żeby wpaść na taki pomysł.

- A mogę iść z tobą? - Usłyszała własny głos. *Co?* - zapytała w myślach samą siebie.

- Jasne. To o ósmej pięćdziesiąt pod basenem. Nara.

- Nara. Boże, jaka ze mnie ofiara... - odpowiedziała do pustej słuchawki.

*Głupi, bo głupi, ale za to przystojny* - myślała, szukając w szafie stroju do zimowego joggingu. *I nie stary dziadyga, tylko młode, prężne ciasteczko.* Po chwili przypomniała sobie, że Ajron jest dokładnie w wieku Mariolki, czyli starszy od niej zaledwie o trzy lata.

Znalazła nieco rozciągnięte dresowe spodnie i nauszniki, które dostała od Olki z jakiejś okazji kilka lat temu. Pijąc małymi łydkami gorącą kawę, postanowiła, że będzie się świetnie z Jackiem bawić i ani razu nie pomyśli o cholernym doktorku. Na półpiętrze klatki schodowej stanęła na chwilę. *A jak znów nie zdzierzę jego gadki?* Wróciła po schodach do góry i otworzyła drzwi od swojego

mieszkania. Z kuchennej szuflady wyjęła i wrzuciła do kieszeni kurtki małe kieszonkowe radyjko ze słuchawkami, przywiezione niegdyś przez Piotrkę z wystawki w Niemczech. Radio było bardzo wiekowe i odbierało tylko jedną stację, ale cokolwiek by tam nie gadali albo nie grali, miała nadzieję, że będzie jednak do wytrzymania.

Lekko spóźniona, bo było już pięć po dziewiątej, zaparkowała pod basenem i rozejrzała się w poszukiwaniu swego sparingowego partnera. Gdy go zobaczyła, przełknęła głośno ślinę i rozejrzała się w panice dookoła, sprawdzając, czy czasem nie ma w pobliżu kogoś ze znajomych. Na szczęście oprócz Jacka nikogo nie widziała. *Normalni ludzie są już w pracy – pomyślała z ulgą. A ci, co mają wolne, śpią jeszcze we własnych łóżkach.*

Wolno truchtając, podbiegł obiekt jej obserwacji. Tym razem nie miał na głowie kretyńskiego czepka, tylko całkiem normalną, markową czapkę. Oprócz niej nic więcej nie było niestety normalne. Obcisłe legginsy przylegały do jego długich nóg niczym druga skóra i nie pozostawiały wyobraźni zbyt wielkiego pola do popisu. Równie obcisła krótka kurtka miała na rękawach jaskrawożółte pasy. Specjalne buty do biegania raziły równie jaskrawymi sznurówkami, a nad nimi dziwnie zrolowane na łydkach pyszniły się wełniane getry. Dziwaczny kosmita podbiegł do Anki i uśmiechnął się szeroko na przywitanie.

- Gotowa? Zrobiłaś rozgrzewkę?

- A my będziemy biegać czy nurkować?

- No co ty, przecież jezioro jest zamrożone. Chyba że w przerębli – odpowiedział jak najbardziej poważnie.

Anna westchnęła ciężko i na polecenie Jacka zrobiła kilka skłonów i wymachów ramionami. Przez minutę biegła w miejscu, wysoko podnosząc kolana. Po tej rozgrzewce była tak zmęczona, że zawróciła natychmiast i zastanawiała się, czy na pewno da radę dojść do samochodu zaparkowanego dziesięć metrów dalej. Jacek jednak



złapał ją za rękę i pociągnął na rekreacyjną ścieżkę prowadzącą dookoła jeziora, wyremontowaną z unijnych funduszy i oddaną do użytku zeszłego roku. *Kasa wywalona na bruk* – pomyślała z niechęcią o choszczeńskim burmistrzu Anka. Zaczęli od lekkiego truchtu.

- Bardzo dobrze, że postanowiłaś wziąć się za siebie – pochwalił ją Jacek. - Nic ci nie brakuje – dodał szybko. - Ale jesteś tym, co jesz. A wyglądasz tak, jak trenujesz. - Złota myśl chłopaka była nad wyraz głęboka. - Na początek nie będziemy cię forsować, żebyś się nie zniechęciła.

- Już się zniechęciłam – burknęła Anna.

- Trochę truchciku, trochę marszu, a w przerwach oddechówka i ćwiczenia rozciągające. Spodoba ci się, jestem pewien.

Jacek uśmiechnął się do Anki zachęcająco. Odpowiedziała krzywym uśmiechem i zaciskając zęby, usiłowała nadążyć za kompanem. Po kwadransie była złana potem i dyszała jak lokomotywa.

- Nie gnaj tak – wysapała do chłopaka, który biegł prawie w miejscu.

- Dobrze, zrobimy odpoczynek – zlitował się Jacek z ciężkim westchnieniem.

Anna poczuła do niego gorącą sympatię i spojrzała nań z wdzięcznością w oczach.

- Dzięki.

Rozglądała się za jakąś ławką i absolutnie nie przeszkadzało jej to, że wszystkie obsypane były grubą warstwą śniegu. Już miała klapnąć ciężko na którąś z nich, gdy Jacek złapał ją za rękę.

- Nie ma mowy – powiedział stanowczym tonem. - To najgłupsze, co mogłabyś zrobić. Podczas odpoczynku robimy ćwiczenia rozciągające.

Terrorysta podniósł nogę i lekko zarzucił ją na oparcie ławki.

Spojrzał na Ankę ponaglająco.

- Dobra, dobra.

Poszła za jego przykładem. Całe szczęście, że Jacek miał długie ręce i refleks - sportowy oczywiście, bo w pozostałych kwestiach lekko niestety zawodził. Zdążył złapać Annę za ramię tuż przed upadkiem na zamarznąłą glebę. Gdy odzyskała równowagę, zabrał rękę i złapał za swoją kostkę. Pochylił głowę, czołem dotykając kolana. Anna złapała za swoje kolano i biorąc głęboki wdech, starała się wykonać jak najgłębszy skłon. Coś trzasnęło.

- Jasna cholera! Mój kręgosłup!

Gorąca błyskawica przebiegła przez całe ciało.

- Mógłbyś mi pomóc zdjąć nogę z tej cholernej ławki? - Jej ton nie był bynajmniej proszący.

- Powoli, powoli... - Jacek spanikował. - Możesz się ruszać?

Spróbowała. Niepewnie wygięła plecy centymetr w przód i tyle samo w tył. Podniosła jedną i drugą nogę. Śmielej skrzyła tułów.

- Będę żyć - postawiła sobie diagnozę. - Ale jeśli myślisz, że pobiegnę dalej, to jesteś w błędzie - zastrzegła.

Jacek nie ośmielił się oponować.

- No jasne, jasne... Ale wszystko z tobą dobrze?

Spojrzała łaskawiej, wzruszona lekko jego troską.

- Nie martw się. Po prostu jestem trochę zramolała.

Uśmiechnęła się do chłopaka, dodając mu otuchy.

- Na pewno dojdiesz do samochodu?

Poczucie obowiązku Jacka walczyło z chęcią kontynuowania joggingu.

- Na pewno. Nie martw się, leć.

Jacek spojrzał na Ankę jeszcze raz, ale jego nogi już podrygiwały w miejscu, niczym nogi pełnokrwistego ogiera na sekundę przed startem w Wielkiej Pardubickiej.

- Leć, leć.

Anna ręką wykonała ruch, jakby chciała odpędzić wybitnie upierdliwą muchę, odwróciła się i wolnym krokiem ruszyła w drogę powrotną. Za plecami usłyszała rytmiczny odgłos oddalających się w pośpiechu stóp. *Super* – pomyślała z przekąsem. *Dziękuję ci bardzo, Areczku-dupeczku. Gdyby nie ty, nigdy nie wpadłabym na ten kretyński pomysł.*

Po czym przypomniała sobie, że ma nie myśleć o Ajronie, i wyciągnęła z kieszeni przedpotopowy sprzęt grający. Ściągnęła na chwilę futrzane ochraniacze i włożyła do uszu słuchawki. Po kilku nieudanych próbach spomiędzy trzasków i popiskiwań udało jej się złapać stację. *Drodzy Państwo, kontynuujemy nasz koncert życzeń. Oto dla pana Arka od kochającej żony Moniki piękna grecka ballada o miłości...* Anka wściekłym ruchem wyrwała z uszu słuchawki i z rozmachem rzuciła radio w krzaki.

Po powrocie do domu puściła wodę do wanny i zadzwoniła do szefa.

- Słuchaj, Marek, muszę wziąć ze dwa dni urlopu. Coś mi w kręgosłupie strzyknęło... Nie, nie trzeba do lekarza, walnę się do wyra i poleżę, to samo przejdzie... Jakoś tak stanęłam niezgrabnie... Dobrze, jak nie przejdzie, to się zgłoszę... Dzięki.

Aby wyrównać bilans energetyczny, zamówiła telefonicznie pizzę z salami i ananasem, po czym weszła do wanny. Ciepła woda łagodziła ból pleców. *Jasna cholera, czterdziestka dopiero w marcu, a ja już się sypię...*

Cały dzień spędziła w szlafroku, jedząc pizzę, oglądając telewizję i, ogólnie rzecz biorąc, obijając się słodko. Beztroskę psuły tylko powracające co rusz myśli i wspomnienia o wczorajszym kuligu. Przypominała sobie, jak przewróciły się sanki i wylądowała wraz z Ajronem na poboczu drogi. Ze śmiechem nasypała mu śniegu za szalik i drąc się jak wariatka, umykała, uchylając się przed śnieżnymi

pociskami. *Jakimś cudem wtedy zadyszki nie dostałaś* – krytykowała się w myślach. Wspominała uśmiech, z którym Ajron podał jej ponacinaną myśliwskim nożem kielbasę. *Tak samo szczyrzył zęby do Beti, Mariolki i Aleksandry* – sprowadziła się natychmiast na ziemię. *No i ta cholerna rzeźba... Jak to się stało, że ulepiłam go ze śniegu? Dlaczego moja podświadomość nadała piekielnemu bałwanowi charakterystyczne cechy Ajrona? Przecież nie pomyślałam o nim nawet przez sekundę. Po prostu dobrze się bawiłam, lepiąc z bratanicą śnieżną, abstrakcyjną postać. Dlaczego doktorek, a nie Jerzy lub Piotrek?* Nie znalazłszy odpowiedzi na te pytania, zgasiła światło i poszła spać.

## ROZDZIAŁ 8

Obudziło ją pukanie do drzwi. *Spadać* – pomyślała sennie. Delikatne pukanie zmieniło się w walenie i krzyki.

- Anka! Jesteś tam? Żyjesz?

Z cisnącym się na usta przekleństwem spojrzała na zegarek. Dziewiąta trzydzieści. Zarzuciła na grzbiet szlafrok i poczłapała do drzwi. Jacek stał w progu z wielką papierową torbą. Zrobiła krok w tył i wpuściła do domu niespodziewanego gościa, który skierował się do kuchni i postawił na blacie ciężki pakunek.

- Trochę się martwiłem. - Spojrzał na Ankę żałośnie. - Mam wyrzuty sumienia, że namówiłem cię na bieganie, a później zostawiłem na środku drogi...

- Przecież to ja sama wprosiłam się na twój trening. Poza tym wszystko jest okej. Nie masz się czym martwić.

Na poparcie swych słów zrobiła przysiad i machnęła nogą. Znoszony kapeć wylądował na blacie, obok tajemniczej torby. Nieco zmieszana Anka założyła go z powrotem na gołą stopę.

- Widzisz? Co tam masz? - zapytała po chwili z ciekawością.

- Śniadanie.

Jacek wyszczerzył zęby i zabrał się za opróżnianie torby. Odtuszczone mleko, wielka torba płatków, dwie pomarańcze i litr

niegazowanej wody mineralnej.

- I obiad.

W kolejnym rzędku ustawił opakowanie filetów z piersi kurczaka, torebkę ryżu i pojemnik kiszzonej kapusty. Z wyczekiwaniem spojrzął na policjantkę, która z zainteresowaniem przyglądała się rosnącej wystawie artykułów spożywczych.

- Rozumiem. Teraz wyciągniesz kolację?

Obok już wyładowanego żarcia pojawiła się kostka twarogu, oczywiście odtłuszczonego, i lodygi selera naciowego.

Jacek uśmiechnął się triumfująco i w postaci bonusu wyjął z torby płytę DVD.

- Arnie, Sly czy Bruce?

- Pudło. Najnowsza komedia prosto z Hollywood! Wiesz, ile musiałem się naganiać, żeby ją zdobyć?

Jacek na twarzy miał wypisaną taką satysfakcję i dumę, że Anka była pewna, że za chwilę zdejmie koszulkę i zacznie walić się w piersi zaciśniętymi pięściami. Przedstawienie jednak skończyło się niespodziewanie i gość spokojnie zaczął wkładać zakupy do lodówki. Anna poczuła lekki niedosyt.

- Tylko wiesz co, jest mały problem. - Uśmiechnęła się słodko do niedoszłego Tarzana. - Jestem ci oczywiście bardzo wdzięczna za zakupy, ale ja kompletnie nie umiem gotować. Jem mrożonki albo na mieście. A jeśli mam ochotę na rarytasy, to idę do bratowej lub jadę do kuzynki.

Jacek nie wyglądał na zdziwionego.

- To masz szczęście, bo ja świetnie gotuję. - Uśmiechnął się całą gębą. - I zostanę z tobą cały dzień, żeby zmyć moją wczorajszą winę.

*Matko jedyna* - przeraziła się Anna. *Cały dzień? Mój niespodziewanie wolny od pracy dzień?*

- Nie... nie trzeba. Dzięki jeszcze raz, ale poradzę sobie.

- Żaden problem. Idź się położyć, bo pewnie kręgosłup cię jeszcze

boli, a ja przyniosę ci śniadanko do łóżka. Znam drogę... – Wysilił się na żart.

*Znam drogę... A do drzwi też znasz?* Nie miała jednak serca wywalić na zbity pysk pełnego wyrzutów sumienia chłopaka, poszła więc posłusznie do pokoju i usiadła w fotelu. *Śniadanie do łóżka to jednak będzie przesada* – pomyślała i wzięła się za składanie rozwalonej już drugi dzień pościeli.

Anka stłumiła ziewnięcie i cichaczem spojrzała na zegarek. Dziewiętnasta. Dzień ciągnął się jak flaki z olejem. Zajebista komedia leciała już dobrą godzinę, a niemająca widocznie poczucia humoru policjantka nie uśmiechnęła się ani razu. Jacek za to, rozwalony na fotelu, rżał nieprzerwanie, popijając ze szklanki jakąś ohydnie wyglądającą breję.

– **C**hcesz trochę? – zapytał Jacek godzinę wcześniej, wychodząc z kuchni z dzbankiem shrekopodobnej mikstury.

Anna energicznie zaprzeczyła.

– To przecier z selera. Jest doskonały na potencję.

– Nie, dziękuję. Nie mam jeszcze problemów z potencją – odpowiedziała żartobliwie Anka. – A prostatę badałam w zeszłym miesiącu.

Jacek z aprobatą pokiwał głową.

– To dobrze. Lepiej zapobiegać, niż leczyć.

*Matko jedyna...*

– Masz całkowitą rację. A ty systematycznie wykonujesz mammografię? – Anka badała dalej intelektualne możliwości Jacka.

– Oczywiście.

- Cytologię też?

Napakowany hermafrodyta skinął potakująco głową, podszedł do DVD i włączył płytę.

- Oglądamy?

Załamana Anna bez słowa skinęła głową.

Głośna muzyka wyrwała ją z niespokojnej drzemki. Jacek podniósł swe wysportowane ciało z fotela i wciąż rechocząc, wyłączył film.

- Dobrze było, nie?

- Świetne.

Anka pokiwała z entuzjazmem głową, zastanawiając się, jaki grzech ciężki ostatnio popełniła. *To pewnie kara boska za pogrzeb ojca biskupa* - doszła do prawdopodobnego wniosku.

- Który kawałek najbardziej cię rozśmieszył? - zapytał Jacek.

W panice zaczęła przypominać sobie idiotyczne sceny z filmu...

- Dla mnie najlepszy kawałek był wtedy, jak Bonzo ściągnął spodnie i w samych gaciach latał dookoła domu z gwiazdym mieczem.

Jacek zarechotał głośno.

- No... dla mnie też...

Anna znów spojrzała na zegarek. Dwudziesta dwadzieścia trzy.

- Późno się robi...

- Eee, jeszcze nie tak bardzo.

Jacek pochylił głowę i wpatrywał się w swoją komórkę.

*Pewnie liczy, ile to jest dwadzieścia podzielić przez dwadzieścia trzy...* - pomyślała złośliwie Anna.

- Dwadzieścia trzy po ósmej - podpowiedziała mu.

- No przecież widzę. Zastanawiam się tylko, czy Mirka już wyszła.

- He?



- No, moja siostra. Mówiłem ci, że przyjechała do domu. Jest ode mnie cztery lata starsza. Mieszka i pracuje w Szczecinie. Jest architektem wewnątrz i ma kupę szmalu, więc doprawdy nie rozumiem, o co się tak wściekła.

*No, w końcu może coś ciekawego* - pomyślała śmiertelnie znudzona Anka.

- A o co się wściekła?

Jacek wzruszył ramionami i nachmurzył się jak małe dziecko, co przy jego posturze wyglądało co najmniej zabawnie.

- O ten durny czepek. Mirka też lubi sport i prowadzi zdrowy styl życia. Ma u nas w domu własne stroje i buty do biegania, rower i tak dalej. Raz tylko wziąłem jej czepek, bo mój gdzieś wcięło. Wczoraj poszła na basen i wróciła zła jak osa. Wściekła się, że źle jej się pływało, bo czepek się rozciągnął i spadał na okulary, a włosy wylaziły i całe zmokły... Wielka mi rzecz. Za tę kasę, którą wyciąga od różnych frajerów, mogłaby kupić sobie sto czepków, a czepia się jakiegoś paskudnego starocia... - Jacek był zdegustowany małostkowością siostry.

- No to odkup jej ten czepek i po sprawie. A właściwie po co ci w ogóle czepek? Chyba włosy do oczu ci nie włożą? - Anna nie za bardzo rozumiała dylemat.

- Jeszcze czego! Co ty myślisz, że ja na forsie śpię? - Jacek zdegustował się jeszcze bardziej. - A czepek musi być, bo od chlorowanej wody łupieżu można dostać.

- Aha. No wiesz, ja też na kasie nie śpię, ale dychę mogę ci pożyczyć. A niech stracę, dam ci na zawsze, chcesz?

Gotowa była dać mu nawet stówę, żeby tylko wreszcie sobie poszedł. Jacek posiedział jeszcze chwilę, po czym, stwierdziwszy chyba, że powrót do domu jest już bezpieczny, zaczął się zbierać.

- Szkoda, że już idziesz - odezwała się obłudnie policjantka. Po czym w nagłym strachu, że gość się rozmyśli, szybko podała mu

kurtkę i otworzyła drzwi wyjściowe.

- No, fajnie było. Możemy to jeszcze kiedyś powtórzyć.

Jacek wahał się jeszcze, stojąc w progu. Anka siłą wypchnęła go za drzwi.

- Wpadnij trzydziestego lutego.

- Super - ucieszył się. - Nara! - krzyknął ze schodów.

- Nara.

Kładąc się do łóżka, obiecała sobie solennie, że jutro absolutnie nikomu nie otworzy drzwi. Choćby walili, dzwonili i dobijali się całymi godzinami. *Swoją drogą, miał chłopak pecha, że kolejka po rozum była taka długa...* - pomyślała, zasypiając.

Postanowienie Anny rozwiało się jak mgła tuż po obiedzie, na który zjadła resztki wczorajszego kurczaka z ryżem. *Nie!* - pomyślała w panice, jaka ogarnęła ją na dźwięk dzwonka do drzwi. *Drugiego takiego dnia nie przeżyję...* Dzwonienie nie ustawało. Na paluszkach podeszła do drzwi i ze strachem w oczach, ostrożnie zerknęła przez wizjer. Odetchnęła z ulgą, gdy na klatce ujrzała panią Bronię, mieszkającą piętro niżej sąsiadkę. Przekręciła tkwiący w zamku klucz i otworzyła drzwi, uśmiechając się ciepło.

Pani Bronisława Ochotka była przesympatyczną staruszką. Miła i serdeczna, jako żywo przypominała Ani ukochaną ciotkę Franciszkę. Po śmierci męża mieszkała samotnie i Anka często robiła jej drobne zakupy lub pomagała wnieść na górę ciężką torbę. Uczynność działała w obie strony, bo gdy roztrzepanej policjantce zabrakło cukru bądź mleka, sąsiadka zawsze służyła pomocą. Uśmiech Anki znikł, gdy spojrzała na zapłakaną twarz kobiety.

- Rany boskie! Pani Broniu, co się stało?

Pani Ochotka chlipnęła cicho i weszła do kawalerki. Usiadła w fotelu i cichy szloch zamienił się w Niagarę łez. Przerazona Anka

przyklęknęła przed zapłakana babunią i wzięła jej ręce w swoje dłonie.

- Proszę mi powiedzieć, czemu pani płacze?

Po kilku sekundach pani Bronia uspokoiła się na tyle, aby wyjawic swój niewątpliwie smutny sekret. Wydmuchała nos w papierową chusteczkę, podaną przez coraz bardziej zdenerwowaną policjantkę.

- Aneczko, wstyd mi, że cię proszę, ale nie masz ty czasem pożyczyć mi dziesięciu tysięcy?

- Matko jedyna... gdybym miała tyle kasy... Ale spokojnie, pani Broniu. Załatwimy. Popytam rodzinę, na pewno pomogą.

Zamiast spodziewanej ulgi na twarzy sąsiadki znowu pojawiły się łzy.

- Ale nie wiadomo, czy to wystarczy...

Anna zastanawiała się nad swym dalszym postępowaniem. Pieniądze, wiadomo, rzecz drażliwa. Nie wiedziała, czy zapytać sąsiadkę, skąd nagle wynikła potrzeba zdobycia niemałej w końcu sumy, czy też pominąć pytanie i po prostu pomóc. Pani Bronia poczuła się jednak w obowiązku wytłumaczenia się z niespodziewanej prośby.

- To dla Juleczka.

- Dla pani wnuka? Tego, który wyjechał do Niemiec?

- Tak.

Pani Bronia wyciągnęła z pudełka kolejną chusteczkę i otarła oczy.

- Miał wypadek w pracy, a że robił na czarno i bez ubezpieczenia, to musi zapłacić za leczenie w szpitalu. Grube tysiące tych ełronów...

- Rany boskie... Ale będzie zdrowy? Rozmawiała pani z nim? Co mówił?

- Z nim nie. Dzwonił jego kolega z pracy i powiedział, że Juleczka przywaliła jakąś belka ze stropu, czy coś, i nieprzytomny leży w szpitalu. - Pani Bronia znów zalała się rzewnymi łzami,

a w policyjnej głowie zapaliło się światełko ostrzegawcze.

- A skąd pani wie, że to był jego kolega? Zna go pani? Poznała jego głos?

- A skąd. Juleczek pojechał do tych Niemców całkiem sam, bo u nas roboty żadnej nie mógł znaleźć. To był jakiś inny biedny Polak, który pojechał na obczyznę za chlebem, bo w kraju głodem przymierał...

Dobra kobiecina płakała już nie tylko nad losem wnuka, ale wszystkich młodych, biednych rodaków, którzy zarabiają się w Rajchu za nędzne ełrony.

- Pani Broniu, proszę nie płakać, proszę mnie posłuchać. - Anna odetchnęła głęboko, mając nadzieję, że to, co powie, uspokoi załamana sąsiadkę. - Może to nieprawda, może z Julkiem wszystko w porządku, a ktoś po prostu chce panią oszukać.

Kobieta pokręciła powątpiewająco głową.

- Ja wiem, o czym mówisz, Aniu. Oglądam telewizję i słucham wiadomości. Myślisz, że ktoś chce mnie wrobić, jak to mówią, „na wnuczka”. Ale nie w tym wypadku. Ten kolega dzwonił z telefonu Juleczka. Skąd by go miał, jakby to nie była prawda?

Anna potrząsnęła w myślach głową nad naiwnością dobrej, starej kobiety.

- A może ukradł? Albo Julek zgubił telefon i ten niby-kolega go znalazł?

Nagła nadzieja pojawiła się w oczach pani Ochotki.

- A wiesz, że o tym wcale nie pomyślałam?

- Bo pani jest za dobra, pani Broniu. Pani nigdy nikomu nie zrobiła nic złego, nie okłamała nikogo i sądzi pani, że inni są tacy sami. A życie jest okrutne, kochana sąsiadko.

Pani Bronia zamyśliła się.

- To nie życie jest okrutne, Aneczko, to ludzie są tacy.

Anka pogłaskała strapioną kobietę po pomarszczonej dłoni.

- Będziemy działać. Proszę mi dokładnie wszystko opowiedzieć. A najpierw zadzwonimy do pani syna i synowej. Kontaktowała się już pani z nimi?

- Nie. - Babciunia zwiesiła głowę. - Jak tylko zadzwonił, przybiegłam do ciebie.

Annę wzruszył ten dowód zaufania i jeszcze raz pogładziła spracowane ręce sąsiadki.

- Bardzo dobrze pani zrobiła. Proszę dać mi numer do syna.

Sytuacja nie była tak prosta, jak Anna się spodziewała. Z Juleczkiem nie mogli nawiązać kontaktu. Telefonu, jak wiadomo, nie miał, z rodzicami nie rozmawiał od tygodnia, co ich zresztą nie martwiło, bo zazwyczaj dzwonił raz czy dwa w miesiącu, oszczędzając każdy grosz. Adresu nie znali, bo Julian niczym Cygan często przenosił się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu zajęcia. Ostatnio pracował na terenie Bawarii w małym miasteczku Riemerlingen, około stu kilometrów od Monachium, ale z ostatniej przeprowadzonej rozmowy wynikało, że robota właśnie się skończyła i planował zmienić miejsce pobytu.

- Dobra, nie ma co. Nadajemy sprawie bieg - postanowiła Anna, z uczynnej sąsiadki zamieniając się w stanowczą policjantkę.

Zadzwoniła do Marka i przedstawiła mu sprawę. Komendant zgodził się z nią, że oszustwo jest bardzo prawdopodobne, i polecił pani Ochotce zgłosić się na komisariat.

- Jezus Maria! - Biedna staruszka nie mogła powstrzymać nerwowego drżenia rąk. - A jeśli my tu debatujemy, a biedny Juleczek naprawdę w szpitalu umiera? - Na samą myśl jej oczy znów wypełniły się łzami.

Aspirant Sikora logicznie i skutecznie uspokoiła kobietę:

- Jeśli to prawda, to jest pod opieką lekarską. Nie dadzą mu umrzeć. A na rachunek za szpital uzbieramy, moja w tym głowa. A teraz proszę się ubrać. Jedziemy na komisariat.

## ROZDZIAŁ 9

– Słyszałaś najnowszą plotkę?

Anka i Mariola siedziały w salonie przy aromatycznej kawie, która tylko tu, w „Rapsodii”, smakowała niczym prawdziwy nektar. Właściwie, po nawdychaniu się świeżego, wiejskiego powietrza, u Mariolki wszystko smakowało sto razy lepiej niż w Choszcznie.

Anna dała się ubłagać zaczynającej właśnie zimowe ferie Hani i przywiozła ją na kilka dni do Marioli. Dziewczynka od razu pobiegła do koziej obórki, w której oprócz starej, wrednej Zarazy, rocznej Mandarynki i Cytryny zamieszkało od miesiąca dwóch małych lokatorów. Anna skierowała swe kroki do domu kuzynki.

Na jej przywitanie Natan, kolorujący z entuzjazmem obrazki w jakiejś malowance, podniósł głowę i uśmiechnął się nieśmiało. Wziął z jej ręki słodki przysmak, który mu kupiła, i z wdzięcznością przytulił na chwilę buźkę do jej malinowych spodni. *Jeszcze miesiąc temu na widok obcej twarzy kulił się jak dzikie zwierzątko* – pomyślała z rozrzewnieniem i spojrzała na kuzynkę. Mariola odpowiedziała jej uśmiechem i nastawiła ekspres na kawę.

– Wpadłam wczoraj na chwilę do Beti zrobić hennę i wyregulować brwi. Pomiedzy jednym brutalnym szarpnięciem pęsetą a drugim poinformowała mnie lekkim tonem, że nie jest już

z Ajronem.

Mariola szeroko otworzyła oczy.

- No nie mów!

Anna pokiwała głową, nie wiedząc zupełnie, jak przyjąć tę informację - czy współczuć kosmetyczce, czy jej gratulować.

- Przecież była taka zakochana... - Mariolka również zamyśliła się chwilę.

- Tak mi się zdawało, że ten związek nie przetrwa długo. Zaraz po sylwestrze Ajron wpadł na chwilę obejrzeć młode Cytryny i z jego półsłówek wywnioskowałam, że coś tam u nich nie gra. Biedna Beti... Pewnie jest załamana...

- No właśnie nic a nic. Nawet jakby wręcz odwrotnie.

Obie siedziały pogrążone w rozważaniach nad skomplikowaną naturą ludzkich uczuć. Anka pokrótce opowiedziała kuzynce o rozmowie, jaką przeprowadziła z Beatą na początku stycznia.

- Ona chyba miała większą frajdę z tej platonicznej, romantycznej miłości niż z realnego życia z obiektem swych wieloletnich westchnień. - Mariolka lubiła czasem amatorsko popsykologować. - Konfrontacja marzeń z rzeczywistością pewnie ją rozczarowała i już... Bo nie chce mi się wierzyć, żeby Ajron zrobił jej jakieś świństwo...

- A to niby dlaczego? Ja tam mogę z łatwością wyobrazić sobie doktorka, robiącego świństwa swoim partnerkom. Licznym partnerkom... - zaperzyła się Anna.

Psycholog Mari spojrzała z uwagą na przyjaciółkę.

- Wzięło cię?

- Zwariowałaś?! - Anka gwałtownie odstawiła filiżankę na mały kawowy stolik i wstała energicznie z sofy. - Święta Mari się obudziła! Ajron jest babiarzem, jakich mało. Pamiętasz opowiadanie Beti? Zmieniał panienki jak rękawiczki i nie myślał, czy robi im świństwa, czy nie. Zapomniałaś, jak przyłapała go z tą inspektorką

w magazynie? Później przywalał się do ciebie. Już mu wybaczyłaś łyzy, które wylewałaś przez niego całymi wiadrami? Romantyczne gadki i słodkie macanka? Bezsenne noce i wybałuszanie oczu na drogę, którą miał przyjechać? A teraz Beata! Ajron czaruje tym diabelskim uśmieszkiem, wyszczerza białe zęby i patrzy tak, że majtki same ci spadają. Pozwodzi kilka miesięcy i rzuca!

- Przecież mówiłaś, że to Beti go rzuciła. A łyzy wylewałam nie przez Ajrona, tylko przez Jurka.

Wściekła Anka krążyła po pokoju niczym dzika tygrysica zamknięta w ciasnej klatce.

- Mówiłam, mówiłam... A skąd wiesz, jaka jest prawda?

Mały Natan podniósł głowę znad malowanki i spojrzał na dziwną ciocię, miotającą się po pokoju.

- Wzięło cię.

Tym razem słowa Marioli nie były pytaniem, lecz stwierdzeniem faktu.

- Stuknij się w łeb. Nie wzięło mnie i nie weźmie. Co to ja jestem, szczur jakiś, co się resztkami zadowala? Nawet gdybyśmy z całej ludzkości na ziemi zostali tylko on i ja, to nigdy w życiu nie spojrzę na niego inaczej niż jak na zblazowanego weterynarza.

- Taa...

- Co: taa...? Masz wątpliwości? To chodź na solo przed dom!

Tak wścieklej przyjaciółki Mariolka nie widziała jeszcze nigdy w życiu. Patrzyła na nią zmrużonymi oczami i zastanawiała się nad fenomenem przystojnego mężczyzny.

- A śniegowy diabeł na kuligu?

Anka stanęła w pół kroku, jakby przed tygrysicą wyrosła nagle niewidzialna, acz niemożliwa do przebycia ściana. Z otwartymi ustami, z których przestały płynąć słowa, i rozszerzonymi oczami usiadła z powrotem obok Marioli. Milczała długą chwilę, całkiem jak nie ona.



- No właśnie - odpowiedziała cicho, zarówno kuzynce, jak i sobie samej Anna. - Moja podświadomość sama ostrzega mnie przed tym typem. Gdyby był dla mnie przeznaczony, nie przedstawiłabym go niechcący jako diabła, lecz raczej jako anioła, nie?

- Taa... - Pani psycholog Mariola Mężyk dawno chyba nie uczestniczyła w warsztatach poprawnej polszczyzny. - Bo leżenie na obłoczku i sączenie ambrozji w niebie jest zdecydowanie bardziej podniecające niż dzikie orgie na dnie piekła...

Anka popatrzyła na przyjaciółkę spod byka i ponownie wstała z sofy.

- Ty to jesteś nienormalna.

Zostawiła kuzynkę samą z jej kretyńskimi pomysłami, nałożyła na nogi szare gumki stojące przy drzwiach i poszła do obory, aby porozmawiać z kimś o większej inteligencji. Obojętne, czy z ośmioletnią Hanią, czy z kozami.

Zanim przeszła, a właściwie przeszurała te kilkanaście metrów, zmachała się okropnie. Seksowne buty należały najprawdopodobniej do Jerzego, bo były na nią za duże co najmniej o cztery numery. Wciąż parszcząc ze złości, otworzyła drzwi obory.

Poczuła przyjemne ciepło i miły zapach siana. No, oprócz siana jej nozdrza wywęchały również mniej przyjemne wonie, ale nie przeszkadzało jej to w najmniejszym nawet stopniu. Hania siedziała w boksie Cytryny, z fascynacją obserwując dwa maluchy.

- Patrz, ciociu, ta biała to kózka, a ten czarny to koziołek. Prawda, że są słodkie?

Anna bez wahania przyznała rację bratanicy. Kozłeta naprawdę były słodkie. Najadły się już chyba do syta, bo brykały radośnie w obszernym boksie, podczas gdy ich mama skubała siano, wkładając do żłobu prawie całą głowę.

- Chłopczyk nazywa się Agrest, a dziewczynka Malinka - przedstawiła je uroczyście Hania. - A to jest moja ciocia Ania.

Dobrym manierom stało się zadość. Anna uśmiechnęła się rozbawiona.

- Myślałam, żeby nazwać ją Niezapominajką, bo to była niezapomniana chwila, jak ją pierwszy raz zobaczyłam, ale tak jakoś by nie pasowało, nie? Wszystkie kozy mają imiona owocowe, no, z wyjątkiem Zarazy, więc nie chciałam, żeby mała poczuła się, jakby była adoptowana, więc stanęło na Malince. A Agrest dlatego, że tu, na podbródku, ma taką małą, śmieszoną kropeczkę. Widzisz?

- Widzę - zapewniła ciotka. - Bardzo ładne te imiona. I koziółkom też się chyba spodobały - pochwaliła dumną dziewczynkę.

- Koziółkowi i kózce - sprecyzowało dokładne dziecko.

Anka stała obok boksu, śmiejąc się z zabawnych maluchów, gdy usłyszała odgłos otwieranych drzwi, a na plecach poczuła podmuch zimnego powietrza.

- I po cholere tu przylazłaś? - zwróciła się do Mariolki, nie racząc nawet odwrócić głowy. - Ja i tak uważam, że on ma wredny charakter i go nie lubię. I nawet nie próbuj mnie przekonywać!

- Ja osobiście uważam, że to ona ma gorszy charakterek. Spójrz, jak gnębi tego czarnego koziółka...

Anka odwróciła się gwałtownie i omal nie przewróciła, pośliznąwszy się w wielkich gumiakach na podłodze obory. Ajron złapał ją za ramiona i ustawił w pionie. Chcąc nie chcąc, wciągnęła nosem delikatny zapach perfum, którymi zazwyczaj pachniał.

- I bardzo dobrze. Niech sobie gówniarz nie myśli, że będzie rządził tylko dlatego, że ma jądra - warknęła, gdy tylko odzyskała równowagę.

Weterynarz zaśmiał się ciepłym, miłym dla ucha barytonem.

- No, na razie jeszcze ma. Niech korzysta, póki może.

- Tak... tego właśnie mogłam się spodziewać z twoich ust...

Ajron popatrzył na Ankę ze zdziwieniem.

- A co myślałaś? Jeśli nie jest przeznaczony do reprodukcji, a z tego, co wiem od Jurka, to nie jest, jądra produkujące testosteron są w hodowli tylko przeszkodą. Trzeba go będzie wykastrować. Po pierwsze, jak dojdzie do dojrzałości płciowej, będzie agresywny, a po drugie, jego mięso będzie miało charakterystyczny i nie dla każdego przyjemny, capi zapach.

- Jakie mięso!?! - zbulwersowała się nagle Hania. - Ty go zamierzasz zabić? - Dziewczynka spojrzała z nienawiścią na uwielbianego do tej pory wujka, a jej oczy miały groźne błyskawice. - Jeśli kiedykolwiek zrobisz coś Agrestowi, zabijesz albo to drugie, co mówiłeś... wysrakujesz, czy coś... to ja też cię wysrakuję i zabiję!

Anka z całej siły zacisnęła zęby, żeby nie wybuchnąć śmiechem, zarówno z groźnych słów wściekłej Hanki, jak i z przerażonej nagle miny weterynarza. Dziewczynka z całych sił objęła za szyję koziołka i szykowała się do walki na śmierć i życie z żadnym koziej krwi potworem. Ajron popatrzył na Annę, a jego wzrok błagał wręcz o pomoc.

- No właśnie - dobiła go policjantka. - Jak coś zrobisz Agrestowi, to ja też cię wysrakuję...

Po czym zarzuciła blond włosami i dumnie podnosząc głowę, wyszła z obory, mijając zbaraniałego doktora.

**N**adleśniczy Bogdan Smętek, adekwatnie do nazwiska, smętnie kiwał głową nad położonym na blaszanym stole truchłem sarny.

- Znow się zaczyna - zwrócił się do ubranego w biały fartuch mężczyzny, badającego padłe zwierzę. - Zeszłej zimy jakoś się udało, ale w tym roku znow zaczął działać. Albo zaczęli. Tę przyniósł wczoraj wieczorem jeden z moich leśniczych. Leżała w krzakach między Wiatrakami a Dziadowem. Musiała resztką sił dojść do drogi, pewnie padła z zimna i utraty krwi. Cała tylna noga poharatana do

samych kości... Mimo zimy jest dobrze odżywiona, bo dokarmiamy zwierzyne cały rok, więc się bydlak jeden połakomił. I co? Kotna?

Ajron westchnął ciężko, ściągając długie, gumowe rękawice.

- Tak. Około piątego miesiąca, dwa całkiem już ukształtowane płody.

Ze złością wymalowaną na twarzy spojrział na równie oburzonego leśnika.

- Nie rozumiem ludzi, panie Bogdanie. Przecież wszyscy, nawet laicy, zdają sobie sprawę, że trwa okres ochronny dla leśnej zwierzyny. Samice są kotne, więc jednym czynem mordują co najmniej dwa istnienia. To jest nie tylko barbarzyństwo. To jest działanie na własną szkodę, bo jeśli będzie tak dalej, to za parę lat w naszych lasach zabraknie zwierzyny łownej!

Cisnął rękawiczki do stojącego w rogu kosza na śmieci.

- Macie jakieś podejrzenia?

- Żadnych. Pewnie to ten sam, co kłusował dwa lata temu. A może nie...

- Byłbym wdzięczny za informowanie mnie na bieżąco.

- Dobrze, panie doktorze.

Panowie uścisnęli na pożegnanie dłonie, Ajron wsiadł do swojego jeepa i pojechał na dalszy objazd podległego mu terenu.

## ROZDZIAŁ 10

– Pani Broniu, proszę się nie wygłupiać. Po pierwsze, jest pani moją ulubioną sąsiadką i cieszę się, że mogłam pomóc, po drugie, to jest moja praca, a po trzecie, postanowiłam się odchudzać i te czekoladki na pewno mi w tym przeszkodzą.

- Aneczko kochana, z czego ty się chcesz, dziecko, odchudzać? Z kości na ości?

Roześmiana pani Ochotka wyglądała całkiem inaczej niż tydzień temu, gdy zapuchnięta od płaczu stanęła w drzwiach mieszkania Anny. W rękę dzierżyła największe pudło pralin, jakie znalazła w całym mieście.

Okazało się, że Anka miała całkowitą rację. Po kolejnej telefonicznej rozmowie z rzekomym przyjacielem wnuczka poinstruowana przez policję babcia obiecała wpłacić pięć tysięcy euro na podane przez oszusta konto. Niemieccy policjanci zgarnęli gagatka w momencie, gdy podszedł do bankowego okienka i podał numer rachunku. Szybko wyśpiewał, że pracował z Julianem Ochotką na jednej budowie i ostatniego dnia wspólnej pracy wyciągnął mu z kieszeni telefon komórkowy w nadziei na szybki, pewny zysk. Wiedział, że nazajutrz ich drogi się rozejdą, a prawdopodobieństwo ponownego spotkania jest bardzo znikome,

więc wyszukawszy w kontaktach numer do babci, odegrał zaplanowaną rolę i pewny siebie poszedł do miejscowego oddziału banku po należną gażę.

Był tak pewny sukcesu, że nawet nie pofatygował się o wypłatę w innej miejscowości, co znacznie ułatwiło sprawę tamtejszym policjantom. Wynikało z tego, że babcia Ochotka swą rolę odegrała równie przekonująco i zasługiwała co najmniej na Wiktora, jeśli nie na samego Oscara.

W międzyczasie odezwał się sam, zdrowy jak rydz, Julianek. Kiedy zadzwonił z nowego telefonu, zdziwił się bardzo, słysząc w słuchawce radosne szlochy ulgi.

Anka przyjęła ostatecznie megapudło od rozanielonej babuni, widząc, jak bardzo chce się ona odwdzińczyć za okazaną pomoc. *Spalę jutro na basenie* - rozgrzeszyła się łatwo, wkładając do ust czekoladkę ze swoim ulubionym, migdałowym nadzieniem.

Aleksandra okazała się wybitnie zawzięta i cotygodniowe wyjścia na basen stały się nowym rytuałem przyjaciółek. Z biegiem kolejnych treningów Anna radziła sobie coraz lepiej. Nie pruća jeszcze wody z ponadświatłą szybkością, ale skoordynowała pracę rąk i nóg, pływając dwoma oddzielnymi stylami zamiast średnio zabawną kraulo-żabką.

Zmotywowana utratą dwóch kilogramów bratowa usilnie namawiała ją na aerobik, prowadzony piętro wyżej przez panią Bożenkę.

- Raz w tygodniu basen i raz aerobik. Wiesz, jakie laski będziemy? - fantazjowała Olka. - Latem na plaży będziemy błyskać pięknym ciałem, zamiast chować się pod obszernym pareo. No... to znaczy ja, bo ty wciąż błyskasz, ale żeby dopasować się do Jacka, musisz zlikwidować te swoje nietoperze...

Wychodząc z wanny, Anna stanęła nago przed lustrem, rozłożyła w bok ramiona i potrząsnęła nimi luźno. *Jasna cholera... kiedy urosły mi takie wory?* – Zdołowała się lekko i postanowiła ulec bratowej.

Odoczywała właśnie po zrobieniu kilku długości basenu, gdy ujrzała wchodzącą na pływalnię parę. Jacek przypakował w bicepsach dobre dwa centymetry. Miała nadzieję, że nie kosztem kolejnych szarych komórek. W czarnych kąpielowych spodenkach prezentował się jak Arnold w swych najlepszych latach. Towarzysząca mu dziewczyna wyglądała, jakby Lara Croft zeszła nagle z ekranów komputerów i zmaterializowała się na kafelkach choszczeńskiego basenu. Mówiła coś do Jacka, potrząsając długimi czarnymi włosami. Jacuś potulnie kiwał głową i usłużnie podał jej parę pływackich płetw.

Dziewczyna o ciele mogącym doprowadzić inne, łącznie z Anną, kobiety do zbiorowego samobójstwa podeszła do lustra i założyła różowy czepek. *Aaa, siostrzyczka...* – olśniło Ankę. *Ciekawe, co to za jedna?* Spojrzała na Olę, która zatrzymała się na środku toru, a z jej oczu wyraźnie biło pragnienie mordy.

Podobnie jak na ich torze, zamarł wszelki ruch na całym basenie. Ratownicy wstali nagle ze swoich krzesełek i pusząc się jak pawie, przypomnieli sobie o pracy. Lara, przyzwyczajona pewnie do zachwytów i nienawiści, jakie wzbudzała, w zależności od płci patrzących na nią osób, swobodnie weszła na starter i spektakularnym skokiem na główkę rozpoczęła swój trening. Powietrze prawie zafalowało od westchnień wszystkich obecnych pływaków i każdy wrócił do własnych sportowych zmagania. Olka podpłynęła do szwagierki.

– Ty, Anka... A może dwa razy basen i dwa na aerobik, co? I może rzucimy żarcie?

Anna poczuła palącą i natychmiastową potrzebę zaspokojenia swojej ciekawości. Mijając więc Jacka w połowie toru, zaprosiła go

po basenie na literkę wody w restauracyjce powyżej. Po dwudziestu minutach ostrego pływania i dziesięciu w jacuzzi zmordowane kobiety wyszły z wody.

Para adonisów nie dawała żadnych szans pozostałym uczestnikom, płynąc łeb w łeb, bez chwili odpoczynku.

Susząc włosy, Anka słuchała paplania bratowej.

- Ta to dopiero ideał, co? Żeński odpowiednik Jacka. Żeby tak choć w połowie wyglądać jak ona...

- Daj spokój. Po dwójce dzieci dostanie pewnie cellulitu i rozstępów, a cycki obwisną jej do samego pępka... - starała się pocieszyć podłamana Aleksandrę Anka.

- Ale ty jesteś wredna. Sugerujesz, że cycki mam obwisłe?

Anna wywróciła oczami.

- Nie masz. Mówię tylko, że może się tak zdarzyć u niej.

Zakładając adidas, ponownie błysnęła białkami na mruczane pod nosem słowa Oli.

- Będę musiała poszukać w necie ćwiczeń na podniesienie biustu...

**P**opijały wodę, patrząc z góry na pływających ludzi.

- Anka, pożyczylabyś mi na kilka dni swoje stare zdjęcia z dzieciństwa? Obiecałam dzieciom, że pooglądamy fotki z czasów, gdy byliśmy w ich wieku. Masz na pewno takie, których nie ma Piotrek.

- Jasne. Poszukam w pawlaczu, tylko napisz mi esemesa. Wiesz, że mam sklerozę.

Olka wiedziała to doskonale, bo do dziś nie odzyskała wielu misek i pojemników, w których Anna zabierała na wynos tony jedzenia z częstych, wspólnych, niedzielnych obiadów.

- A wiesz, co jest najlepszym lekarstwem na sklerozę? Nalewka



z niezapominajek - zaśmiała się Anka. - Szkoda, że tu jej nie serwują...

Po pięciu minutach sklerotyczka odezwała się konspiracyjnym tonem:

- Idą.

Aleksandra spojrzała za wzrokiem szwagierki.

- Ja cię pitolę... Ona przyszła na basen czy na rewię mody?

Jacek, choć gabarytowo odróżniał się od pozostałych, siedzących przy stolikach w zwykłych dresach gości kawiarenki, ubrany był na sportowo. Mirka natomiast wyglądała jak milion dolarów. I to kilkakrotnie uprany milion dolarów.

Czarne skórzane kozaki na wysokich obcasach sięgały powyżej kolan. Stumetrowe szczupłe nogi w dżinsowych rurkach nie miały końca. Futro ze srebrnych lisów nonszalancko przewiesiła przez lewe ramię, a prawą ręką machała niedbale drogą torebką. Z głośnym stukotem szpilek podeszła do stolika.

- Cześć - odezwał się Jacek do oniemiałych kobiet. - To moja siostra Mirka.

- Mirella - poprawiła go natychmiast towarzyszka. - Przez dwa „l”. - Wyciągnęła dłoń, jakby chciała, aby ją ucałowano.

- Anna. Przez dwa „n”. - Anka uściśnęła rękę Mirki. - A to moja bratowa Aleksandra. Przez jedno „r”.

Mirella przeniknęła wzrokiem przez niekulturalną policjantkę i uśmiechnęła się łaskawie do Olki.

- Dobrze pływasz.

Aleksandra rozpromieniła się niczym słońeczko.

- Choć mogłabyś zrzucić z dziesięć kilo.

Uśmiech Oli przysłoniła gradowa chmura.

- No, zamawiaj... - zwróciła się apodyktycznie Mirella do brata, który natychmiast odwrócił się i poszedł do baru. Zajęła krzesło naprzeciw Anki. - Podobno chodzisz z moim bratem?

*Ooo, to ci dopiero nowość* – pomyślała zdziwiona Anna. Olka również otworzyła usta.

- A czemu pytasz?

Mirella wyduła pełne usta. *Pewnie silikonowe* – nie omieszkała pomyśleć blondyna o brunetce.

- Nie... nic... Tak się tylko zastanawiam, czy nie jesteś dla niego za stara. O wiele...

*Boże... czemu zostawiłam w domu glocka...*

- Och, Jackowi to nie przeszkadza. Doskonale się rozumiemy. – Anka uśmiechnęła się do przyszłej szwagierki i odwróciła głowę w stronę baru. – Kochanie, weź mi też jeszcze jedną wodę. Gazowaną.

Zaszokowany Jacek zamarł w pół drogi powrotnej do stolika, ale posłusznie wrócił, aby spełnić prośbę swojej nowej dziewczyny.

- Jesteś policjantką? – w pół zapytała, w pół stwierdziła Mirella.

- Owszem. I mam pozwolenie na broń.

- Straszysz mnie?

- Ależ skąd. Czemu miałabym cię straszyć? – zdziwiła się obłudnie policjantka.

Mirella nie raczyła odpowiedzieć.

- Policjanci są tacy prymitywni... – westchnęła w przestrzeń. – A ty masz firmę budowlaną? – zwróciła się do milczącej Aleksandry.

- Widzę, że Jacek sporo ci opowiadał o swej przyszłej rodzinie. – Anna nie dawała się zbyć. – Patrz... a ja o tobie nic nie wiem...

Jej słowa pozostały niezauważone.

- Dużą? – Mirella w pełni ignorowała coraz bardziej wkurzoną Ankę i zwracała się wyłącznie do wciąż niemej Olki.

- Pół Choszczna własnoręcznie zbudowała – potwierdziła skwapliwie Anka.

- Gdybyś potrzebowała projektanta wnętrz, to ja jestem najlepsza. – Mirella uśmiechnęła się do Oli, wyciągając z torebki

złotą wizytówkę. – Chwilowo jestem wolna, więc służę pomocą.

Uśmiech pięknej kobiety był tak szczery, że Annę zabolowały zęby.

– Dziękuję – przemówiła w końcu Olka. – Przekażę mężowi.

Mirella łaskawie skinęła głową. Do stolika wrócił Jacek, niosąc trzy butelki wody mineralnej. Anna przysunęła do niego swoje krzesło i zagruchała słodko.

– Widzę, że mój misiaczek pamiętał, jaką wodę pije jego żabcia.

Wzięła od niego butelkę i prosto z gwinta, duszkiem wypiła całą porcję. Po czym, naturalną kolejną rzeczą, beknęła szczerze z głębi trzewi. Długi, ryczący odgłos zabrzmiał dźwięcznie w małym, choć akustycznym pomieszczeniu. Goście zamarli... Pewnie ze strachu, że zbliża się burza stulecia. Anna odchyliła się na krzesło i drugim, krótkim, acz konkretnym beknięciem wypuściła resztkę bąbelków z żołądka.

– No, przyjęło się. – Uśmiechnęła się szeroko do zaszokowanych współbiesiadników. – Miło było cię poznać, Mirabello. Ola, musimy się już zbierać.

– Mirello – sprostowała z naciskiem oburzona piękność.

Niewierząca własnym oczom ani tym bardziej uszom Aleksandra wstała posłusznie.

– Pa, misiaczku. – Anka pochyliła się nad ogłupiałym doszczętnie Jackiem i wycisnęła na jego ustach soczystego całusa. – Zadzwoń do mnie! – zawołała jeszcze, zamykając za sobą drzwi.

– Boożee! Co to miało być!

Wyjąca ze śmiechu Aleksandra rzuciła się z impetem na kanapę, drgając w dziwnych spazmach. Anka, nie ściągnąwszy nawet butów, podeszła do barku i wyciągnęła butelkę whisky. Spojrzała pytająco na Olkę.

– Pij, pij. Wrócę do domu taksówką.

Anka pociągnęła długi łyk prosto z butelki, po czym z flaszką w dłoniach padła na fotel.

- Nalać ci też?

- A nalej - postanowiła Ola, wycierając załzawione oczy.

Wciąż jeszcze śmiała się głośno, nie mogąc opanować powracających bezustannie fal rozbawienia, które zamieniły się w końcu w czkawkę.

- A twój chłopak pozwala ci pić alkohol? Wiesz, jak to rujnująco działa na organizm?

Czknęła głośno i wybuchnęła kolejnym rechotem na widok wściekłości w oczach szwagierki. Anna kolejnym łykiem opróżniła prawie pół butelki.

- To nie było śmieszne.

- To było zajebicie śmieszne. I daj mi coś jeszcze do picia - zażądała, bo atak czkawki w jakiś irracjonalny sposób rozbawiał ją jeszcze bardziej.

Anna wstała i poszła w kierunku kuchni.

- Tylko nie gazowaną. Błagam!

Kolejne czknięcie i wybuch śmiechu dobiegające z pokoju doprowadziły Ankę prawie do szału.

- Przestań w końcu szczekać! - krzyknęła ze złością do bratowej.

- A to moja wina, że mam w rodzinie prymitywnego psa?

Olkę widać bardzo rozbawił własny żart, bo znów ryczała jak opętana.

- Staram się rozmawiać z tobą tak, żebyś mnie zrozumiała, ty prymitywie... Ale tak beknąć to chyba nie dam rady...

Nalewając do szklanki wodę dla chichoczącej wciąż bratowej, zastanawiała się, jakim cudem wplątała się w tę sytuację. *Matko jedyna... Co mi odbiło? Jak ja się teraz wywinę z tego wszystkiego?* Wróciła do pokoju i podała spokojniejszej już na szczęście Olce lek na czkawkę, który zresztą nigdy jeszcze nie zadziałał, czyli wodę

z cukrem.

- O Boże... Dawno się tak nie uśmieiałam. - Aleksandra czknęła jeszcze raz. - Co cię opętało?

- Ta wydra mnie opętała. - Anna zazgrzytała ze złości zębami. - Najpierw, jak powiedziała, że jestem za stara, i potem ten tekścik o prymitywnych policjantach... Nie mogłam się opanować.

Przypomniała sobie wzrok Jacka, kiedy usłyszał pieszczotliwe słówka. Złość powoli jej przechodziła. A gdy oczami wyobraźni znów ujrzała miny, jakie zakwitły na wszystkich twarzach po jej ambitnym beknięciu, wzorem bratowej zaczęła śmiać się, niczym z najlepszego kabaretu. Ola znów jej zawtórowała. Chichotały tak jeszcze dobrą chwilę, aż w końcu opuściły je wszystkie siły.

- Dobra, idę. Daj tylko te zdjęcia. - Przypomniało się na odchodnym Aleksandrze.

Anna sięgnęła do pawlacza i podała bratowej wielkie pudło.

- Masz tu wszystkie, nie chce mi się przebierać.

Aleksandra wzięła pudło i wychodząc, odwróciła się jeszcze na chwilę.

- Ale ta kawiarnia nad basenem to już jest dla nas spalona na wieki...

## ROZDZIAŁ 11

Anna otworzyła lodówkę. Zasepiła się, spoglądając w jej zawartość. *Olka pewnie zrobiłaby dwudaniowy obiad...* W lodówce znajdowało się jedno jajko, wysuszony kawałek żółtego sera i spleśniała marchewka. Chcąc nie chcąc, musiała jechać na zakupy.

Choszczeński dyskont wiecznie był pełny ludzi, podobnie zresztą jak pozostałe markety. *A ludzie rzekomo tacy biedni...* – pomyślała, po raz kolejny objeżdżając parking w poszukiwaniu wolnego miejsca. Znalazła w końcu, wysiadła z auta i z niechętnym westchnieniem poszła po koszyk, szukając w portfelu drobnych.

Nienawidziła zakupów. Owszem, po wystrzałową bluzkę lub modne buty potrafiła jechać kilkadziesiąt kilometrów, ale kupowanie chleba, masła i innych dóbr spożywczych doprowadzało ją do białej gorączki. Nie znosiła marnowania czasu i kiedy stała w kolejce do kasy, czuła, jak jej poziom endorfin spada w piorunującym tempie. Nie była zbyt zorganizowana i zanim kupiła to, czego potrzebowała, kręciła się po kilka razy między alejkami, przypominając sobie co chwila o kolejnym zapomnianym drobiazgu. Kilka razy, wzorem Aleksandry czy Marioli, robiła przed zakupami długą listę, ale po kilkukrotnym jej zgubieniu stwierdziła, że szkoda czasu na jej tworzenie. Tym bardziej że w koszyku i tak znajdowała później

całkiem inne niż na liście produkty.

*Mąka, cukier, sól...* Idąc wolno, wkładała do koszyka kolejne zakupy. *Masło, żywiecka, kilka jogurtów...* Zatrzymała się obok alkoholi. *Whisky mi Olka wczoraj całe wychłalała...* – pomyślała nieżyczliwie i włożyła do coraz bardziej wypełnionego koszyka dwie butelki bourbona.

- Polecałbym raczej jima albo jacka.

- O nie! Żadnego „jacka” – zdenerwowała się natychmiast.

- Cześć.

Ajron stał z równie jak jej pełnym koszykiem i uśmiechał się niepewnie.

Niepewnie? Anna spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem. *To na pewno ten Ajron, którego znam?*

- Co słyhać? Ostatnio zwiłaś tak szybko, że nie zdążyliśmy porozmawiać.

- Widocznie nie było o czym.

Podniosła podbródek i próbowała wyminąć tarasującego jej drogę mężczyznę. Nie dała rady. Ajron beczelnie ustawił swój wózek w poprzek alejki. Mogłaby pokusić się o przeskoczenie go, bo w podstawówce była całkiem niezła w skoku wzwyż, ale wolała nie ryzykować kolejnego żenującego przedstawienia ze sobą w roli głównej.

- Zabieraj te marchewki – warknęła, widząc wśród jego zakupów co najmniej dziesięciokilowy wór marchwi.

- Bo co? – zachichotał cicho.

- Ulepisz, następnego fantastycznego bałwana?

- Nie muszę. Stoi przede mną w realu – odpowiedziała.

Niewzruszony, zachichotał ponownie. Po chwili jednak spoważniał.

- Aniu, ja rozumiem, że najlepszą obroną jest atak, ale przed czym ty się bronisz?

Jej imię zabrzmiało w jego ustach jak szum wiatru w gałęziach kwitnącej jabłoni. Zabrakło jej tchu.

- Myślisz może, że obraziłem się o tego śniegowego diabła? - W oczach Arka znów zabłyśły iskierki rozbawienia. - Daj spokój... Wręcz odwrotnie, pochlebilo mi to. - Ajron błędnie wytłumaczył sobie przedłużające się milczenie Anny.

- Nie o to chodzi - wymusnęło jej się niechcący.

- A o co?

- O nic.

Ponownie spróbowała go ominąć, ale mężczyzna przytrzymał ją za rękę.

- Anka! Nic nie rozumiem. Przecież nigdy nie było między nami zgrzytów. Chodź na kawę, pogadamy spokojnie. Nie chcę, żeby nasze stosunki popsuły się przez jakieś niedomówienia.

- Nie mamy i nigdy nie będziemy mieli żadnych stosunków!

Dopiero usłyszawszy własne słowa, zrozumiała, jak dwuznacznie zabrzmiały, i zdradliwy rumieniec zaczerwienił jej policzki. Ajron ugryzł się w język, choć już otwierał usta, aby po swojemu wykorzystać jej słowne potknięcie. Mimo złości, nie wiadomo, czy na niego, czy na siebie samą, Anka doceniła jego takt.

- Nie mam czasu. Za trzy godziny muszę być w pracy.

- To chociaż na krótki spacer?

Popatrzył przymilnie, wywalił jęzor i zasapał jak pies.

- Nie mam smyczy.

Tłumiąc śmiech, westchnęła ciężko i niechętnie skinęła głową, choć wiedziała, że nie jest to najlepszy pomysł.

- Ale pozwól mi najpierw skończyć zakupy, okej?

- Dobra. Ale pamiętaj, że idę tuż za tobą. Nie pozwolę ci znowu uciec. - Ajron żartobliwie pogroził palcem i w końcu się odsunął.

Anka ruszyła przed siebie, wrzucając do kosza zupełnie przypadkowe produkty. *No to kolejna wpadka* - wyrzucała sobie. *Nie*



*mogłaś obejść się bez śniadania? Albo pojechać do innego sklepu?* Idąc w kierunku kasy, przypomniała sobie, że miała kupić kilka pomidorów. Obeszła alejkę i zawróciła na początek sklepu, gdzie wyeksponowane były owoce i warzywa niewiadomego pochodzenia. Sapnęła z irytacją, gdy usłyszała za sobą skrzypnięcie wózka. *Bodyguard cholerny* – pomyślała z uczuciem o Ajronie. Grzebiąc wśród mało apetycznych warzyw, usłyszała wredny głosik:

- Będziesz te pomidory jeść czy do nich strzelać?

Boska siostrzyczka o wydrowatym charakterku stała obok pomarańczy.

- Jeść. Do strzelania chciałam kupić trochę mirabelek, ale nie mogę znaleźć.

- No wiesz, zima w końcu jest. Może w słoikach. Ale widziałam w samochodowym na rogu fajny tłumik, może byś sobie kupiła? Niedrogi. - Uśmiech wydry był wyjątkowo podły.

- Nie potrzebuję tłumika. Jak strzelam, to głośno, nie cichaczem w plecy.

- Powiedziałabym nawet, że bardzo głośno... Twoje beknięcie słychać było w Warszawie.

Za plecami Anka usłyszała tłumiony chichot. *Jasna cholera... zapomniałam o nim.* Odwróciła się i spiorunowała spojrzeniem czerwonego ze śmiechu Ajrona.

- A ty czego rzysz?

Mirka vel Mirella podążyła za nią wzrokiem. Na widok Ajrona złośliwe skrzywienie warg zamieniło się w olśniewający uśmiech gwiazdy filmowej. Wypięła do przodu pierś i pretensjonalnie odrzuciła czarne włosy.

- Cześć. - W jej głosie gruchały wszystkie gołębie świata. - Mam na imię Mirella. Jestem siostrą chłopaka Anki.

Omdlewającym ruchem podała rękę mężczyźnie. Ajron również wyprostował się, błysnął z uznaniem zębami i ujął podaną mu dłoń.

- Arek - przedstawił się. Po czym zwrócił się w stronę Anny: -  
Masz chłopaka?

Anka odpowiedziała wzruszeniem ramion. Mirella uroczo skłoniła głowę, zerkając do jego koszyka.

- Widzę, że mamy wspólne pasje. Ja również preferuję owoce i warzywa.

Roześmiała się perliście, jakby powiedziała właśnie najlepszy dowcip świata. Anka zerknęła do jej zakupów. *No oczywiście* - pomyślała. W odróżnieniu od jej i Ajrona koszyków wózek Mirelli zawierał samo zdrowie. Jabłko, pomarańcza, jakieś płatki czy otręby i owszem, kilka marchewek.

- Może pochrupiemy sobie razem co nieco? - Mirka rzuciła powłóczyście, zalotne spojrzenie i mrugnęła długimi czarnymi rzęsami.

Ajron wyglądał, jakby nagle dostał marchewką między oczy, a Anna, jakby chciała tę marchewkę wsadzić Mirelli w... Obojętnie gdzie, oby tylko porządnie zabolalo.

Popatrzyła na stojących naprzeciwko siebie zamartwych w bezruchu ludzi. Oboje czarnowłosi i posągowo przystojni. Obie pary oczu, czarne Ajrona i piwne Mirelli, wpatrywały się w siebie z zachwytem. Z dziwnie niezrozumiałym żalem w sercu pchnęła swój wyładowany koszyk, postanawiając obejść się bez pomidorów. Męska ręka złapała ją za łokieć.

- Gdzie? - burknął Ajron, nie odrywając wzroku od Mirelli.

- Do kasy, a gdzie? - odburknęła. - Myślałeś, że chcę przez zaplecze dać nogę z pełnym koszem?

- Miło było cię poznać. - Doktor ek uśmiechnął się do filmowej gwiazdy, prezentując w pełnej okazałości dwa dołki w policzkach. - Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy...

- Ja również... - westchnęła Mirella tak rozanielona, jakby do orgazmu było tuż, tuż.

Przy kasie, jak zwykle, było pełno ludzi. Anka powoli popychała swój wózek do przodu. Za sobą słyszała kroki doktorka, cholernego wielbiciela przejrzałych mirabelek. Ze złością wrzuciła do koszyka kilka tubek z witaminą C. Wyładowując swe zakupy na taśmę, kątem oka spojrzała w tył. Weterynarz miał wciąż zamglone spojrzenie. *Może ci śrubokrętem wzrok podostrzyć?* Złapała torebkę miętowych gum i pacnęła na stos.

Przyszła kolej Ajrona i tym razem on opróżnił swój koszyk. *Jak zaraz nie przestanie sapać mi do ucha, to go zdziękuję między te maślane oczka!* Trzy opakowania aspiryny powiększyły stertę zakupów Anny.

Jakiś niecierpliwy klient popchnął zbyt energicznie swój wózek i kolejka zakupoholików czekających na debet na kartach płatniczych zmieniła się w meksykańską falę. Na swoich plecach poczuła twarde mięśnie klatki piersiowej, na karku ciepły oddech, a w kolanach nagłe osłabienie. *Jasna cholera!* Kolejne niezidentyfikowane pudełko znalazło się na wierzchu fury przeróżnych artykułów. Ciepły oddech nie zniknął, a do niego dołączył zapach znajomych perfum. Ajron jeszcze bardziej przycisnął ciało do jej pleców i szepnął namiętnie do ucha:

- To z myślą o mnie czy o twoim chłopaku?

Anka nie wiedziała kompletnie, o co mu chodzi, dopóki zmęczona kasjerka nie zaczęła przesuwając jej zakupów nad pikającym skanerem. Zatorowała kolejkę na długą chwilę, stojąc nieruchomo i wpatrując się tępo w zakupioną właśnie paczkę prezerwatyw o smaku bananowym.

*Ten dzień od rana jest do dupy* - stwierdziła niezbyt optymistycznie, wycierając z białej, służbowej koszuli plamę z tuszu, którym usiłowała napęlić pieczętkę. Pod wpływem tarcia z małego, prawie

niewidocznego punktu zrobił się obrzydliwy kleks.

- Jezu, co za fleja... - Tomasz wstrząsnął się z udawanym wstrętem.

- Nie pajacuj, Pajac.

Anka odłożyła gąbkę i spróbowała ukryć plamę, przypinając w to miejsce plakietkę z napisem „Stop wariatom drogowym”.

- Jakie wolisz babki, blondynki czy brunetki?

Sama nie wiedziała, skąd wpadło jej do głowy to pytanie.

- Zależy do czego. - Kolega wzruszył ramionami. - Jak do rozmowy, to brunetkę. A jak do bzykania, to obojętnie.

*A Ajron woli brunetki.* Anna popatrzyła w lustro na swoje blond włosy. *Ciekawe, jak bym wyglądała, gdybym machnęła się na czarno...*

- Serio pytam.

- A ja serio odpowiadam. - Tomasz popatrzył na niecodziennie zachowującą się koleżankę. - Zakochałaś się czy co?

- Tak - odpowiedziała Anna. - W tobie. Do szaleństwa!

Złożyła usta w ciup i cmokając głośno, ruszyła na chłopaka.

- Boże uchron!

Tomek zwiewał przed nią dookoła biurka, piszcząc jak rozdzwiczana trzpiotka. Anka dorwała go, gdy potknął się o wystające krzesło, i złożyła na jego policzku gorącego całusa, starając się jak najbardziej rozmazać czerwoną szminkę.

- Tylko bardzo cię proszę... bądź delikatna... - piszczał Tomek falsetem.

Anna złapała go w pól i przechyliła jak do namiętnego pocałunku akurat w momencie, gdy otworzyły się drzwi.

- Sikora, Pajacykow, do mnie.

Komendant spojrzał na podwładnych z niesmakiem i wyszedł.

- Jasna cholera... - Ance natychmiast odeszła ochota do żartów.

- Wiesz co? - odezwał się Tomek, wycierając z policzka szminkę.

- Chyba poproszę o zmianę partnera. Jak nie pogrzeb biskupa, to molestowanie w pracy... Przerąbane...

Ogarnąwszy się, ruszyli na dywanik.

- Wchodź. - Anna popchnęła Tomka.

Ten westchnął, zapukał i oboje weszli do gabinetu Marka. Komendant popatrzył na nich groźnie. *Co znowu?* - zajęczała w duchu Anka. Twarz szefa nagle się rozpogodziła i Marek uśmiechnął się do nich serdecznie.

- Tym razem wyjątkowo nie na burę - odezwał się wesoło.

- Nie? - autentycznie zdziwiła się Anka.

- Wpłynęła oficjalna pochwała od państwa Ochotków. Dzwonił sam Maślak z gratulacjami, że mam tak bystrych funkcjonariuszy. Dostajecie pochwalny wpis w swoje akta. - Komendant uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- A można to zamienić na gratyfikację finansową? - zapytał głupio Tomek.

- Ty, Pajacykow, nie bądź taki hej do przodu. - Marek pogroził ręką, ale jego oczy się śmiały. - Przyjmijcie więc formalne gratulacje ode mnie i od komendanta wojewódzkiego. - Uścisnął ich dłonie.

- Właściwie to Anka błysnęła - przyznał szczerze Tomek.

- Ale ty opracowałeś wszystko od strony praktycznej - odpowiedziała natychmiast Anna.

Zadowoleni wrócili do siebie.

- I co? - zaśmiała się zaczepnie Anna. - Dalej chcesz zmieniać partnera?

- Gdyby Maślak skojarzył, że to chodzi o mnie i ciebie, to zamiast pochwały dostalibyśmy naganę za opieszałość w pracy - zaśmiał się policjant.

- Chyba masz rację.

Koleżanka zawtórowała roześmianemu Tomkowi. Pochichotali jeszcze chwilę na wspomnienie nieszczęsnego pogrzebu i pochylili się

nad zaległymi dokumentami. Tomasz pilnie pracował, a Anka udawała.

Literki zlały się jej przed oczami, zamiast nich zobaczyła twarz Ajrona i przypomniała sobie całe dziwne przedpołudnie.

Po wpakowaniu zakupów do bagażnika cichaczem wrzuciła do torebki nieszczęsne prezerwatywy, usiadła za kierownicę i chciała zwać. Ajron jednak przewidział jej plan i z zaskoczenia odebrał jej kluczyki od corsy.

- O nie, moja droga. Mieliśmy umowę, musimy pogadać. - Zamachał kluczykami i ostentacyjnie włożył je w przednią kieszeń obcisłych džinsów. - No, chyba że bardzo chcesz mi je odebrać? - Wypiął się prowokująco. - Próbuj.

Anka wzruszyła ramionami.

- A jesteś w stanie wydobyć z siebie choć jedno inteligentne słowo?

- Wątpisz? - Spoglądał na nią zmrużonymi oczami.

- Patrząc na twoje zachowanie przy warzywniaku, to tak.

Zamiast się zezłościć, Ajron wyszczerzył zęby z satysfakcją.

- Zazdrosna jesteś?

- Chyba żartujesz. O tę wydrę?

- No fakt. Miała coś z wydry. Zgrabne ciało...

Gdyby nie to, że kluczyki spoczywały niebezpiecznie blisko jego przyrodzenia, kopnęłaby go prosto między nogi. No, ale mogłaby zniszczyć immobilizer. Ajron westchnął i złapał ją za łokieć.

- Chodź - powiedział.

Poszła za nim niczym grzeczna klaczka prowadzona na uwięzie. Minęli parking i ruszyli w kierunku parku.

- No więc powiesz mi, co straszego zrobiłem, że tak mnie znienawidziłaś?

Anka wzruszyła ramionami, nie znajdując inteligentnej odpowiedzi.

- Chodzi o Beatę?

*O Beatę, Mariolkę i inne Baški, Kaški i Joaški...* - odpowiedziała w myślach.

- Rozstaliśmy się w zgodzie. Na statku, podczas sylwestrowego rejsu, poznała jakiegoś marynarza i od tej pory regularnie korespondują w Internecie.

Zaskoczona Anka podniosła wzrok na Ajrona.

- Ale już wcześniej nie grało. Właściwie od samego początku... Zostaliśmy parą, bo tak jakoś każdy tego oczekiwał... Ale nie iskrzyło. Może na początku, z jej strony... - Ajron opuścił głowę. - Znamy się z Beti od dwóch lat. Lubię ją i szanuję. To dobra dziewczyna, udziela się w naszym schronisku dla psów, ale nie mieliśmy wspólnych tematów, wspólnych pasji... Bawiły nas zupełnie inne rzeczy... Nudziła się ze mną, a mnie nie zależało aż tak, żeby zmieniać coś w swoim życiu specjalnie dla niej. Rozstaliśmy się za obopólną zgodą i życzę jej wszystkiego najlepszego z jej marynarzykiem. - Ajron złapał Annę za rękę. - Wyjaśniliśmy sobie wszystko?

- A Mariolka? - zapytała wbrew sobie Anka.

Ajron uśmiechnął się z czułością.

- Mariolka... W Mariolce kochałem się do szaleństwa w liceum. Była inna niż wszystkie. Cicha, nieśmiała, wrażliwa... I kompletnie mnie ignorowała. Wszystkie dziewczyny robiły co mogły, aby umówić się ze mną na randkę lub chociaż porozmawiać, a ona nic... Jakbym nie istniał. Boże! Jak ja szalałem! Więc gdy po tylu latach zobaczyłem ją w „Rapsodii”, wspomnienia wróciły. Ja byłem wolny, ona w separacji. Lubiłem trzymać ją za rękę i patrzeć w jej niebieskie oczy... Uwielbiałem, jak w jej wzroku pojawiał się błysk, a na twarzy rumieniec... Ona też to lubiła. Nie powiem, zapłonął ogień, ale mnie nie chciała. Porozmawialiśmy szczerze, od serca... Przyjąłem do wiadomości, że wraca do męża i już. Nie skłamię ci, że spłynęło to po

mnie jak po kaczce, nie... Wiele godzin spędziłem na grzbiecie Primy albo Ferdka, nie mogąc poradzić sobie z emocjami, ale w końcu przeszło. Jej również życzę jak najlepiej. Jurek trochę mnie na początku... hmm, powiedzmy, że denerwował, ale z czasem przekonałem się i do niego. Mariolka nie ma mi nic za złe ani Beata, więc czemu ty masz?

Anka sama nie wiedziała czemu.

- A te wszystkie inne... lalunie?

*Boże... co za idiotka ze mnie...* - pomyślała, ale mleko już się wylało. Ajron wybuchnął śmiechem.

- Anka! Ty naprawdę jesteś zazdrosna!

Śmiał się tak serdecznie, że w jego oczach pojawiły się łzy. Śmiał się i śmiał, a Anka czuła, jak jej sympatia do niego rozplywa się wraz z wrednym chichotem. Ciepło w sercu, które poczuła, słuchając jego słów, zamieniało się w lodowate zimno, a ręka, którą jeszcze przed chwilą trzymał w swojej dłoni, pieszcząc odruchowo, zacisnęła się w pięść. W końcu nie wytrzymała i zdzieliła go tą pięścią w bark.

- Przestań rzeć! Ludzie się na nas gapią.

Rzeczywiście, kilka mam spacerujących po parku z wózkami albo trzymających za ręce swoje pociechy spojrzało z uznaniem na śmiejącego się wesoło, przystojnego mężczyznę. Kilka z nich zerknęło z zazdrością na Ankę, porównując pewnie Ajrona do czekających przed telewizorami mężów. Para starszych małżonków, idących spacerkiem alejkami parku i wspierających się wzajemnie, stanęła obok nich, uśmiechając się serdecznie na widok mężczyzny i wpatrzonej w niego kobiety. Być może przypomnieli sobie dawne dni, kiedy zakochani sami beztrąsko spacerowali, trzymając się za ręce i śmiejąc do otaczającego ich świata.

Ajron opanował się w końcu.

- Aniu, nie myślmy już o przeszłości. Przyszłość zapowiada się bardziej interesująco, niż mógłbym to sobie wyobrazić.



- To wyobrażaj sobie dalej, a mi oddawaj kluczyki, bo muszę jechać do pracy.

- Odprowadzę cię.

W drodze powrotnej rozmawiali o neutralnych rzeczach. O pogodzie, która wyraźnie zmieniała się, zapowiadając rychłą wiosnę, o ulubionych filmach i książkach, o muzyce, przy słuchaniu której stawały włoski na przedramionach, i jedzeniu palcami czekoladowych lodów. Rozumieli się doskonale. Gdy jedno z nich zaczynało zdanie, drugie je kończyło. Droga powrotna na parking koło sklepu była zdecydowanie za krótka i Anna, wsiadając do samochodu i przekręcając w stacyjce odzyskany kluczyk, żałowała szczerze, że nie zdążyli poruszyć tak wielu jeszcze, równie fascynujących tematów.

## ROZDZIAŁ 12

Połowa lutego zawsze doprowadzała Ankę do szału. *Posrało tych ludzi kompletnie* – pomyślała już z samego rana, mijając w drodze do pracy różowo-czerwone dekoracje sklepów. Serduszka w każdym rozmiarze, splecione obrączki, słodkie króliczki i misiaczki z nadrukowanymi na brzuchach napisami „I Love You”. Mijający ją ludzie z ogłupiałymi minami tachali bukiety czerwonych róż i ciągnęli maskotki różnych kształtów. *Walentynki, cieszcie się, kretyнки...* – pomyślała mało romantycznie.

Od tygodnia miała już chłopaka, ale dziękowała Bogu, że jej nie nachodził. Miała nadzieję, że jej miłosna deklaracja i przedstawienie w restauracji przejdą bez echa. *Pewnie nie zrozumiał, o co chodzi* – pocieszała się. Jej nadzieja przepadła marnie, gdy zobaczyła na swojej części biurka bukiet kwiatów i szczerzącego zęby Pajaca.

– Wiedziałem, że się zakochałaś. Co to za jeden?

– Księżę William – odburknęła na dzień dobry.

Rzuciła na krzesło kurtkę i porządnie wytarła buty, bo po śniegu zostało już tylko brudne, mokre wspomnienie. Z podejrzliwością spojrziała na bukiet stojący w słoiku po kawie. *Nawet nie najgorszy* – pomyślała z miłym zdziwieniem. Kwiaty rzeczywiście prezentowały się pięknie. No, może wazon nie był w najlepszym guście, ale mimo

tego drobnego szczegółu kolorowy akcent na biurku przykuwał uwagę. Bukiet nie był nadmiernie przesłodzony. Zamiast landrynkowych róż stały w słoiku ułożone w ciekawą kompozycję, wielokolorowe, wesołe frezje. Wzrokiem poszukała bilecika. Zamiast niego spomiędzy kwiatów wystawała czarno-biała fotografia. Sięgnęła po nią z ciekawością, ale i lekkim niepokojem. Na czarnym tle błyszczały tysiące gwiazd, a z pierwszego planu uśmiechała się kobieta w stroju astronauty. W poprzek zdjęcia widniał czerwony napis „Zabiorę Cię właśnie tam, moja Walentyno”. Anna uśmiechnęła się zaskoczona. *Proszę, proszę, wyrabia się chłopak pomalutku...* Jeżeli już, to po Jacku spodziewała się raczej czerwonej róży i obciachowego serduszka.

Nieoczekiwana walentynka poprawiła jej humor i dzień pracy minął szybko, bez większych zgrzytów. W drodze do domu zaszła do biblioteki, aby wypożyczyć jedną czy dwie książki, o których rozmawiała z Ajronem kilka dni temu i które ją zaciekały. Wiedziała z własnych doświadczeń, że w telewizji będą leciały same komedie romantyczne. W babskiej prasie roiło się od mdłych, miłosnych historyjek, a w knajpkach i restauracjach już zbierały się zakochane pary.

Nastawiła się na cichy, samotny wieczór z książką. Wchodziła po schodach, jedną ręką trzymając bukiet, a drugą szukając w torbie kluczy od domu, które, dziwnym trafem, zawsze znajdowały się na samym dnie torebki.

- No, wreszcie jesteś - zaskoczył ją znajomy głos. - Sterczę tu już pół godziny.

Podniosła głowę i ujrzała Jacka. Stał pod drzwiami jej mieszkania, uśmiechając się i chowając za plecami prawą rękę. Z dumą i zadowoleniem podał jej czerwoną różę i pluszowe serduszko z napisem „Kocham Cię nad życie”. *No tak...* - przemknęło jej przez głowę -  *pewnie nie wie, co znaczy „I Love You”...*

- Wszystkiego najlepszego z okazji walentynek... żabciu.

Anka zdusiła w sobie chęć sięgnięcia po broń.

- Znowu? Nie przesadzaj. - Uśmiechnęła się z przymusem, pokazując bukiet. - Te kwiaty są przepiękne, a kartka zabawna. Dzięki.

- To przecież nie jest kartka, tylko serduszko - zdziwił się szczerze Jacek, patrząc na swoją dłoń, w której dzierżył odpustową maskotkę.

Anna westchnęła ciężko i wpuściła mędrca do domu. Różę i serce położyła na szafce, w której trzymała buty, i natychmiast o nich zapomniała. Poszła poszukać naczyń na kwiaty, zastanawiając się kto, bo chyba jednak nie był to Jacek, podarował jej ten zabawny zestaw. Jacek szedł za nią.

- Urodziny masz czy co? - zapytał, obserwując, jak Anna układa kwiaty w wazonie.

- Nie. Dopiero piątego marca - odpowiedziała odruchowo.

- Aha. - Przyjął do wiadomości i zastygł, patrząc na Ankę z oczekiwaniem.

- Co? - Anna nie wiedziała, na co mężczyzna czeka.

Jacek podniósł głowę i machnął nią zachęcająco.

- No, teraz ty.

- Ale co: ja?

Chłopak pokiwał łysą głacą nad tępotą policjantki.

- No, daj to, co masz dla mnie.

*Rany boskie!* Starając się zyskać na czasie, Anka grzebała ręką w torebce. Pomiedzy portfelem, kilkoma szminkami, kluczykami do samochodu i tysiącem niezidentyfikowanych szpargałów wymacała jakąś paczuszkę.

- Proszę. Wesołych walentynek.

Spojrzała na Jacka, uśmiechając się pod nosem, bo uznała, że wręczenie paczki chusteczek higienicznych, jako dowodu miłości do

smarkacza, będzie dobrym żartem. Nie wiedziała, czego się spodziewać. *Albo się uśmiechnie, co byłoby niezłym znakiem, albo obrazi, co też jest prawdopodobne, albo ucieszy, bo pociąga nosem, a pewnie nie ma własnych...* Nie spodziewała się jednak aż takiej radości w jego oczach. Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu i popatrzył na nią z podziwem.

- Ty to jednak jesteś konkretna babeczka. Słyszałem, że dojrzałe kobiety mają niezły apetyt, ale żeby aż taki...?

Anka zdębiała i opuściła wzrok na jego dłonie, które trzymały walentynkowy prezent.

*Boże... zwariowałam doszczętnie...*

Jacek miał na twarzy wypisaną pełnię szczęścia. Jego oczy patrzyły z wyczekiwaniem, a palce otwierały niecierpliwie paczkę cholernych prezerwatyw o smaku bananowym...

**M**ając do wyboru bananowy seks lub wyjście na kręgle, wybrała kręgle. Podjechali taksówką do klubu sportowego, w którym odbywał się brzemienny w miłosne nieporozumienia sylwester. Oprócz sali balowej w klubie znajdowało się wiele innych pomieszczeń. Siłownia, kręgielnia, klub miłośników tenisa stołowego i spora kawiarnia ze stołami bilardowymi i tarczami do darta. Jacek, znający klub jak własną kieszeń, pewnie prowadził Ankę do kręgielni. Już na korytarzu słyszała śmiechy i hałas toczących się po torach kul. *Kolejna porażka...* - pomyślała zniechęcona, gdyż nigdy w życiu nie była jeszcze na kręglach i nigdy też nie ciągnęło jej, aby tam się wybrać. Zostawili w szatni wierzchnie odzienia i weszli do gwarne go pomieszczenia.

- Musisz zmienić buty - poinstruował Annę stały bywalec tego miejsca, podchodząc do długiej lady.

*Zajebicie, coraz lepiej* - marudziła w myślach, przyglądając się

sobie w lustrze. Miała na sobie krótką czerwoną sukienkę z golfem pod szyją i rękawami do łokci. Luźna granatowa kamizelka z opadającymi seksownie ramiączkami pasowała idealnie do granatowych botków na wysokich słupkach, ale nie pasowała kompletnie do ohydnych, płaskich junierek, które kazał jej założyć facet z za lady. *Będę musiała kupić jakiś płyn antygrzybiczy po tej cholernej randce.*

Humor Anny stawał się coraz lepszy. A zamienił się wręcz w ekstazę, gdy ujrzała czarne, uczesane we francuski warkocz kudły, których właścicielka rzucała właśnie pięciokilową kulą z taką gracją, jakby rzucała nic nieważącym piórkiem. Kula potoczyła się po torze, do którego niestety zmierzali. Rozległ się stukot przewróconych kręgli, a na tablicy wyświetlił się mrugający i dzwoniący napis „Strike”. Co gorsza, rozległy się głośnie brawa i z krzesła obok wstał facet o znajomej sylwetce, szykujący się do wykonania rzutu. Mirella już ich zobaczyła i machając radośnie, przyzywała do stolika. Ajron stanął w pół obrotu, obserwując uważnie zbliżającą się parę. Anka przełknęła ślinę. *Cholera jasna, jakim cudem on tak wygląda, mając czterdzieści trzy lata?* Mirella całowała już policzek brata i wydrowato patrzyła na Annę znad ramion Jacka. Ajron podszedł do Anki.

- To jest twój chłopak? - zapytał prosto do ucha, całując ją na przywitanie.

- Tak - odparła ze złością. - A to twoja nowa dziewczyna?

Nie odpowiedział, tylko popatrzył z dumą na piękną wydrę. Wydra nie wyglądała wcale wydrowato. Czarne skórzane spodnie jakimś cudem nie gryzły się z juniorkami, a koszulka na ramiączkach z błyszczącego materiału pasowałaby i na wielką galę, i do sypialni.

- Szkoda, że nici z gry... - odezwała się z fałszywym współczuciem Anka do wrednego babiarza.

- Dlaczego nici? - zdziwił się Ajron, unosząc brwi.

- No przecież na tablicy jest napisane, że strajk. Koniec balu, panno lalu, trudno... Idziemy do domu.

Ajron jedną chwilę stał bez ruchu, by po chwili ryknąć śmiechem.

- Uwielbiam twoje poczucie humoru. Siadaj, postawię ci piwo.

Śmiał się wciąż, idąc do baru, aby złożyć zamówienie. Anka została na miejscu, lekko skonfundowana. Szarpnęła Jacka za ramię.

- Ej, co to znaczy ten strajk?

Jacek spojrział z dumą na siostrę.

- Dobra jest nie? To znaczy, że za pierwszym rzutem zbiła wszystkie kręgle i uzyskała maksymalną liczbę punktów.

Podszedł do toru i wybrawszy najcięższą z kul, przybrał odpowiednią pozycję, po czym puścił ją pięknym ślizgiem. Kręgle się posypały i tablica znowu postraszyła strajkiem. *Nie wygląda to na zbyt skomplikowane* - pomyślała z optymizmem Anka.

- To co? - zapytał Ajron, powróciwszy z baru i podając Ance zimne piwo. - Panowie na panie?

- Nie. - Wydra złapała go pod mankiet. - Para na parę.

*Ja ci dam parę, wydro jedna...* - Anna zgrzytnęła zębami.

- Dobra - zgodził się entuzjastycznie Jacek, po czym podjął dżentelmeńską decyzję. - Ja pierwszy.

Annie nie pozostawało nic innego jak tylko skinąć głową.

Pijąc piwo małymi łykami, Anna obserwowała kolejne rzuty. Adonisowe rodzeństwo znów zastrike'owało, ale Ajron potrzebował dwóch rzutów, aby wszystkie kręgle potoczyły się po torze. Przyszła kolej Anki. Wzorem swych poprzedników podeszła do pojemnika z kulami i podniosła pierwszą lepszą, która wtoczyła się pod jej rękę. Właściwie próbowała podnieść, bo oczywiście przy jej szczęściu trafiła na najcięższą, ważącą co najmniej siedem kilo. Zacisnęła zęby

i nie zmieniała kuli na lżejszą. Stała na wyznaczonym miejscu i włożyła palce w otwory. Musiała mocno zacisnąć pięść, gdyż kula była chyba przeznaczona raczej na męską dłoń i jej szczupłe palce wyslizgiwały się z dziurek. Przyjęła podpatrzoną u graczy pozycję w wykroku, zamachnęła się i z całych sił rzuciła kulę.

Pewnie wszystko potoczyłoby się dobrze, gdyby nie to, że zapomniała rozluźnić mięśni dłoni. Ciężar kuli pociągnął Annę za sobą i przeleciała dobre trzy metry, zanim litościwa siła tarcia zatrzymała jej bezwładnie lecące ciało. Zdezorientowana usiadła szybko, odprowadzając wzrokiem wpadającą do rynny, cholerną kulę. Odwróciła się i spojrzała ze złością na wyjące ze śmiechu towarzystwo. Oparta o ramię Ajrona wydra chichotała złośliwie. Szczery Jacek klepał się po udach i ryczał jak zraniony jeleń. Równie roześmiany Ajron uwolnił się z objęć Mirelli i podszedł do Anny, wyciągając rękę.

- Boże! Z tobą nie można się nudzić...

Zignorowała jego dłoń, która z pewnością śmierdziała zgniłymi mirabelkami, i wstała z godnością.

- Miło mi, że dobrze się bawisz - warknęła niczym wściekły pies.

Rozbawiony mężczyzna poszedł za nią. Kolejne rzuty wyszły nieco lepiej. Po kilku „missach” na tablicy wyświetliły się słowa „open frame”, kilka razy „spare” i pod koniec trafił jej się upragniony „strike”. Przegrali, mimo iż Jacek starał się, jak tylko mógł. Ku zdziwieniu Anny, ostatnie rzuty zaczęły sprawiać jej przyjemność i nawet pożałowała trochę, gdy gra się skończyła. Zgrzana, wypita duszkiem resztę piwa.

- Tylko proszę cię, nie narób nam znów wstydu - odezwała się jadowicie Mirella.

Anka natychmiast spróbowała beknąć, ale na szczęście nie udało jej się powtórzyć swego sensacyjnego wyczynu sprzed tygodnia.

Po kręgielni poszli do klubokawiarni na drinka. We własnych



butach Anka poczuła się zdecydowanie pewniej, dorównując wzrostem wydrze, która miała chyba jakąś tajemniczą kontuzję, bo wisiała Ajronowi na ramieniu, jakby nie była w stanie zrobić samodzielnie ani jednego kroku. Dla odmiany Anna trzepnęła Jacka po wygolonej głowie, gdy ten usiłował złapać ją za rękę. Zamówiła podwójną wódkę z sokiem grejpfrutowym i sącząc gorzkawy napój, obserwowała gruchającą z doktorkiem Mirellę.

- Świetnie grasz, naprawdę jestem pod wrażeniem - mizdrzyła się słodko wydra.

Arek uśmiechał się tylko, z zadowoleniem słuchając pochwał płynących z czerwonych ust.

- To z pewnością zasługa prawidłowej diety. Posłużyły ci te marchewki - bezsensownie paplała dalej.

Anka nie uwierzyła własnym oczom, gdy zobaczyła, jak wydra śliskim ruchem wyciąga słomkę ze swojej, pustej już, szklanki i wkłada ją do drinka Ajrona.

- Te marchewki były właściwie dla koni - przyznał mężczyzna, bez słowa protestu pozwalając Mirelli sączyć płyn z własnej szklanki.

- Zresztą, pomijając pierwszą nieudaną próbę, nowicjuszcze Annie też wychodziło nie najgorzej. - Uśmiechnął się do milczącej policjantki.

Wydra zrobiła współczująca minę.

- Nie potłukłaś się? Musiało boleć, jak leciałaś po tym torze z tyłkiem na wierzchu...

- Skąd. Uwielbiam się ślizgać.

Anna wypiła do końca swego drinka i ponaglająco machnęła ręką na kelnera, żeby natychmiast przyniósł jej kolejnego. Najchętniej z potrójną wódką.

- To co, rewanż? - włączył się do rozmowy Jacek, wskazując stół bilardowy.

- Chętnie - zgodziła się skwapliwie Anna, która w tej grze czuła się zdecydowanie pewniej niż w kręglach. Nie była może mistrzynią,

ale kilka razy udało jej się wygrać podczas wspólnych policyjnych wyjść po pracy. Zamarzyła nagle o bilardowym kiju w swojej dłoni, z którego mogłaby zrobić całkiem niezły użytek.

*Ciekawe, jak tobie leciałoby się pomiędzy stolikami* – uśmiechnęła się mściwie na wyimaginowany we własnej głowie, ale jakże satysfakcjonujący widok ślizgu wydry.

- Ale teraz ja i Anka zagramy przeciwko wam – zdecydował Ajron, ku niekłamanemu żalowi Mirelli.

*Jak chcesz, to też możesz się przelecieć. Tuż za swoją czarnowłosą śliwką* – pomyślała Anka i uśmiechnęła się ponownie, biorąc w ręce najdłuższy ze stojących pod ścianą kijów i z lubością wcierając talk w jego końcówkę.

Jacek ułożył bile i dokonał uroczystego rozbicia. W związku z tym, że dwie pełne wpadły do łóz, Anka pilnie przyglądała się ułożeniu połówek, chcąc za wszelką cenę pokazać Mirelli, że tego dnia nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

Po spudłowanym strzale Jacka ustawiła się w upatrzonym miejscu i szykowała do oddania uderzenia. Pochyliła się nad stołem, uważnie celując. Ajron stanął tuż za nią.

- Może lepiej w trójkę?

- Odsuń się, bo sam w trójkę zaraz oberwiesz.

Ajron zachichotał i pochylił się, powodując, że koncentracja Anny zdecydowanie osłabła. Położył swą ciepłą rękę na jej dłoni ściskającej uchwyt kija.

- Rozluźnij trochę palce.

- Odejdź, mówię chyba wyraźnie?

Nie zważając na słowa, manewrował jej dłonią, układając kij pod najlepszym według niego kątem. Jego twarz była tuż przy jej twarzy i zapach perfum jeszcze silniej ją zdekcentrował. Czarne włosy łaskotały w policzek, a oddech, lekko pachnący whisky, powodował, że długie blond włosy falowały delikatnie.

Czując, że powietrze wokół niej powoduje ucisk w piersiach i uniemożliwia prawidłowe oddychanie, wyprostowała się gwałtownie i przeszła na drugi koniec stołu. Ajron pozostał na miejscu. Szykując się do kolejnego uderzenia, spojrzała niechętny ponad zielonym blatem prosto we wpatrzone w nią oczy. I nie mogła już oderwać wzroku od jego hipnotyzującego spojrzenia. W czarnych oczach płonął diabelski ogień, a gdzieś na samym ich dnie czaiła się obietnica zakazanych rzeczy.

Spojrzała na jego usta, które w odpowiedzi uniosły lekko kąciki, a uśmiech bynajmniej nie zapowiadał grzecznej zabawy. Zapowiadał coś dokładnie przeciwnego.

Pacnęła byle jak kijem. Biała bila nie trafiła nawet w swój cel, a przerażona Anka zastanawiała się, na jaką śmiertelną chorobę właśnie zapadła. *Zaraziłaś się wybitnie groźnym greckim wirusem o nazwie Aaron Medinopolus – wytłumaczyła sobie bezbłędnie. Ten podstępny wirus atakuje wyłącznie kobiety. W dowolnym wieku. Powoduje nagłe, nieregularne bicie serca, nadmierną potliwość, słabość mięśni i degenerację mózgu. Sprawia, że w twojej głowie pojawiają się wizje splecionych ciał, gorących, urywanych oddechów i eksplozji duszy na milion kosmicznych kawałeczków...*

Westchnęła i wiedziała już w stu procentach, że gra ta skazana jest na niepowodzenie. Ale czy miała na myśli bilard, czy swoją odporność na Ajronowy urok, tego sama nie była pewna.

## ROZDZIAŁ 13

Anka nie odważyła się iść ze swoimi wątpliwościami do Mariolki, mimo że z nią właśnie zazwyczaj uprawiała znane babskie zajęcie, czyli dzielenie włosa na czworo. Czułaby się niczym w komedii „Niespodziewana zmiana miejsc”, bo niewiele ponad pół roku temu to Mariolka opowiadała jej o swym zauroczeniu, trzęsących się rękach i miękkich kolanach. Dopiero teraz zrozumiała jej dylematy, sprzeczne pragnienia i chaos w głowie. Czułaby się wybitnie głupio, gdyby Mariola dała jej te same rady, co ona jej. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak strasznie były idiotyczne.

Aleksandra była bardziej pragmatyczna. Nie wnikała, co kto powiedział, a co miał na myśli. Nie ciekawiło jej, jaką miał minę, z kim, po co i dlaczego. No, chyba że chodziło o jej szwagierkę i Ajrona. Wtedy wnikała.

- Byłam już trochę wcięta i zaproponowałam grę w darta. Wiesz, jak nienawidzę przegrywać. Podczas kręgli zrobiłam z siebie idiotkę, w bilardzie zmiażdżyli nas tak łatwo, jak ty miażdżysz czosnek do sałatki. Najgorszy był Ajron. Po moim każdym coraz bardziej żalonym uderzeniu jego pełen satysfakcji uśmiech rósł, jakbyśmy to my miażdżyli ich, a nie odwrotnie. Sam też w ogóle się nie starał. Podczas gdy uderzała Mirella albo Jacek, patrzył sobie spokojnie

albo chodził jak jakiś przerośnięty kocur dookoła stołu, a gdy przychodziła moja kolej, zastygał jak cholerny posąg. I choć obiecywałam sobie, że na niego nie spojrzę, patrzyłam jak idiotka, a wtedy on znowu robił coś dziwnego ze swoimi oczami i moje uderzenia zdawały się psu na budę. Z nim jest coś nie tak. Może to jakiś kosmita, co? Jak myślisz? Więc chociaż w te lotki chciałam wygrać.

Łykem herbaty Anka zwilżyła zaschnięte gardło.

- Po zakończeniu gry w bilard siostrunia znów przykleiła się do doktorka. Jacek usiłował tłumaczyć mi zasady gry, choć przecież doskonale je znam. Co ja poradzę, że przez Ajrona ciągle trafiałam niechcący w pełne bile zamiast w nasze... No więc w ogóle go nie słuchałam, tylko patrzyłam na wydrę gruchającą z Ajronem. Jak położyła mu rękę na głowę i zaczęła gmerać w jego włosach, to myślałam, że szlag mnie jasny trafi! Jacek nastawił darta, na szczęście każdy miał być przeciw każdemu, a nie w jakichś sparowanych kombinacjach, i zaczęliśmy grać. Strzelałam setkę za setką. Mirella siedziała przy stoliku i sączyła kolejnego drinka, a ja wygrawszy w końcu, poszłam wyciągnąć lotki z tarczy i wracając, niby niechcący palnęłam ją prosto w trzymającą szklankę dłoń. No, nie moja wina, że piła akurat krwawą mary. Zalała się tym sokiem pomidorowym od łabędziej szyjki po końce obcasów.

Przypomniawszy sobie ten widok, Anna zachichotała złośliwie.

- Oczywiście, bardzo ją przepraszałam... A Ajronek cholerny znów miał na twarzy ten swój zadowolony uśmiezek. Zaraz potem przyjechały taksówki i rozwiozły nas do domów. A tak swoją drogą, to jestem bardzo ciekawa, skąd ona się tam wzięła. I to razem z Ajronem. Jak ta wydra go dorwała?

- To akurat mogę ci wytłumaczyć - odpowiedziała Ola. - Możesz podziękować swojemu braciszкови. Wpadła kiedyś do jego biura i wcisnęła kit, że coś tam będzie Ajronowi w domu urządzać. Ale,

biedulka, zgubiła numer telefonu, który jej dał, i teraz jest jej tak niezręcznie... Na szczęście przypomniała sobie, że dziewczyna jej brata, Anna, jest siostrą właściciela tej cudownej firmy budowlanej, i jeśli to nie kłopot, to czy mogłaby dostać numer telefonu do swojego klienta...

Życzliwa zazwyczaj Aleksandra parodiowała Mirellę całkiem udanie.

- A facet jak to facet. Zamachała mu przed nosem włosami, wypięła cycki i ogłupiały Piotruńcio dał jej numer do Ajrona. Pewnie gdyby chciała, to oddałby jej całą firmę.

Olka zgrzytnęła zębami. Obie zamyśliły się na długą chwilę.

- A to wydra - odezwała się w końcu Anka.

- Ona jest zdecydowanie cwańsza od braciszka - dopowiedziała Olka.

- No wiesz... Od niego to nawet Miśka jest mądrzejsza.

- Ale generalnie - podsumowała wypowiedź szwagierki Aleksandra - dobry z niego głupek... A na nią uważaj. Może ci sprzątnąć Ajronka sprzed nosa.

- Niech sobie sprząta! - zachnęła się natychmiast policjantka, choć rumieniec na twarzy i zacietrzewienie w głosie świadczyły o czymś zupełnie innym. - Ale wracając do Ajrona i do mnie...

Aleksandra uśmiechnęła się dyskretnie i czekała na puentę, którą z pewnością miała zamiar uraczyć ją szwagierka.

- Ja sama siebie nie poznaję. Nie rozumiem swojego zachowania ani emocji. Najpierw ten kulig... Wszystko zaczęło się od tego cholernego diabła. Do tej pory traktowałam Ajrona jak każdego innego faceta. Normalnie z nim gadałam, nie myślałam o nim więcej niż o Piotrku czy Jurku... A teraz, mało tego, że chodzę rozdygotana jak jakaś ryba w galarecie, to jeszcze robię z siebie durnia raz za razem. W jednym momencie mam ochotę trzasnąć go po głowie, a za chwilę wpatruję się w niego wzrokiem tęskniącym za rozumem... Raz

go nienawidzę, raz śmiejemy się wspólnie nie wiadomo z czego. Kumasz coś z tego?

Ola uśmiechnęła się do swojej bystrej zazwyczaj przyjaciółki, która teraz zachowywała się jak mała, zagubiona w świecie dorosłych dziewczynka.

- Kumam, kumam. I ty też doskonale wiesz, co to znaczy.

- Nie! Błagam cię, tylko mi tu nie opowiadaj o miłości, jak Mariolka! Miłość powinna być fajna. Człowiek powinien fruwać z motylami w brzuchu i patrzeć na wszystko z optymizmem, a ja czuję w sercu kamienie i zamiast uśmiechać się do wszystkich mam ochotę każdemu podstawić nogę. Albo oblać go krwawą mary.

- Miłość ma wiele twarzy - odezwała się cichym głosem Ola. - Nie tylko tę, o której mówisz. To, o czym wspomniałaś, to nawet nie miłość, to zaledwie zakochanie. Przeżywają ten stan już nastolatki i to zazwyczaj kilka razy do roku. Nie możesz też mylić miłości z pożądaniem, choć są to dwie rodzone siostry i pierwsza bez drugiej nie ma szans. Miłość to chęć dzielenia się wszystkim z drugim, konkretnym człowiekiem. - Ola wzięła łyk herbaty i popatrzyła w stronę okna. - Miłość jest wtedy, gdy czujesz, że natychmiast musisz pogadać z nim o właśnie przeczytanej książce albo opowiedzieć o przykrości, która cię spotkała. I masz pewność, że on zawsze cię wysłucha. Wtedy, gdy idziesz z nim na grzyby, choć nienawidzisz pająków, i z uśmiechem na twarzy czyścisz później obślizgłe kapelusze, aby zrobić jego ulubioną zupę grzybową. Gdy zbierasz rozwalone po całym domu skarpetki lub wstajesz półprzytomna z samego rana, aby zrobić mu śniadanie do pracy lub tylko dać buziaka w policzek. I wtedy, gdy czujesz w sercu ciepło nie do ogarnięcia, gdy pojawia się w drzwiach, a jego oczy mówią, że nie chciałby widzieć w tym momencie nikogo innego, tylko ciebie, choć masz obwisłe cycki i parę kilo nadwagi.

Aleksandra rozmarzyła się i dalej z cielecą miną wpatrywała się

w okno. Anka podążyła za spojrzeniem bratowej. Piotrek, ubrany w stare, rozciągnięte dresy i zdeptane adidas, rąbał na podwórku grube kłody drewna. Krzywo ustawiony klocek przewrócił się i mężczyzna z irytacją odrzucił siekiere, gestykulując gniewnie sam do siebie.

- Również wtedy - głos Aleksandry zadrżał nieznacznie - gdy na przeraźliwy odgłos pędzącej karetki pogotowia podskakujesz go góry i dzwonisz w panice, aby usłyszeć jego głos. Lub gdy spóźnia się pięć minut do domu, patrzysz na stojące, zdawałoby się, w miejscu wskazówki zegara, wyobrażając sobie najczarniejsze scenariusze.

Anna oderwała wzrok od brata i stwierdziła, że wie już wszystko, a nawet zdecydowanie za dużo.

- Wiesz co? To ja chyba sobie wibrator kupię. Mniej z nim problemów.

Wychodząc z domu Piotrka i jego żony, dla własnego dobra postanowiła trzymać się z daleka od Ajrona i jego hipnotycznych seansów. *Wcześniej szlag mnie jasny trafi, niż będę zbierać jego śmierdzące skarpetki* - przyrzekła sobie solennie.

**W** drodze powrotnej postanowiła zrobić małe zakupy. Pomna swego przyrzeczenia, szerokim łukiem ominęła dyskont i zatrzymała się przy małym sklepiku spożywczym.

W tym samym czasie kilkanaście kilometrów dalej rozgrywał się dramat. W mieście nie było już śniegu, ale w lasach ścieliły się jeszcze brudnoszare łachy. Jedna z nich, zryta w męce kopytami, oprócz bieli i szarości mieniła się wszystkimi odcieniami czerwieni. Młoda łania szarpała się przez chwilę w metalowych zębiskach, ale chwilę później chrapnęła z wysiłkiem ostatni raz i znieruchomiała. Jej wyдутy brzuch poruszył się gwałtownie, małe kopytko próbowało jeszcze wywalczyć sobie życie, ale po kilku minutach jedynym



zauważalnym ruchem był tylko trzepot skrzydeł jakiegoś ptaka i delikatne kołysanie poruszanych wiatrem gałęzi.

-Anka, stary cię wzywa.

- Znowu?

Anna popatrzyła z niechęcią na Tomka. Wychodziło na to, że spokój się skończył. Cały tydzień biła się z myślami.

*Nie, to nie dla mnie. Super, że Olka jest wciąż zakochana i szczęśliwa z Piotrkim. Niech zbiera te jego skarpety i czyści grzyby z obrzydliwych ślimaków. Ja wolę pobyczyć się z książką albo pooglądać ciekawy film. Po cholere mi te huśtawki nastrojów, łyż w poduszkę albo bezsenne noce. Do tej pory radziłam sobie bez faceta i poradzę sobie dalej. Seks jest grubo przereklamowany i zbyt wielką cenę trzeba płacić za chwilę przyjemności ze stałym partnerem.*

Anna nie była oczywiście dziewicą. Miała w życiu kilku partnerów, z jednym była nawet kilka lat, ale jakoś wszystkie jej związki nie przetrwały próby czasu. Gdy tylko mężczyzna zaczynał mówić o małżeństwie lub choćby wspomniał o wspólnym zamieszkaniu, zaczynała wycofywać się rakiem, choć jej znak zodiaku był całkiem inny.

*Trudno, widocznie jestem zimna jak ryba - pomyślała z przekąsem.*

Widok obcej szczoteczki do zębów w jej łazience wzbudzał niepokój, a męskie marynarki wiszące w tej samej szafie obok sukienek doprowadzały do wojny o terytorium.

Przez czterdzieści lat życia, z czego dwadzieścia na własnym wikcie i we własnym, kupionym na odchodne przez matkę mieszkaniu, nabyła różnych przyzwyczajień, dziwactw i manier. Nie lubiła, gdy ktoś za nią podejmował decyzje lub wtrącał się w jej

sprawy. Podobnie jak i Piotrek, szybko nauczyła się niezależności. Gdy niespodziewanie umarł ojciec, mama nie dawała rady samotnie żyć w świecie, który do tej pory w każdym aspekcie dzieliła z mężem. Po tragicznym odejściu swej siostry i szwagra, rodziców Marioli, wyjechała na stałe do kuzynki od lat mieszkającej w Kanadzie i wtopiła się w tamtejszy klimat. Dzwoniły do siebie z życzeniami świątecznymi i na urodziny, ale kontakt był luźny i niezobowiązujący. Matka odwróciła kolej rzeczy i zamiast pozwolić odfrunąć z gniazda swoim pisklątom, odfrunęła sama, mając nadzieję, że pisklęta poradzą sobie bez niej.

I poradziły sobie, choć może właśnie takie, a nie inne relacje rodzinne spowodowały, że Anna, w odróżnieniu od Piotrka, nie czuła pragnienia domowego ogniska i w zupełności wystarczało jej swoje własne towarzystwo. Postanowiła więc odrzucić dziwnie niezrozumiałe emocje, które narastały w jej ciele pod wpływem pewnego weterynarza. *Gdyby to nie był Ajron, przespałabym się z gościem i już, ale nie z nim* – postanowiła sobie po raz kolejny, krzywiąc się na myśl o jego licznych, damskich trofeach.

– **W**iesz, czego chce?

– Nie mam pojęcia.

Pajac usiadł do swojej roboty, a Anna ruszyła do gabinetu Marka. Siedział za pełnym papierów biurkiem z nieodgadnioną miną.

– Siadaj. Robótka będzie dla ciebie.

Anna zajęła miejsce na niewygodnym krześle i zamieniła się w słuch.

– Znowu uaktywnili się dealerzy narkotyków. Jeden z ojców złożył zawiadomienie o wyrostku, który dał jego synowi, uczniowi trzeciej klasy podstawówki, cukierka z narkotykiem. Po powrocie do domu chłopak był pobudzony, później prawie nieprzytomny, a na końcu

odchorował w kiblu kilka dobrych godzin. Rodzice zawieźli dzieciaka do lekarza, a ten po wykonaniu badań stwierdził w moczu obecność THC.

- Jasna cholera. Marihuanę podali dziewięcioletniemu dziecku?

- Mały opowiedział rodzicom o cukierku i łatwo było dodać dwa do dwóch. Typy zaczynają od miękkich narkotyków, a jak dzieciak nabierze zaufania, wciskają coraz mocniejsze i za kilka miesięcy stały klient gotowy. Ten wyrostek chyba coś źle zrozumiał, bo dealerzy zaczynają swą akcję raczej ze starszymi dzieciakami. Maluchy zazwyczaj są jeszcze za naiwne i zbyt wiele opowiadają swoim rodzicom, tak jak w tym przypadku.

Anna pokiwała głową, zgadzając się z szefem.

- Na szczęście mamy już typka. Dzięki monitoringowi szkoły wszystko pięknie się nagrało i szczył śpiewa teraz nazwiska w antynarkotykowym w Szczecinie.

Oboje uśmiechnęli się z satysfakcją.

- Ale skoro sprawa jest już wyjaśniona, to po co mnie wezwałeś?

- Szacunek podwładnej do przełożonego był doprawdy godny podziwu. - Bo chyba nie tylko po to, aby opowiedzieć mi historyjkę z happy endem?

- Trzeba przeprowadzić edukacyjno-prewencyjną pogadankę w szkole. - Szef patrzył z zadowoleniem, jak mina jego podwładnej momentalnie rzednie. - I to będzie właśnie zadanie dla ciebie.

- Czemu dla mnie? Nie może ktoś inny? - zajęczała błagalnie.

Marek sięgnął po argument nie do przebiccia:

- Zdaje mi się, że twoja chrześniaczka chodzi do tej szkoły... Chciałabyś, aby to ją poczęstowano kolejnym cukierkiem?

- Dobra, dobra...

Ankę przeraziła myśl o narażaniu kogokolwiek ze swojej rodziny na najmniejsze nawet niebezpieczeństwo.

- Tak właśnie myślałem. W przyszły poniedziałek. - Komendant

uśmiechnął się przebiegle. – I wierzę, że twoja pogadanka będzie bardzo przekonująca i pozostanie na zawsze w ich małych mózdkach.

*Sam masz mały mózdek* – pomyślała o szefie, zła, że tak łatwo dała się wmanewrować.

Pogadanki, a szczególnie pogadanki dla dzieci, były tym, przed czym wszyscy policjanci bronili się rękami i nogami. Anna westchnęła ciężko, zasalutowała niedbale i poszła do siebie.

–**D**latego pamiętajcie! Żadnego przyjmowania czegokolwiek od obcych ludzi. Wsiadania do samochodu czy innego pojazdu, nawet jeśli ten ktoś mówi, że przysłał go tatuś lub mamusia. Najlepiej w ogóle nie rozmawiajcie z obcymi, bo nie wiadomo, czy czasem nie chcą oni zrobić wam krzywdy.

Anna zakończyła swą prawie godzinną przemowę. Westchnęła z ulgą, bo zaczynały boleć ją nogi. Ubrana w galowy mundur i buty na niewielkich obcasach, starała się, jak mogła, aby uwaga dzieci nie rozproszyła się i żeby jej słowa utkwily w ich pamięci.

Cały weekend przygotowywała sobie mowę. Opowiedziała licznej grupie maluchów o zdarzeniu, jakie miało miejsce w ich szkole. Drobiazgowo opisała męki, jakie biedne dziecko przechodziło po zjedzeniu cukierka z narkotykiem, dodatkowo wspomniała o ostrym laniu spuszczonego chłopakowi przez rodziców. Postraszyła dzieci wymieraniem szarych komórek i brakiem kasy na własne przyjemności i nie zdziwiła się zbytnio, gdy druga groźba okazała się bardziej skuteczna.

Dzieci w wieku od siedmiu do dziewięciu lat słuchały jej z uwagą i tylko kilka razy policjantka kątem oka zauważyła jakieś ziewnięcie. Nie przemyślawszy swojej decyzji, zwróciła się jeszcze do grupy:

– Czy ktoś z was ma jakieś pytanie?

Wstał mały rudzielec.

- A kto to był ten chłopiec? Ten, co się połakomił na cukierka?

Anna otworzyła usta, aby powiedzieć, że to tajemnica zawodowa, ale nie zdążyła.

- To pewnie Oskar - odezwał się blondynek w okularach. - On ciągle żre.

- Nooo, mi wyżarł kiedyś kanapkę z tornistra - zgodziła się dziewczuszka w kitce.

- Kiedyś papier żuł - podzieliła się swymi spostrzeżeniami kolejna uczennica.

- A potem pluł. Napluł na okno i pani woźna go skrzyczała.

Zdezorientowana Anka wodziła wzrokiem od jednego do drugiego dziecka. Okazało się, że każde z nich miało jakieś pretensje do Bogu ducha winnego Oskara i wypowiadało je głośno. Pani wychowawczyni przyszła jej z pomocą.

- Cisza! - wydarła się głośno, klaszcząc w ręce. - Pani policjantce chodziło o to, czy macie pytania odnośnie do tematu, a nie tego, kto zjadł cukierka. Czy ktoś chce jeszcze coś powiedzieć? Ale mądrego - zastrzegła profilaktycznie.

Do góry wystrzeliła czyjaś ręka.

- A jaki to był cukierek, proszę pani?

Anka nie miała zielonego pojęcia, ale od czego jest wyobraźnia?

- To był cukierek owocowy. I w środku, zamiast nadzienia, był ten morderczy narkotyk.

- Czyli czekoladowego można? - zapytał z nadzieją mały łakomczuch.

Anna westchnęła, czując, że chyba nie do końca dotarła do dzieci.

- Nie. Ani czekoladowego, ani owocowego - odpowiedziała stanowczo.

- A gumę? - odezwał się kolejny bachor.

- NIE!

Policjantkę zaczęła ogarniać furia.

- Kompletnie nic, co służy do jedzenia.

Mała dziewczynka nieśmiało podniosła rękę.

- A do picia?

*Matko jedyna... oszaleję.*

Na szczęście znów interweniowała wychowawczyni.

- Nie można. Czy wy rozumiecie po polsku? Ani do jedzenia, ani do picia, ani do żucia.

Anka miała ochotę ją ucałować. Popatrzyła na nią z wdzięcznością, ale wracając wzrokiem na salę, prawie się rozplakała na widok lasu rąk. Wstał mały, czarnowłosy i czarnooki chłopczyk. *Wygląda jak mały Ajron* - pomyślała całkiem bez związku. *Może to jeden z jego nieznanym synów...*

- A skąd wiedzieliście, że to w cukierku był narkotyk? - zadał trudne pytanie.

- Bo zbadaliśmy.

- A jak, skoro on tego cukierka już zjadł?

*No właśnie, jak?* - Anka znów musiała improwizować.

- Bo zwymiotował go w wielkich męczarniach i jego tatuś przyniósł cukierka na policję.

- Faj, badaliście go, jak był w rzygach? - zapytał z obrzydzeniem mały elegancik.

- Mieliśmy rękawiczki. Przekroiliśmy cukierek na pół i pod mikroskopem znaleźliśmy paskudne narkotyki.

- A nie łatwiej byłoby go po prostu obwąchać?

- Obwąchać? - zdziwiła się policjantka.

- No, przecież na was mówi się „psy”, a psy mają świetny węch. Widziałem w telewizji, jak pies policyjny szukał narkotyków. Obwąchałaby go pani i nie trzeba by było pod mikroskopem badać.

Chłopiec nie mógł zrozumieć, czemu dorośli tak bardzo

utrudniają sobie życie. Ankę zatkało.

- Michał, uspokój się natychmiast. - W głosie wychowawczyni zabrzmiały dziwne tony. - „Psy” to bardzo obraźliwe określenie policjantów. Używają go tylko chuligani i przestępcy. Grzeczne dzieci mówią: „pani policjantko”.

Anka postanowiła rozwiać wątpliwości małego dyskutanta.

- Czasem mówią na nas „psy”, ale to dlatego, że gdy wpadniemy na trop jakiegoś przestępstwa, to idziemy nim, aż nie znajdziemy łobuza i nie skujemy go kajdankami. A węch mamy taki sam jak pozostali ludzie. Ale pani wychowawczyni ma rację, to jest obraźliwe określenie.

Mały nie był przekonany do końca.

- Czemu obraźliwe? Ja lubię psy.

- Ale z ciebie matoł - odezwała się Hania, patrząc na śniadego kolegę.

- A jak do ciebie mówią: „Murzyn, weź się do roboty”, to się nie obrażasz? A ja też lubię Murzynów.

Anka zacisnęła zęby, żeby się nie roześmiać, i wzrokiem podziękowała bratanicy.

- No właśnie. Dla jednego coś jest obraźliwe, a dla innego nie. I nie mówcie na kolegę „Murzyn”, to nieładnie. Mówi się „Afroamerykanin”.

Wymsknęło jej się. Zawstydziała się trochę na widok miny pani wychowawczyni. Gdy umilkł śmiech rozbawionych dzieciaków, zaczęła zbierać się do wyjścia. Niestety, kolejna ręka wystrzeliła w górę. Spojrzała z niechęcią na właścicielkę ręki. *No, może nie będzie tak źle* - pomyślała z otuchą, widząc wstającą z krzesła drobną blondyneczkę, z zawstydzeniem miętolącą w dłoni jakiś papier.

- No, śmiało - zachęciła dziecko, pewna, że pytanie będzie z tych łatwiejszych, i odgarnęła z czoła spoconą grzywkę.

- Proszę pani, a co to są włosy łonowe?

*Jezus Maria, czy nie ma już na świecie normalnych dzieci?* - Anka ponownie zgubiła język.

- Bo Michał opowiedział mi kawał o blondynce... - zwierzyła się nieśmiało mała, spoglądając na jasne włosy policjantki. - Że ta blondynka spojrzała na swoje włosy łonowe i powiedziała: „Ooo, nie jestem taka całkiem głupia”. Ja też bym nie chciała być głupia, jak dorosnę. Czy pani jest głupia?

- Nie, kochanie - odpowiedziała blond policjantka, czując, że jeszcze jedno pytanie i zacznie strzelać. - Blondynki wcale nie są głupie. A te kawały o nas to tak naprawdę wymyślają zazdrosne brunetki.

- No, proszę pani...

Anka spojrzała w kierunku oburzonego głosu. Pani wychowawczyni wstała z okiennego parapetu i ze złością potrząsnęła swoimi kruczoczarnymi włosami...



## ROZDZIAŁ 14

W końcu się przełamała i pojechała do „Rapsodii”. Mariola smażyła naleśniki na kolację, a Anka siedziała na kuchennym taborecie i smarowała je dżemem oraz kremem czekoladowym. Jerzy z Natanem oglądali bajkę na komputerze, co jakiś czas podchodząc do stołu po kolejną porcję stawy. Anka spoglądała niepewnie na przyjaciółkę, która odpowiadała półsłówkami na jej pytania i w ogóle sprawiała wrażenie trochę obrażonej.

- No dobra, wygarnij mi i będzie w końcu normalnie.

Mariola podniosła wzrok znad patelni.

- Ależ nie mam co ci wygarniać - powiedziała obłudnie. - Rozumiem, że masz ważniejsze sprawy na głowie niż kuzynkę. A z Choszczna jedź się do mnie aż piętnaście minut, więc nie mogę narażać cię na takie długie wyprawy. Słyszałam też, nie od ciebie, że masz nowego chłopaka i nową przyjaciółkę...

- Taaa... - odpowiedziała elokwentnie policjantka, czując się winną, bo nie widziała się z Mari od czasu pamiętnej kłótni o Ajrona, kiedy przywiozła do „Rapsodii” Hankę. Zbywała ją też po chamsku podczas telefonicznych rozmów, zawsze inicjowanych przez kuzynkę. Czuła się z tym bardzo źle, bo do tej pory mówiły sobie o wszystkim i polegały na sobie w stu procentach.

*To też przez cholernego doktorka...* – uświadomiła sobie.

– To przez cholernego doktorka – powiedziała na głos. – Wstyd mi po prostu...

Mariola odstawiła patelnię, stwierdziwszy, że trzydzieści naleśników powinno zapełnić dwa męskie żołądki, tym bardziej że jeden z nich był dopiero czteroletni. Wzięła jeden placek ze stosu malowniczo udrapowanego na talerzu i wkładając naleśnika do ust, patrzyła na kajającą się przyjaciółkę.

– Szlag mnie trafia, że wpadłam do tego samego worka co ty, Beti, a wcześniej tysiąc innych. Wzięło mnie, miałaś rację. Ale ja to przezwycięzę.

Anka złapała z talerza naleśnik i odgryzła połowę jednym kęsem. Mariolka zastanowiła się, czy czasem Anna nie utożsamiła niewinnej potrawy z jakąś częścią Ajrona, bo przeżuwając, miała na twarzy wymalowaną ogromną determinację.

– Wiem, wiem... – Zlitowała się nad kuzynką. – Ola mi wszystko opowiedziała. To, że ty postanowiłaś zerwać ze mną wszelkie kontakty, nie znaczy jeszcze, że zrobił to każdy. – Mariola nie podarowała sobie drobnej złośliwości.

W pierwszej chwili Anna poczuła wściekłość na gadatliwą bratową, ale już za moment odetchnęła z ulgą, że nie będzie musiała wracać do wszystkiego jeszcze raz.

– Kicha, nie?

Drugą połowę naleśnika zjadła już spokojniej.

– Wcale nie kicha – zaprotestowała Mariolka.

– Pasujecie do siebie.

– Chyba żartujesz. Nie będę jedną z jego byłych.

Szczęki Anki znowu zaczęły pracować na przyśpieszonych obrotach.

– To postaraj się być jego ostatnią.

Obie kobiety zamilkły i w kuchni zabrzmiał tylko odgłos

przełykania. Mariolka westchnęła ciężko nad uporem kuzynki.

- Przecież go lubisz.

Anka skinęła głową.

- A jeśli zaczął również pociągać cię seksualnie, to w czym problem? Bzyknij się z nim. Pół roku temu właśnie do tego mnie namawiałaś, pamiętasz? Zakazany owoc, zaspokojenie ciekawości, wyładowanie emocji... Czyje to słowa?

- Wiem, wiem... I dlatego głupio mi było o tym z tobą gadać. Bo wiedziałam, że wyrzucasz mi moje własne, kretyńskie rady.

- W moim przypadku były trochę kretyńskie, ale w twoim nie są.

Mariolka doskonale znała ambitną policjantkę i wiedziała, w czym leży problem.

- Ty się boisz. Boisz się kilku rzeczy. Raz, że cię rzuci, dwa, że ci się za bardzo spodoba, trzy, co powiedzą inni.

- A gdzie mam, co powiedzą inni. Ja sama nie będę mogła w lustro spojrzeć, jeśli okażę się taka sama jak wszystkie baby.

Mariolka się zdenerwowała.

- A w czym ty niby taka inna jesteś? Lepsza od Olki, ode mnie czy Beaty? Jaśnie pani policjantka zasrana. Tak samo jak my wszystkie pragniesz miłości, bezpieczeństwa i wszystkiego, co wiąże się z łączeniem w pary. Wiem, że długo byłaś sama, że odganiałaś każde portki, które zapragnęły być zbyt blisko, że masz silny, nieprzystępny charakter, ale, Anka, jesteś dokładnie taka sama jak wszystkie baby, jeśli chodzi o uczucia. Każda chce mieć własne skarpetki do zbierania.

- No, widzę, że Olka ze szczegółami ci naopowiadała - naburmuszyła się Anna.

- Zostawię cię teraz samą i pomyśl o tym. - Mariola podniosła się z krzesła. - Ajron jest dobrym człowiekiem. A że babiarz... Może on, tak samo jak i ty, czegoś się boi? Może właśnie wam obojgu uda się ta trudna sztuka kompromisu w związku? Warto się zaperzać w imię

własnych urażonych ambicji i odrzucać szansę na miłość? Nawet nie spróbować, bo ludzie coś powiedzą? – rzuciwszy te pytania, zabrała talerz z resztką naleśników i dołączyła do swoich mężczyzn, zostawiając Annę z jeszcze większym niż do tej pory mętlikiem w głowie.

Siedząca przed telewizorem Mariolka usłyszała tylko trzask drzwi. Anna poszła do obory, czując, że dusi się w kuchni pomimo jej niemałych rozmiarów. Stała przy boksie z podrośniętymi już koziołkami. *Faktycznie, byłam dla niego okropna* – stwierdziła samokrytycznie, przypominając sobie jego błagalny wzrok, gdy usłyszał słowa Hani grożącej mu śmiercią w mękach po uprzednim wysrakowaniu. *Warczałam na niego cały czas od kuligu* – przypominała sobie ich spotkania i własne złośliwości. *Tylko podczas krótkiego spaceru po parku zapomniałam o uprzedzeniach, pozwoliłam sobie być po prostu sobą i wtedy tak fajnie nam się gadało...*

Wyszła z obory i brzegiem łąki, nie bacząc na błoto przyklejające się do obcasów, poszła na długi spacer w kierunku lasu. *Mariolka ma rację* – doszła do smutnego wniosku. – *Uciekam, bo się boję. Boję się, że mnie zostawi i będę cierpiała...* W drodze powrotnej postanowiła, że nie będzie uciekać i jeśli coś ma być, to niech będzie. *Trudno, najwyżej go później zastrzelę... A ludzie niech sobie gadają.*

Wróciła dużo spokojniejsza.

– Słuchajcie – zwróciła się do obojga Mężyków. – Ja przecież przyjechałam tu, żeby zaprosić was na moją czterdziecę. W kawalerce się nie pomieścimy, więc wymyśliłam, że zaproszę wszystkich do jakiejś knajpy, co? Posiedzimy, popijemy, jak za starych, dobrych czasów.

Jerzy i Mariola popatrzyli na siebie.

– Do dzieci kogoś się znajdzie. – Anna źle wytłumaczyła sobie ich spojrzenie. – Są opiekunki na godziny albo weźmiemy dzieciaki ze

sobą... Coś się wymyśli.

Jerzy objął ramieniem plecy żony.

- Olka mówiła, że pewnie zignorujesz swoje urodziny, jak co roku.

- I co roku mi się nie udaje, bo wyzywa mnie od sióstr wyrodných, co do własnego brata przyjść nie zamierzają. A jak jakimś cudem uda mi się wymigać, to sama zawsze przychodzi z ciastem i prezentem - zaśmiała się ciepło Anna. - No ale wiecie... Czterdziestka... to jednak wypada jakoś delikatnie uczcić. - Anka westchnęła lekko nad swoim wiekiem.

- Chyba musimy jej powiedzieć, nie? - Jerzy spojrzał pytająco na Mariolę.

- Chyba tak.

Anka zaczęła się niepokoić.

- O czym?

W salonie zapadła cisza. Tylko Natan śmiał się głośno z wyczynów bohaterów jakiejś kreskówki.

- No, gadajcie mi tu natychmiast.

Oboje certowali się jeszcze chwilę, aż Mari zrobiło się żal niecierplivej kuzynki.

- Olka chce ci zorganizować przyjęcie niespodziankę.

- Matko jedyna! Dla mnie i dla Piotrka?

- Tylko dla ciebie. Powiedziała, że ty zawsze jesteś poszkodowana, i to ma być wyłącznie twoje święto. Piotrka zabiera na dwa dni do jakiegoś nadmorskiego SPA. Stara się już od kilku dobrych dni, więc żebyś była porządnie zaskoczona, zrozumiano? Pichci, szykuje jakieś dekoracje, atrakcje i różne cuda wianki, więc żebyś nawet nie pisnęła, że ci powiedzieliśmy.

- Cała Olka...

Anna nie wiedziała, czy się cieszyć, czy wręcz odwrotnie. Lubiała niespodzianki, ale niekoniecznie te dotyczące jej samej.

- U was? - zapytała retorycznie, po to, by coś powiedzieć i zyskać na czasie.

Miny Mężyków znów ją zaniepokoiły.

- No, właściwie to we Wiatrakach.

- U Ajrona?!

Ta cała niespodzianka zaczęła jej się coraz mniej podobać.

- No a u kogo? U sąsiada-woźnicy?

Jerzy postukał się w głowę, patrząc z politowaniem na zbaraniałą Annę.

- Dalej masz z nim problem? - zdenerwowała się ponownie Mariolka. - Nie dotarło nic do mózgowicy?

- A on też będzie? - spanikowała Anka nie wiadomo z jakiego powodu.

- Nie... Zamknie się w stajni ze swoimi końmi i będzie żarł siano...

- Dobra, dobra... Nie musisz być taka zgryźliwa. Obiecuję, że będę zaskoczona jak emeryt z podwyżki - zapewniła. - A teraz już spadam. To do soboty, tak?

Założyła kurtkę i wyjęła kluczyki z torebki.

- Jak Olka planuje mnie tam zwabić? - zapytała jeszcze w drzwiach.

- Chyba sama wciąż tego nie wymyśliła - zaśmiała się w odpowiedzi Mariola. - Jak wymyśli, to bądź posłuszna, pamiętaj. I współpracuj! - zawołała jeszcze przez okno.

Anka odpaliła swoją corsę i ruszyła do domu pełna złych przeczuc. *Coś czuję, że to będzie mi się średnio podobało...* - pomyślała, przyciskając pedał gazu.

**W** piątek wieczorem zadzwonił telefon.

*No, zaczyna się przedstawienie.* Uśmiechnęła się lekko do

komórki na widok imienia na wyświetlaczu.

- Cześć, Ola. Co tam?

- Cześć. Słuchaj, mam prośbę. Nie zajechałabyś jutro do Wiatraków? Piotrek zostawił u Ajrona jakieś tam plany. Będzie mu rozbudowywać stajnię i potrzebuje dokładnych wymiarów. Doktorek miał wszystko przygotować, więc tylko odbierzesz, dobrze?

- A nie może podać przez telefon? - Anna nie byłaby sobą, gdyby nie podrażniła się trochę z bratową.

- Nie, bo to są jakieś plany zrobione na papierze.

- To faksem.

- Oj, przestań, przecież to tylko kilka kilometrów. W pięć minut obrócisz.

Anna udawała, że się namyśla.

- A to aż takie pilne?

- No, pilne, pilne - podchwyciła skwapliwie Aleksandra.

- No dobra. Znaj moje dobre serce. Wkładam buty i już jadę.

W ciszy, jaka zapanowała w słuchawce, Anka wyraźnie wychwyciła tony narastającej paniki. Zachichotała złośliwie w myślach.

- No... aż takie pilne to nie jest. Wystarczy, że podskoczysz tam jutro.

- No przecież mówiłaś, że pilne... - Anka była naprawdę wredna.

- Nie aż tak bardzo...

- No dobra... To pojedę jutro - zgodziła się łaskawie.

- Ajron mówił, że będzie w domu dopiero po szesnastej, więc się za bardzo nie śpiesz - dodała szybko Olka.

- Okej, pojedę po szesnastej.

- No, kochana jesteś. Dzięki, pa.

- Pa.

Przyciskając czerwoną słuchawkę, znów uśmiechnęła się na myśl o swojej bratowej. *Piotrek naprawdę miał w życiu niesamowitego*

*farta...* Odłożyła telefon i poszła do wanny. *W odróżnieniu ode mnie* – dodała w myślach, wlewając do wanny kilka kropel pachnącego płynu.

Jechała tak wolno, że droga, którą zazwyczaj pokonywała w trzy minuty, ciągnęła się prawie dziesięć. *Boże, co ona wymyśliła... I po jaką cholere?* – denerwowała się Anka, choć przecież nie było czym. Ot, kilka osób czekających z prezentami i życzeniami. Odwali małą szopkę, wyda kilka okrzyków zdziwienia, otworzy szeroko oczęta i podziękuje za pamięć. Nie raz i nie dwa odgrywała dużo trudniejsze role. – *I jeszcze doktorek...*

Doktorek otworzył jej drzwi i uśmiechnął się na powitanie. Na widok dwóch dołeczków momentalnie zaschło jej w gardle.

– Cześć – wydusiła z zaciśniętej krtani.

– Cześć.

Ajron stał w progu i przyglądał się jej. Anna rozejrzała się dookoła, starając się ominąć wzrokiem jego twarz. Podwórze było obszerne i uporządkowane. Ze sporego kojca dobiegało niecierpliwe skomlenie Sułtana, który z pewnością ponownie chciał zdewastować jej delikatny makijaż. W oddali była stajnia, w której Ajron trzymał dwa ukochane konie, a za płotem ciągnął się rozległy, ogrodzony drewnianymi żerdziami padok. Z drugiej strony znajdował się parkur z ustawionymi przeszkodami.

Bystremu wzrokowi policjantki nie umknął tylny zderzak schowanego sprytnie za stajnią vana Piotrka. Niewystarczająco sprytnie... Ajron podążył za jej wzrokiem. Zorientował się natychmiast, że nici z niespodzianki. Mrugnął konspiracyjnie do rozbawionej nagle Anny i położył na ustach palec. Anka bez słowa kiwnęła głową.

– Olka prosiła mnie, żebym podjechała po jakieś papiery –



powiedziała głośno z myślą o podsłuchującej z pewnością pod drzwiami bratowej. – Mam nadzieję, że to nie jest jej durny kawał i wiesz coś na ten temat?

– Wiem, wiem... Wejź do domu. Poszukam i zaraz ci przyniosę – równie głośno odpowiedział Ajron.

*Chyba marni z nas aktorzy* – pomyślała, wchodząc do ciemnego przedpokoju. *Ja bym się od razu zorientowała, że coś tu śmierdzi. Mimo kończonych właśnie czterdziestu lat przecież nagle nie ogłuchłam...* Stała spokojnie, szykując się na wydanie ogłuszającego pisku.

– Wejź do pokoju – zawołał Ajron z głębi domu. – Zapal światło i rozgość się. Coś nie mogę znaleźć tych papierzyśk...

Wiedziała, czego się spodziewać, ale i tak podskoczyła, gdy wraz z blaskiem żarówek z wielu gardeł rozległ się przeraźliwy wrzask.

– Niespodzianka!

Rozejrzała się, zaskoczona. Z bardzo wielu gardeł... Co najmniej o jedno za wiele... Najgłośniej oczywiście darła się zachwycona Olka. Jerzy, Piotrek i Mariola również nie szczędzili płuc. Z kakofonii głosów wyłapała bas Marka i tenor Tomasza. W świetle LED-owych żarówek świeciła się łysa glaca Jacka, a tuż przy nim stała z nieszczerym uśmiechem Mirella. Obok kolegów z pracy stały ich partnerki. Żona komendanta Agnieszka miała w ręku bukietik tulipanów, a poznana na sylwestrze olbrzymka – różyczkę, która ginęła w jej wielkim łapsku. Zjawiskowo piękna Beata trzymała pod rękę przystojnego mężczyznę w marynarskim ubraniu i śmiała się perliście z miny mimo wszystko zaskoczonej Anny. Do grupy dołączył Ajron, który szybko przebrał się z domowych dresów w dżinsy i koszulę.

– Wszystkiego najlepszego z okazji dźwigania na grzbiecie czwartego krzyżyka.

Jurek ucałował jej policzki, podając kosz pełen różnych,

smakowitych i własnoręcznie wykonanych przetworów.

Od Beti otrzymała torbę kosmetyków, oznakowanych na pudełkach symbolem czterdzieści plus.

- Nie martw się, wyglądasz maksymalnie na trzydzieści lat - Jacek objął ją niedźwiedzim uściskiem, wręczając małe, ozdobne pudełeczko.

*Jezus Maria! To chyba nie jest pierścionek zaręczynowy!* - przeraziła się jubilatka, patrząc na czerwone puzderko.

- To stoper i licznik kroków - uspokoił ją na szczęście Jacek. - Przyda ci się przy treningach.

Podeszła wydra i egzaltowanie cmoknęła powietrze obok jej policzków. Z wrednym uśmiechem wręczyła jej smycz.

- Co? Na spacer chcesz iść? - zdziwiła się Anka.

- Nie. Pomyślałam, że ktoś powinien trochę ukrócić twoją impulsywność. Poza tym wydała mi się świetnym prezentem dla policjantki.

Anna przyjęła smycz z uśmiechem na twarzy, po czym złożyła w pół i głośno strzeliła z rzemiennego paska, patrząc Mirelli prosto w oczy.

Od kolegów z pracy dostała po butelce dobrego alkoholu. Znający jej gust Tomek wręczył jubilatce ogromną butelę wermutu, a Marek dziesięcioletnią whisky. Po przyjęciu całusów i życzeń od brata i bratowej wpadła w objęcia Ajrona. Zapach perfum zakręcił jej w głowie.

- Chciałbym, żebyś czasami przyglądała te kolce, które najeżasz za każdym razem, gdy mnie widzisz - powiedział, przytulając ją mocno i całując w policzek.

Spojrzała z uznaniem na ozdobny grzebień, wykonany z przejrzystego bursztynu.

Podziękowała wszystkim, autentycznie wzruszona, i nabrała głębokiego wdechu, aby zdmuchnąć czterdzieści świeczek, bez

problemu mieszczących się na olbrzymim torcie w kształcie policyjnej czapki, który, wśród chóralnie śpiewanego „sto lat”, niosła w jej kierunku Aleksandra.

## ROZDZIAŁ 15

– Ale była super impreza! – zachwyciła się po raz kolejny Olka.

Na stole przed nimi ustawione były miski z wczorajszymi resztkami, z których magicznym sposobem Aleksandra wytworzyła całkiem nowe arcydzieła sztuki kulinarnej. Mariolka energicznie potaknęła głową, podnosząc do ust filiżankę z kawą.

– Ale przyznaj, nie domyśliłaś się? – cieszyła się dalej jak dziecko Ola.

– Do ostatniej chwili.

Anka zacisnęła pięść i na dowód swej prawdomówności poklepała się w pierś. Mariola nagle zakasłała.

– A co zrobiliście z czorcikami?

– Zostały tutaj, z panią Robaczek i jej wnuczką – wyjaśniła Mari.

Pani Robaczek była jej sąsiadką zza płotu i przyszywaną babcią wszystkich dzieci.

Anna odłożyła na stół kolejne prezenty. Od razu po przyjeździe do Jagodzic Hania i maluchy wpadły w jej objęcia z ogromnymi laurkami w rękach.

– Wszystkiego najlepszego, ciociu!

Hania wręczyła jej kartkę o rozmiarach boiska do gry w koszykówkę. Anka wybałuszyła oczy, spoglądając na namalowany

obrazek. Na pierwszym planie stała blond dzaga na wysokich obcasach ze spluwą w ręce, a u jej stóp czołgały się zakrwawione szczątki jakiegoś biedaka.

- To ty i ten facet, co dał cukierka Oskarowi - wytłumaczyła ośmiolatka. - Fajnie mi wyszło, nie?

- Cudnie - przytaknęła ciotka, patrząc na realistyczną scenkę rodem z horroru.

Przykucnęła przy dzieciakach, niecierpliwie tłoczących się u jej kolan.

- Lepszego... - Miśka zarzuciła jej na szyję pulchne ramionka. Anna ucałowała ją serdecznie.

- Czyje to takie piękne usteczka? - zapytała małą, podziwiając odbite w każdym wolnym miejscu czerwone i różowe buziaczki.

- Moje. - Michalina uśmiechnęła się z dumą.

- A cóż tu mamy? - zapytała stojącego grzecznie Natana, nie mogąc za bardzo rozszyfrować przesłania na obrazie.

- To my na kuligu - odpowiedział chłopczyk. - Ty i wujek Arek jedziecie na koniach, a tutaj my, widzisz? - Natan z powagą pokazywał paluszkami pająkowate głowonogi.

- Naprawdę masz talent - pochwaliła zadowolonego chłopca, mierzwiąc mu włosy.

Przyjrzała się uważniej laurce. *No, oczywiście, jak mogłam się nie domyślić...* Zachichotała głośno na widok diabelskich rogów wieńczących jedną z głów. Hania niecierpliwie podskakiwała w miejscu.

- Ciociu, zaśpiewam ci nową piosenkę, chcesz? W piątek w szkole się nauczyłam.

- Jasną, że chcę. - Anka zaśmiała się z podniecenia swej chrześnicy. - Dawaj. A my będziemy bić brawo, dobrze? - zwróciła się do maluchów.

Słynna piosenkarka Hanna Sikora ustawiła się na środku pokoju,

skłoniła widowni i przyłożyła do ust mikrofon, dziwnie przypominający piankę w sprayu do golenia nóg. Zabrzmiała melodia znanego przeboju zespołu Fasolki, ale słowa śpiewane przez Hanię odrobinę różniły się od oryginału.

*Szczotka, pasta, kubek dynamitu,  
jedna zapalka i będzie po krzyku.  
Myję zęby wystające z gęby,  
A pozostałe są zaszyfale.*

Dusząc się ze śmiechu, Anka spojrzała na czerwoną ze wstydu Olkę.

*Trzeba tylko bardzo chcieć,  
Żeby sztuczną szczękę mieć!*

Spektakularnym wyskokiem Hanka zakończyła swój występ i głęboko skłoniła się publiczności. Anna z Mariolą głośno biły brawo i ocierały płynące ciurkiem, pewnie ze wzruszenia, łzy. Aleksandra natomiast z rozpaczą w oczach przyglądała się szalejącej Michalinie.

- Wystające z gęby, wystające z gęby... - Miśka i Natan trzymali się za ręce i wesoło podskakiwali dookoła Hani, nucąc nowy, edukacyjno-wychowawczy szlagier.

- Rany boskie - wyszeptała Olka, patrząc na przyjaciółki. - Nie słyszałyście o jakiejś szkole, w której odbywają się normalne lekcje?

- **K**tóry moment imprezy najbardziej się wam podobał? - kontynuowała temat Olka, gdy dzieci w końcu poszły na dwór.

Hanka biegała dookoła wypuszczonych luzem kóz, ogryzających wszystko, co się tylko dało, a maluchy ganiały kury, najnowszy, gospodarczy nabytek Mariolki. Jerzy nadrabiał zaległości w pracy,

nie odchodząc od komputera.

- Bo ja myślałam, że umrę ze śmiechu z rozmowy Jacka z Ajronem. - Ola zachichotała na to wspomnienie...

Wszyscy zajadali się przysmakami przygotowanymi przez Aleksandrę i Mariolkę. Na stole stało wszystko, co tylko można było sobie wyobrazić: sałatki, mięsiwa we wszystkich postaciach, miliony przystawek na ciepło i zimno. Wszyscy jedli, jakby co najmniej przez tydzień nie mieli nic w ustach, z wyjątkiem oczywiście Mirelli i jej brata. Na pytanie Ajrona, dlaczego Jacek odmawia sobie tych pyszności, chłopak udzielił wyczerpującego wykładu na temat prawidłowego żywienia.

- Ale przecież trzeba korzystać z życia! Dieta dietą, rygoru trochę też się przyda, lecz drobne przyjemności są równie ważne - tłumaczył sportowcowi Ajron. - *Carpe diem*, mój młody przyjacielu.

Przerośnięty chłopiec spojrzał na dziwnie mówiącego weterynarza.

- No... karpia zjem... Ryby są zdrowe i mają dużo białka, choć ta akurat trochę mułem zaciąga... - powiedział, po czym spojrzał zdziwiony na twarze ryczących ze śmiechu gości.

Tylko Mirella się nie śmiała, patrząc na brata z pogardą.

- Boże... skąd ty go wytrzasnęłaś...

Mariolka płakała ze śmiechu, podobnie jak i pozostałe kobiety.

- Ale mimo... hm... pewnych braków jest i tak przesympatyczny. Ja miałam najwięcej radochy, kiedy obserwowałam minę Anki, jak oglądaliśmy film - dodała Mari, gdy ucichły wybuchy śmiechu, wywołane Jackową interpretacją cytatu z Horacego. Anna również wspomniała ten moment...

Przebiegła Olka wycygała od niej zdjęcia, nie po to, aby w rodzinnym gronie pooglądać stare albumy, ale po to, aby ją publicznie upokorzyć. Przy wydatnej współpracy geniusza komputerowego - Jurka. Po zaspokojeniu pierwszego głodu

i pragnienia, z lampkami lub kieliszkami w dłoniach, rozsiedli się wygodnie, gdzie kto mógł, przed dużym telewizorem. Ajron podszedł do odtwarzacza cyfrowego i włączył film. Zaczął się on czołówką ze znanej komedii „I kto to mówi II”. Gdy plemniki dostały się w końcu do komórki jajowej i mała dziewczusia stwierdziła, że ma dwie pary warg, na ekranie pojawiło się zdjęcie Anki w ramionach rodziców. Mama trzymała Piotrka, a ją pokazywał światu dumny tata. Slajd za slajdem ukazywał małą Andzię. Ze smoczkiem w buzi, w zabawnych kapelusikach, na spacerach... *O nie! To mogli sobie podarować.* Zamknęła oczy, aby nie widzieć nagiego berbecia walącego po głowie pustą butelką siedzącego obok na kocyku, równie gołego brata. Wszyscy z zachwytem obserwowali, jak z małego bąka wyrasta kilkuletnia panienka. Pierwsze świadectwo, szczerbaty uśmiech, na kilku zdjęciach z „Rapsodii” w tle machała do nich ciocia Frania. W pewnym momencie Ajron musiał zastopować film, gdyż znów wszyscy, jak jeden mąż, buchnęli śmiechem, pokładając się na podłodze. Z ekranu telewizora wdzięczyła się do nich mała Ania w wielkim słomianym kapeluszu, machając radośnie rączką i obejmując nogami kłapouchego osiołka, na którym siedziała.

- Rany, Anka! Kto na tobie siedzi? - zawył Tomek, skręcając się ze śmiechu.

Wszyscy, włącznie z jubilatką, zarechotali. Najgłośniej śmiał się Jacek. Pozostali goście siedzieli już spokojnie, a on dalej zwijał się na podłodze. Po dłuższej chwili opanował się w końcu i spojrzał z uznaniem na Tomka.

- Dobrze to było. - Wyszczrzył zęby. - Ale przecież nikt na niej nie siedzi. To kapelusz! - Jacek nów zaczął wesoło rechotać.

Agnieszka, znana w policyjnych kręgach jako prawdziwa śmieszka, prychnęła niepoohamowanie. A że właśnie popijała kolorowego drinka, z jej ust wystrzeliła rozproszona struga pomarańczowego płynu i osiadła na klapach marynarki, pechowo



siedzącego naprzeciw niej, chłopaka Beaty. Zamarła, ze strachem wpatrując się w oplutego solidnie marynarza. Ten wytarł z twarzy sok pomarańczowy i uśmiechnął się do Agnieszki.

- Trafiony - zatopiony. - Po czym dodał z powagą: - I jaki celny, symetryczny strzał.

Minęło co najmniej dziesięć minut, zanim Ajron, ze śmiechu prawie na czworaka podchodząc do telewizora, włączył ciąg dalszy i wszyscy mogli dalej nabijać się z Anki.

- A szanownej jubilatce co się podobało? - zadała pytanie Mariola, patrząc na Ankę.

- Wszystko mi się podobało. Dzięki, dziewczyny.

- O nie! - zaprotestowała żądna pochwał Aleksandra. - Musisz wybrać jakiś jeden moment.

Anna zamyśliła się.

- Oprócz tego, co wy powiedziałyście, najbardziej podobały mi się zawody w siłowaniu na ręce. Ta Gośka to dopiero ma parę w łapie. Tylko Jacek ją zmógł. Pozostali faceci nie mieli szans.

- Tomek może czuć się z nią bezpiecznie - stwierdziła Mariola ze śmiechem.

- I te latające, japońskie lampiony... - dodała jeszcze Anka.

- Nooo, rzeczywiście robiły wrażenie - przytaknęła Ola, w pełni usatysfakcjonowana.

Pod koniec imprezy wszyscy wyszli na dwór, w ciemną, gwiazdzistą noc. Każdy z nich niósł kolorowy lampion szczęścia, które puszczane są zazwyczaj do nieba w Noc Świętojańską.

- A teraz wszyscy niech pomyślą jakieś życzenie dla Anki i na trzy-cztery puszczamy - komenderowała grupą Ola, rozdając zapalniczki.

Anna podpaliła żywiczną świecę i czekając, aż czasza wypełni się ciepłym powietrzem, obserwowała swoich gości. Piotrek i Aleksandra stali obok siebie, wpatrzeni w powiększające się powoli lampiony.

Jerzy pomagał Mariolce, której świeca wciąż gasła. *Super, że są szczęśliwi* – pomyślała Anka, romantycznie nastrojona całym wieczorem. Spojrzała na resztę. Jacek z Mirellą byli już prawie gotowi, podobnie jak i wszyscy pozostali. Nie mogła wypatrzeć tylko Ajrona. *Chyba nie chcę wiedzieć, jakie życzenie wyszeptała w swój lampion wydra* – pomyślała jubilatka, patrząc na brunetkę ubraną w swoje lisy.

Panie założyły wierzchnie okrycia. Panów wystarczająco chyba grzał wypity alkohol, bo wyszli z domu tak, jak stali. Mari w końcu była gotowa i na dany przez Olę sygnał wszyscy wypuścili swoje lampiony w czarne niebo. Anna stała z zadartą głową, podziwiając oddalające się coraz bardziej świetliste kule.

- Mała namiastka kosmosu, nie? – usłyszała za sobą cichy głos.

Ajron w samej tylko koszuli stał za nią i nie patrzył w niebo, tylko w jej oczy. Wiatr szarpał jego ubranie, przyklejając je do ciała i uwidaczniając silne mięśnie klatki piersiowej. Szerokie ramiona majaczące w ciemności upodobiały go do jakiegoś mitycznego wojownika. Mimo zimnego powietrza marcowej nocy poczuła nagłe ciepło.

- Aaa, to od ciebie była ta kartka na walentynki?

Domyśliła się w końcu. Nie potwierdził, nie zaprzeczył, tylko stał i wpatrywał się w jej twarz, a czarne oczy stawały się coraz czarniejsze. Przełknęła ślinę, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

- Przestań – powiedziała w końcu.

- Przecież nic nie robię.

Słowom nie towarzyszył najmniejszy nawet uśmiech.

- Hipnotyzujesz mnie – powiedziała cicho, zdając sobie sprawę z idiotyzmu własnych słów.

- To ty hipnotyzujesz mnie – odpowiedział, wciąż poważny.

Anna oderwała w końcu swój wzrok i skierowała go ku górze. Lampiony szczęścia były już tylko małymi punktami i mieszały się

z milionem gwiazd. *Matko jedyna... gdzie wszyscy?* Z paniką rozejrzała się dookoła. Pod rozgwieżdżonym niebem zostali tylko we dwoje. Nie słyszała odejścia pozostałych biesiadników, nie słyszała cichego, sennego parskania koni ani monotonnego hukania puchacza w lesie. Słyszała tylko przyspieszone bicie swego serca i oddech mężczyzny za swoimi plecami. Przypomniała sobie rozmowę z Mariolą. I wcześniejszą z Aleksandrą. *...Co ma być, niech będzie* – postanowiła i desperacko odwróciła się w stronę czekającego cierpliwie Ajrona.

- Dobra. Jak chcesz, to możesz mnie pocałować – rzuciła szybko, aby się nie rozmyślić, i zamknęła oczy.

Jej serce waliło tak, jakby chciało wyrwać się z piersi i polecieć w dal, niczym nieskrępowany siodłem ani wędzidłem ogier. Zaciśnęła drżące ręce w pięści, aby nie pozwolić palcom wpleść się w czarne włosy. Czekwała... czekała... *Co jest, do cholery?* Otworzyła jedno oko. Po chwili drugie i spojrzała z urazą na pochylonego nad nią Ajrona. Mężczyzna złapał jej podbródek i uniósł delikatnie do góry.

- Chcę cię pocałować. Bardzo chcę... Ale nie zrobię tego, dopóki ty nie będziesz chciała tego samego... I z taką mocą, jak ja.

Jego wibrujący głos powodował, że włoski na przedramieniu stawały dęba, a kolana trzęsły się jak galareta.

- No przecież chcę – powiedziała agresywnie.

- To poproś.

W oczach Ajrona zabłyśły złośliwe chochliki.

- Po moim trupie.

- O nie... Zapewniam cię, że to będzie dużo wcześniej...

Kolana ugięły się jej jeszcze bardziej, ale angażując resztki woli, hardo podniosła głowę. Ich oczy znalazły się prawie na tym samym poziomie.

- Doktorek cholerny... – powiedziała bez tchu.

Ajron zbliżył usta do jej ust. Anna zamarła w oczekiwaniu.

- Dużo wcześniej... - wychrypiął ponownie niskim głosem zamiast spodziewanego pocałunku, po czym, jakby wbrew swej woli, odwrócił się gwałtownie i wszedł do domu, zostawiając ją samą z gwiazdami i rozdygotanym ciałem.

- **M**usimy to jeszcze kiedyś powtórzyć - westchnęła błogo Aleksandra.

- W tym samym gronie - dopowiedziała Mariolka, wstając z sofy i zerkając przez okno na dzieci.

- Wydrę możemy wykluczyć. A właściwie to skąd ona tam się wzięła? Nie uwierzę, że ją zaprosiłaś. - Anka pytająco spojrzała na bratową.

- Skąd! - oburzyła się Ola. - Prędzej zaprosiłabym bandę terrorystów. Sama się zszokowałam, jak wylazła z samochodu Jacka. No ale co miałam zrobić, wygonić?

- À propos wydry... - Po skontrolowaniu sytuacji na podwórku Mariola ponownie usiadła obok nich. - Nie wiem, czy cię to zainteresuje, ale jak rano byłam we Wiatrakach posprzątać i pozabierać gary, to Ajron akurat odebrał interesujący telefon. - Mari popatrzyła badawczo na Ankę.

- No i?

- W sumie nie narobiłam się za bardzo, bo w domu był już porządek. Kręciłam się po kuchni, zbierając swoje salaterki, gdy zadzwoniła jego komórka. Przysięgam, że się skrzywił. Serio. Akurat na niego patrzyłam.

- No i? Przejdź do sedna sprawy - zażądała Anka, czując, że rewelacja Marioli niezbyt jej się spodoba.

- Odebrał i nawet nie wyszedł, więc nie była to jakaś poufna rozmowa.

- Mari, bo cię zdzielię!

- Umówił się na pojutrze z Mirellą - wypaliła w końcu z ciężkim sercem Mariolka.

Anna milczała. W przeciwieństwie do Olki.

- Jak to umówił się z Mirellą? Po tym słodkim tête-à-tête z Anką?

- Jakim słodkim tête-à-tête? - Anna natychmiast się ożywiła.

- Już ty mi nie ściemniaj. - Ola była pewna swoich racji. - Przyjrzałam się wam uważnie, zanim zagoniłam opierające się towarzystwo do domu. Wyglądaliście, jakby w was grom z jasnego nieba prosto w serduszka gorące walnął.

- Olka, proszę cię. Nie ośmieszaj się... Jaki grom z jasnego nieba, przecież była czarna noc...

Wyjaśnienia Anny trąciły nieco intelektem Jacka. Chyba również zdała sobie z tego sprawę, bo zamknęła usta i słuchała, co jeszcze mądrego mają do powiedzenia jej przyjaciółki.

- Według mnie, Ajron wcale nie spodziewał się tego telefonu - kontynuowała Mariolka. - Zbierałam naczynia najwolniej, jak mogłam. I najciszej... Z jego gadki zrozumiałam, że Mirella uwielbia konie i chciałaby, aby Ajron dał jej kilka lekcji.

- Kilka lekcji... - mruknęła pod nosem Anka. - Chyba francuskiego...

- No, w każdym razie umówili się we wtorek na szesnastą.

Wszystkie trzy konspiratorki milczały chwilę, przetrawiając nowinę dostarczoną przez Marię.

- No i co zrobisz? - zapytała w końcu Ola, patrząc współczująco na szwagierkę.

- Nic. - Anka wzruszyła ramionami. - A niby co powinnam waszym zdaniem zrobić?

- No nie wiem... - zastanowiła się troskliwa Aleksandra. - Opony Jackowi przebij?

- On ma już dawno opony przebite... - mruknęła Anka. - Jak Ajron chce wozić wydrę na swoim koniu, to niech wozi - powiedziała

stanowczo, ale w jej nieprzewidywalnie ostatnio pracującej głowie już rodził się niecny plan.

## ROZDZIAŁ 16

*Boże... do pięćdziesiątki będę goić siniaki po czterdziestce* – sapnęła w myślach z irytacją, idąc do szefa i rozcierając ramię po kolejnym radosnym uderzeniu w plecy. *Następny sadystyczny policjant.* – Skrzywiła się na widok Romka.

- Stara, wszystkiego najlepszego!

Odruchowo napięła mięśnie ramion i podziękowała koledze za porządne walnięcie po plecach. Po jeszcze trzech razach doszła do gabinetu Marka, dziękując Bogu, że przeżyła drogę. Marek, jak zwykle, siedział z nosem zanurzonym w papierzyskach. Na jej widok podniósł głowę.

- Cześć, babciu. Przyszłaś powspominać imprezkę?

- Cześć. Przyszłam w sprawie zawodowej. Ale imprezka była udana, nie? – Uśmiechnęła się.

- Super. Dawno nie bawiłem się tak dobrze. Fajna ta twoja rodzina.

- Najlepsza – zgodziła się bez żadnych oporów. – Chciałam cię prosić o zmianę grafiku. Wypadło mi coś ważnego na jutrzejsze popołudnie. Mogę przyjść do roboty z rana?

Marek zerknął w plany służb.

- Na rano ma Bogdan. Jak się zgodzi, to żaden problem.

*Bogdan...* - zasepiła się, bo Boguś nie należał do jej ulubionych kolegów. Starszy wiekiem i stażem, przypominał jej trochę komendanta wojewódzkiego. Tak jak Maślak szalał z kościołem, tak Bogdan miał hyzia na punkcie własnego zdrowia. Idąc do jego pokoju, planowała akcję. Zapukała kulturalnie w przymknięte drzwi i uśmiechając się odpowiednio szeroko, weszła do środka.

- Cześć, Boguś. Mam do ciebie gorącą prośbę.

Kolega spojrział na nią niechętnie. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, aż strzyknęło jej coś w stawie żuchwy. Masując podbródek, usiadła na krześle dla interesantów.

- Wiesz może, że w sobotę skończyłam czterdzieści lat - zagaiła, gdyż Bogdan był jednym z nielicznych, którzy nie nabili jej dziś siniaka. - A czterdzieści dla kobiety to tak, jak sześćdziesiąt dla faceta. Postanowiłam więc porobić sobie wszystkie badania. Wiesz, jak to jest...

Chyba wiedział, bo pokiwał głową z zainteresowaniem.

- A jakie?

- No... wszystkie. Wyznaczono mi termin na popołudnie, a mam służbę... Możesz się ze mną zamienić?

- Nie.

- Czemu nie?

- Bo na siedemnastą jestem umówiony do lekarza. Czekałem w kolejce pół roku, więc przykro mi, ale siła wyższa...

- Do kogo?

- Do kardiologa.

Kombinowała ostro co dalej, przypominając sobie, że Boguś był u kardiologa nie dalej jak tydzień temu.

- No przestań... - posłodziła fałszywie. - Taki facet jak ty na pewno nie ma sercowych problemów. Mimo wieku jesteś taki przystojny...

*Chyba przesadziłam* - pomyślała, patrząc na dwa podbródki



i palce jak serdelki. Bogdan uśmiechnął się jednak łaskawie i przyjął jej słowa jako należny sobie hołd.

- Zresztą, jak chcesz, mogę dać ci numer do świetnego lekarza - improwizowała. - Powołaj się na mnie, to przyjmie cię bez kolejki.

W oczach hipochondryka zapaliły się iskierki zainteresowania.

- A od czego?

- Od wszystkiego - zapewniła go najszczerzej, jak tylko umiała. - A ja koniecznie muszę jechać jutro, bo czuję, że coś mi w kręgosłupie strzyka. I w gardle jakieś takie nieprzyjemne drapanie... - Zakasłała.

- No dobra. Może uda mi się przełożyć wizytę - zgodził się niechętnie Bogdan.

- Dzięki!

Wstała energicznie, po czym, przypomniawszy sobie o bolącym kręgosłupie, pokuśtykała do drzwi.

- Ten telefon mi daj! - krzyknął za nią podstarzały playboy.

*Uuups...* Po chwili jednak uśmiechnęła się złośliwie.

- Pisz.

Z niewinną minką podyktowała mu numer.

**W**e wtorek po południu pani Ochotka stała w oknie i z ciekawością przyglądała się swojej sąsiadce. Anna Sikora, ubrana w krótką kurtkę i dżinsowe rurki, stała pięć minut na podblokowym parkingu, wpatrując się w swoją niebieską corsę. *Chyba ma jakieś problemy z samochodem* - domyśliła się pani Bronia, obserwując, jak dziewczyna botkiem na wysokiej szpilce kopie ze złością w tylne koło. Po ukaraniu opony usiadła za kierownicą i zastygła na kolejne kilka minut. Wyszła. Pani Ochotka aż podskoczyła na odgłos głośnego trzaśnięcia drzwiami. *Chyba czegoś zapomniała* - doszła do wniosku, patrząc, jak sąsiadka energicznie zmierza do klatki schodowej. *Ale skąd? Z domu czy z auta?* Ania wróciła do samochodu, usiadła

i odpaliła silnik. *Ale ta dziewczyna sprytnie jeździ* – zachwyciła się sąsiadka, obserwując z ciekawością akcję na parkingu.

Błękitne auto wyjechało tyłem kilka metrów. Postąpiło i wróciło na swoje miejsce. Manewr ten powtórzyło dwa razy. W końcu Anna stwierdziła chyba, że samochód jest sprawny i nadaje się do eksploatacji, bo corsa z piskiem opon wyjechała w stronę miasta. Pani Ochotka pokiwała z uznaniem głową. *Gdyby każdy był tak rozważny i odpowiedzialny, jak Ania, to nie byłoby aż tylu wypadków* – pomyślała, zamykając okno.

Dojeżdżając do Wiatraków, Anka przypominała sobie skąpe informacje, jakie miała na temat koni. *Mari mówiła, że są bardzo płochliwe* – tylko to jedno wiedziała na pewno, bo dawno już przestała wierzyć, że w wigilijną noc zwierzęta przemawiają ludzkim głosem.

Podjeżdżając do domu Ajrona, zwolniła prawie do zera i przyglądała się obrazkowi pod stajnią. Doktorek, ubrany w czarne bryczesy i sportową bluzę, kończył siodłać Primeę. Wydra wyglądała wybitnie wydrowała. Obcisłe spodnie opinały jej zgrabne, długie nogi, obute w sięgające kolan oficerki. Ciemnozielona kurtka ledwo zakrywała brzuch. Mirella stała obok mężczyzny, trzymając za wodze czarną klacz. Ajron coś jej tłumaczył, dopinając popręg. Wydra pochyliła w jego stronę głowę, a słońce odbiło się od daszka toczka, w którym wyglądała niczym w najmodniejszym kapeluszu.

Włożyła lewą nogę w strzemień, podskakując z gracją na drugiej. Na widok Ajrona, łapiącego ją za pośladek, Ankę ogarnęła blada furia. Dodała gazu i wjechała na podwórko, trąbiąc przeraźliwie.

Koń spłoszony nagłym hałasem stanął dęba i piszcząca wydra znalazła się tam, gdzie było jej miejsce. Anka uśmiechnęła się mściwie, patrząc, jak Mirella niezgrabnie podnosi tyłek z kałuży, w którą wpadła. *Mam nadzieję, że to nie tylko deszczówka...* – pomyślała optymistycznie. Ajron uspokajał brykającą wciąż klacz

i patrzył ze złością na parkujące auto.

- Czyś ty zdurniała do reszty!? - wydarł się ze złością. - Przecież Mirella mogła sobie coś zrobić! Nic ci nie jest? - zwrócił się do patrzącej z nienawiścią na Ankę wydry.

- Chyba nie... - odpowiedziała siostrunia, gramoląc się z ziemi, z czerwoną niczym śliwka twarzą.

- Przepraszam... Tak jakoś ręka mi się omsknęła...

Uśmiech, który Anna skierowała do Mirelli, nie był bynajmniej przepaszający.

- Mogła połamać nogi! - Ajron nadal był wściekły.

- Przestań panikować. Widzisz przecież, że Mirabella jest cała i zdrowa. Zresztą medycyna stoi dziś na takim poziomie, że złamana noga to pikuś. Wiesz, jakie cuda teraz lekarze robią? Powiększają usta i cycki, odsysają tłuszcz z brzucha i ud, naciągają skórę twarzy, likwidując zmarszczki... Szkoda tylko, że transplantacja mózgu wciąż jest nieosiągalna... - zmartwiła się nieszczercze Anka.

Mirabella jeszcze trochę bardziej dojrzała na twarzy, a usta Ajrona drgnęły szybko, mimo złości wciąż obecnej w oczach.

- Prima też mogła sobie coś zrobić.

- No... z tym byłoby gorzej - przyznała policjantka, spuszczać głowę z lekkim wstydem.

- Jeździmy? - ignorując Ankę, zwróciła się do Ajrona amazonka, uśmiechając się słodko, mimo czerwonych z gniewu lub wstydu policzków.

Mężczyzna podał jej wodze.

- Idź z nią powoli na parkur. Za chwilę zaczniemy.

Mirella oddaliła się niechętnie, a mężczyzna spojrział na policjantkę.

- Co cię sprowadza? Chcesz może o coś poprosić? - Białe zęby błysnęły w irytującym uśmiechu.

- Tak - odpowiedziała Anka z powagą, patrząc Ajronowi prosto

w oczy.

- Tak?

Widok doszczętnie ogłupiałego Arka wynagrodził jej wszystkie dzisiejsze męki. Pottrzymała go chwilę w niepewności.

- O podpis na mandacie. Jeden z sąsiadów zadzwonił na policję i zgłosił zakłócenie porządku. Podobno niezła balanga była tu w sobotę?

Mina Ajrona podniosła samoocenę Anny co najmniej o dwieście procent.

- Żartuję, żartuję... - zachichotała. - Zostawiłam chyba u ciebie prezent od Olki. Nie mogę go nigdzie znaleźć. - Mężczyzna stał jeszcze chwilę jak wmurowany, lecz już po chwili Anna zaczęła się poważnie niepokoić. Kąciki jego ust powędrowały do góry, dołki w policzkach zakłuły w oczy, a ociekający gęstą śmietanką głos sprowadził z wyżyn samozadowolenia do najniższych nizin porażki.

- Przykro mi, ale nic już z niego nie zostało.

Anka popatrzyła zdezorientowana w jego śmiejące się oczy.

- Cały tort zjedli twoi goście. Z tego, co pamiętam, prezentem od Oli była ta urodzinowa niespodzianka.

*Brawo... Idealnie pasuję do Jacka* - pomyślała z rozpaczą. Wredny doktorek pochichotał trochę z jej rzednącej miny.

- Cieszę się, że przyjechałaś - powiedział. - Naprawdę. Ale teraz mam robotę. Nie uciekaj. Chodź ze mną, usiądziesz i popatrzysz. Może też ci się spodoba? Albo wejdź do domu. Jak skończę z Mirellą, wypijemy kawę i pogadamy.

Odszedł niechętnie w stronę czekającej na parkurze laluni.

- Tylko nie uciekaj, proszę - powtórzył, odwracając się i patrząc spokorniałej nagle policjantce prosto w oczy. - Poczekaj na mnie.

*Warto było jednak przyjechać* - pomyślała z radością. *I poczekać te*

*czterdzieści minut...* Z prawdziwym zachwytem wpatrywała się w stojącą u boku przemokniętego mężczyzny Mirellę.

Marcowa pogoda z minuty na minutę postanowiła słoneczny dzień zamienić w lekką mżawkę. Anna, zadowolona, że zdążyła wejść do domu przed deszczem, dyskretnie obserwowała przez okno naukę jazdy konnej. Po skończonej lekcji jeźdźcy odprowadzili konia do stajni i weszli do domu. Nauczyciel wciąż prezentował się całkiem nieźle. Mokra włosy nie odbierały mu urody, a przylegające do ciała przemoczone ciuchy eksponowały zgrabną sylwetkę.

Mirella nigdy jeszcze w oczach Anny nie wyglądała lepiej. Włosy opadały mało estetycznymi strąkami, a rozmazany makijaż upodabniał jej twarz do przemiłego oblicza pandy. Brudne na tyłku spodnie pasowały idealnie do upstrzonej kupkami błota kurtki.

Perfumy Mirabelli odstraszały potencjalnych wielbicieli na kilometr, w odróżnieniu od much, które, gdyby nie wczesnowiosenna pora, z pewnością roiłyby się nad nią w zachwycie.

- I jak? Fajnie było? - Anna uśmiechnęła się szeroko do konkurentki. - Wyglądasz na zadowoloną. Przynieść ci lustro?

- Super. Musimy to kiedyś powtórzyć. - Mirella zgrzytnęła swymi perłowymi ząbkami. - Przy bardziej sprzyjającej pogodzie - dodała szybko, z przerażeniem oglądając swe odbicie w wypolerowanym na wysoki połysk blacie stołu. - Dziękuję ci. Wspaniale się bawiłam. - Zwróciła swą pandzią twarz w stronę milczącego Ajrona i bez powodzenia usiłowała machnąć strąkami. - Też już jedziesz? - Spojrzała na siedzącą wygodnie w fotelu Annę. - Arek musi pewnie wziąć prysznic - zagruchała. - Tyle się ze mną namęczył...

- Nie. Posiedzę jeszcze z godzinę. Może będzie potrzebował pomocy w myciu pleców...

Obiekt dyskusji zakaszlał gwałtownie i poszedł do kuchni. Mirella wahała się jeszcze chwilę, ale zerknąwszy ponownie w blat stołu, złapała kluczyki od samochodu i wyszła, trzaskając drzwiami. Anna

odetchnęła z ulgą, ale już za chwilę napięła się ponownie na widok miny Ajrona.

- To idę pod prysznic. Jak będę mył plecy, to cię zawołam, okej? Tylko wcześniej nie podglądaj!

- Bardzo zabawne... bardzo...

Mimo własnego pogardliwego tonu zaśmiała się głośno. Arek zawtórował jej swoim barytonem. Nabijali się chwilę z siebie nawzajem, po czym mężczyzna poszedł do łazienki, a Anna wróciła do przeglądania czasopisma o koniach, które znalazła w stojaku pod telewizorem.

## ROZDZIAŁ 17

- Jest pan pewien, że chce brać w tym udział? - zapytał powątpiewająco nadleśniczy Smętek. - Wiem, że udziela się pan w naszym kółku łowieckim i pomaga w zimowym dokarmianiu zwierzyny, ale zasadniczo jest to sprawa dla myśliwych i leśniczych. No i dla policji, naturalnie.

Ajron bez wahania skinął głową.

- Mówił pan, że potrzebujecie ludzi. Jestem do dyspozycji.

Smętek przyjął deklarację doktora Medinopolusa.

- Nie powinno być niebezpieczeństwa. Chodzi tylko o to, aby gnoja nagrać i mieć dowody przed sądem. Chyba że uda się złapać na gorącym uczynku, ale to wątpliwe... Znaleźliśmy piętnaście miejsc, w których zastawia sidła. Używa też jakiejś śrutówki, bo kilka drzew ma okorowane pnie. Albo używają... Wciąż nie wiemy, ilu ich jest. Chorąży Jerzyna, zajmujący się sprawą, postanowił, że w każdym miejscu powinno być dwoje ludzi. Policjant i leśniczy. My znamy lepiej teren, a oni - wiadomo - policja.

Ajron słuchał uważnie, mając nadzieję, że w końcu uda się ukrócić podły proceder kłusowników. Kilka kóz i łań skończyło życie w męczarniach, podobnie jak ich młode. Nie wiadomo, ile sztuk zwierzyny nie zostało odnalezionych lub skończyło w bagażniku

kłusownika. Ostatnio jeden z leśniczych natknął się na zmasakrowane truchło dwuletniego łosia, znajdującego się przecież pod całkowitą ochroną. Łoszak miał już całkiem niezłe wyrosnięte łopaty. Za rok mógłby pokryć samicę, powiększając populację zagrożonego gatunku.

Weterynarz nie przejął się informacją o broni. Dobro zwierząt przewyższało niewielkie ryzyko oberwania śrutem.

- Podszukujemy miejsca na zasadzki. Kilka ambon się nada, dla reszty zrobimy zamaskowane szałas. Wygód proszę się raczej nie spodziewać...

- Nie spodziewam się. Kiedy akcja?

- W przyszły piątek. Całą nockę trzeba będzie przeczekać. Zazwyczaj przychodzą po łupy o świcie, ale kto ich tam wie...

- **T**o ja już naprawdę nic nie rozumiem - odkrył Amerykę Jacek. - Jesteś w końcu moją dziewczyną czy nie?

Anka stłumiła westchnienie i spojrzała na sfochowanego Jacka.

- Właściwie to nie - zdecydowała w końcu.

- Fajnie nam się gada... Dobrze się rozumiemy... Poczucie humoru mamy podobne...

*Zaraz mnie Pan Bóg piorunem zabije* - doszła do wniosku.

- I moja rodzina naprawdę cię polubiła.

Olśniło ją i w końcu powiedziała prawdę:

- Ale nigdy nie dorównam ci w sporcie, a nie mogę być z kimś, kto jest w czymś lepszy niż ja. To taka moja fobia... Strach znaczy - wytłumaczyła szybko, widząc na twarzy rozmówcy oznaki męczących się szarych komórek. - Jak ktoś mnie w czymś pokonuje, to zaczynam mieć gorączkę i dreszcze - dodała z przekonaniem. - Zostańmy przyjaciółmi.

*Ten slogan zawsze działa* - pomyślała, wyciągając do Jacka dłoń.



- Dobra - postanowił jej eks.

Ulga w jego głosie lekko ją ubodła.

- Ale pójdziesz ze mną na armwrestling? - Trochę się zająknął przy trudnym słowie.

- Pójdę, pójdę. I będę ci kibicować ze wszystkich sił.

Uśmiechnęła się do chłopaka, bo mimo wszystko miała trochę wyrzutów sumienia.

- Fajnie - rozpromienił się Jacek. - To przyjadę po ciebie w sobotę po piętnastej.

- Nie - zaproponowała szybko. - Spotkajmy się pod „Błyskawicą”. - Nie wiedząc, ile czasu wytrzyma z Jackiem i jego kolegami, stwierdziła, że własny transport jest nieodzowny. - No wiesz, mogę mieć nagłe wezwanie do pracy albo coś - wytłumaczyła się szybko na widok jego miny.

- To do soboty. Nara!

- Nara.

Odetchnęła z ulgą po jego wyjściu. *Ktoś może być z nim szczęśliwy* - pomyślała. *Nie jest złym chłopakiem... Ktoś nieoczekujący rozmowy po...*

Uznała, że odbywające się w Choszcznie za dziesięć dni wojewódzkie zawody w siłowaniu się na rękę będą bardzo adekwatnym tłem dla ich oficjalnego rozstania.

Tydzień minął jej jak w bajce. Dwudziestotysięczne Choszczno jakimś sposobem skurczyło się znacznie, bo prawie każdego dnia przypadkowo wpadała na Ajrona. Stali na chodniku całymi kwadransami, nie mogąc się nagadać. Zniknął gdzieś dystans, jaki im narzuciła, i Anka nie mogła nadziwić się własnej przyjemności z rozmów z doktorkiem.

Dwa razy zaszli do kawiarni na szybką kawę. Kilka okrążeń

dookoła jeziora, jakimś cudem pokonanych przez Ankę bez najmniejszej nawet zadyszki, pozwoliło im cieszyć się widokiem pierwszych wiosennych pąków na drzewach. Rozmawiali poważnie i chichotali beztrąsko ze swoich opowieści. Potrafili usiąść na jednej z parkowych ławek i fantazjować na temat mijających ich ludzi.

- Zobacz... - mówił Ajron, patrząc na mijającego ich szybkim krokiem mężczyznę, chowającego za pazuchą mały bukiet tulipanów. - On mi wygląda na porządnego faceta. Natyrał się w robocie, dostał burę od szefa, jest głodny i zmęczony, ale w drodze powrotnej zaszedł do kwiaciarni po bukiet dla żony.

- Albo wręcz odwrotnie. - Anna miała w głowie inną historyjkę. - Wraca z pracy, ofukał swoich pracowników i teraz leci do kochanki na szybki numer, podczas gdy żona czeka w domu z obiadem i patrzy z niepokojem na zegar.

Na niektóre tematy mieli jednak takie same poglądy, które zdumiałyby przypadkowych, postronnych obserwatorów. Siedząc blisko siebie i sącząc kawę, twierdzili zgodnie, że jest piękna pogoda, patrząc z zachwytem na strugi deszczu zalewające kawiarniane witryny. Uznali też, że zdewastowanie prawie całej rabatki kwitnących w parku krokusów nie jest kradzieżą ani aktem wandalizmu, tylko miłym gestem uprzejmego weterynarza. Anka pieczołowicie wstawiła kwiaty do kilku wazonów i z radosnym westchnieniem zanurzała w nich twarz przed nocnym odpoczynkiem.

Kilka dni po swoich urodzinach spotkała się z dziewczynami w ich ulubionej pizzerii.

- No i jak tam skończyła się sprawa z wydrą? - zapytała Aleksandra z zaciekawieniem. - Mam nadzieję, że prewencja była udana?

Pośmiały się szczerze ze sprawozdania złożonego przez sprytną panią policjantkę.

- A jak twoje relacje z Ajronem? - Romantyczna Mariola miała

pełen nadziei głos.

Tym razem sprawozdanie nie było aż tak wyczerpujące, ale obie kobiety znały Annę wystarczająco, aby z niewypowiedzianych słów, rozmarzonych spojrzeń i dyskretnych uśmiechów ułożyć sobie całkiem interesujący obraz sytuacji.

- Słuchajcie, muszę wam coś powiedzieć - odezwała się niespodziewanie Ola, pomiędzy jednym a drugim kęsem spożywanej w przyjaznym milczeniu pizzy. - To dotyczy mojego postanowienia noworocznego. Tego, o którym nie chciałam wam wcześniej mówić.

- No?

Obie przyjaciółki zaciekały się.

- Za miesiąc jadę do Szczecina. Na początku stycznia wysłałam swoje zgłoszenie i wczoraj dostałam odpowiedź. - Ola zamilkła na chwilę, aby wzbudzić większe napięcie. - Dostałam się do finału wojewódzkich eliminacji do „Anielskiej Kuchni”... - Popatrzyła z niepokojem na zastygłe w pół ruchu przyjaciółki. - No wiecie... - dodała niepewnie - tego kulinarnego programu telewizyjnego.

Wszyscy, nieliczni na szczęście, goście pizzerii podnieśli z przerażeniem głowy znad swoich talerzy na ogłuszający pisk dobiegający ze stolika, przy którym jakieś dwie dziwne kobiety w słusznym wieku darły się niczym nastolatki, ściskając brudnymi od pizzy paluchami trzecią.

- Ale ty jesteś tajemnicza! - śmiała się zachwycona Mariolka.

- Jak mogłaś nam nie powiedzieć! - oburzała się Anna.

- Przecież nie wiedziałam, czy się uda - tłumaczyła się zarumieniona z emocji Aleksandra. - Trafiłam przypadkowo na ogłoszenie o eliminacjach i pomyślałam: czemu by nie? Trzeba było wysłać swoje autorskie menu na trzydaniowy obiad. Przystawka, danie główne i deser. No to zastanowiłam się chwilę, co najchętniej pozeracie, i wysłałam przepisy.

- Na jakie dania? - pytały podniecone, jedna przez drugą.

- Na przystawkę wybrałam sałatkę z rukoli z kozim serem i pomidorami koktajlowymi. Na drugie - te dewolaje z indyka, które zjedliście prawie z patelni na Nowy Rok, a na koniec - miniserniczki z galaretką i owocami.

- Aaa, te, co Ajron cichaczem wciągnął na moich urodzinach.

Anka roześmiała się ciepło na to wspomnienie, choć wcześniej oberwało się zdrowo łakomemu doktorkowi, przyłapanemu na gorącym uczynku podczas ukradkowego pałaszowania, zrobionych i artystycznie udekorowanych przez Olę, pysznych deserów.

- To było łatwe... - Mistrzyni kuchni zasepiła się nagle. - Teraz zacznie się pod górkę. Na eliminacjach będziemy gotować na żywo. Przysłali mi dwadzieścia przepisów i spośród nich będziemy losować danie. Które z nich najbardziej zasmakuje sędziom, ten kucharz jedzie na eliminacje do Warszawy. Matko Boska... - spanikowała nagle Aleksandra. - Ja chyba tego do końca nie przemyślałam...

- Wygrasz - z całą pewnością powiedziała Anna.

- Nikt nie gotuje lepiej od ciebie. - Mariola potakująco pokiwała głową.

- Będziemy mieć w rodzinie gwiazdę telewizyjną. Zakasujesz wszystkich na samym starcie!

Ola uśmiechnęła się do wspierających ją kobiet.

- Nie nastawiam się, ale kto nie gra, ten nie wygrywa... Mari, robisz już sery? - zainteresowała się nagle i spojrzała na szwagierkę. - Bo ja muszę zacząć trenować. I muszę mieć najlepsze składniki. - Panika znów zabrzmiała w jej głosie. - Wiecie, jakie te przepisy są skomplikowane!? Większości w życiu nie gotowałam, a o niektórych składnikach nie mam zielonego pojęcia. Boże... To będzie prawdziwa kompromitacja...

Wstała energicznie, zrzucając na ziemię widelec.

- Natychmiast lecę do domu i wszystko odwołuję...

- Opanuj się. - Anka złapała ją za rękę i siłą posadziła na krzesło.

- Przestań panikować, przecież przez miesiąc wszystko przećwiczysz po kilka razy. Zresztą znając ciebie, nawet bez ćwiczeń wyjdą ci same rarytasy.

- A nawet jak odpadniesz, to odpadniesz - przyszła jej z pomocą Mariola. - Wielkie mi rzeczy. Te szczecińskie eliminacje nie będą chyba emitowane w telewizji?

- Na szczęście nie. - Ola uspokoiła się trochę. - Dopiero warszawskie... Ale wiesz, jaki to będzie wstyd, jak wyplują moje żarcie?

- Jak wyplują, to ich zaaresztuję - obiecała lojalnie Anna.

- I wszystko zjedzą na kolanach, prosząc o dokładkę - dodała Mari.

## ROZDZIAŁ 18

W środę starszy podchorąży Damian Jerzyna zwołał zebranie. Wraz z Tomkiem usiedli na krzesłach w sali konferencyjnej naprzeciw dużego ekranu. Przy rzutniku stał Jerzyna, puszczając przerażające slajdy.

- Wysrakowałambym gnoja żywcem - mruknęła wstrząśnięta Anka w ucho Tomasza.

Zdjęcia ukazywały tkwiącą w żelaznych sidłach płową zwierzynę, powykręcaną w różnych pozycjach. Zakrwawiony śnieg dookoła dopełniał makabrycznej dekoracji, powodując, że na sali panowała głucha cisza. Kolejny slajd ukazywał rozcięty brzuch sarny i leżące obok dwa małe jelonki. Równie wstrząsający był widok młodego łosia z rozdartym na pół gardłem.

- Pierwsze zwierzę zostało znalezione przy samej drodze, pomiędzy Dziadowem i Nowymi Wiatrakami, na początku stycznia - relacjonował Damian. - Nadleśniczy Smętek podejrzewa, że to ten sam człowiek lub grupa ludzi, którzy wytrzebili zwierzynę dwa lata temu. Leśnicy przygotowali zamaskowane stanowiska, w których przesiedzimy nockę, czekając na gagatka. Od stycznia prowadzimy śledztwo, na razie bez powodzenia. Sprzęt rozstawia najprawdopodobniej na początku tygodnia, bo wtedy psy policyjne

najszybciej łapały trop, a ewentualne łupy zabiera po kilku dniach. Niestety, psy równie szybko gubiły zapach. Prowadziły kilkaset metrów, po czym kręciły się w kółko, skomląc niecierpliwie, z czego wnioskujemy, że zwierzynę wywozi samochodem w niewiadomym kierunku.

Na ekranie pojawiła się mapa okolicznych lasów.

- W miejscach oznaczonych czerwonymi okręgami znaleźliśmy sidła. Jest ich piętnaście i tylu właśnie funkcjonariuszy potrzebuję. W każdym punkcie będzie czuwał jeden policjant i jeden leśniczy. Każdy z was dostanie noktowizor i kamerę na podczerwień. Wystarczy go nagrać, kiedy będzie kręcił się koło tych miejsc. Tylko nagrać. Zidentyfikujemy go i będziemy obserwować. Najlepiej byłoby oczywiście złapać kłusownika podczas opróżniania sideł, ale nie ludźmy się. Nie wiadomo, czy taka okazja się nadarzy. Jeśli się jednak uda, bądźcie ostrożni.

Kolejne zdjęcie wyświetliło się na ekranie. Była to fotografia myśliwskiej dubeltówki o pionowym układzie luf i kalibrze dwudziestu milimetrów.

- Wnioskując po śladach na korze drzew, podejrzewamy, że kłusownik posiada dwururkę o dużym kalibrze.

Podniósł wysoko, po czym puścił w obieg spłaszczony pocisk.

- Prawdopodobnie strzela brenekami, a jak doskonale wiecie, te ciężkie, ołowiane pociski ze względów konstrukcyjnych są bardzo niebezpieczne. Kilka z nich odzyskaliśmy z pni drzew. Pocisk jest mało precyzyjny i ma skłonność do rykoszetowania. Więc nawet strzelając na postrach, może was zranić. Jeśli trafi w strategiczne miejsce, to nawet śmiertelnie. Legalni myśliwi używają tych naboí do polowania na dziki i strzelają wyłącznie z bliskiej odległości.

Jerzyna wyłączył rzutnik i popatrzył na słuchających go uważnie kolegów.

- Na stole leży lista. Chętni niech się wpiszą, a z wybranymi

spotkam się jeszcze w piątek rano, aby omówić szczegóły – zakończył swój wykład podchorąży. – Dziękuję państwu za uwagę.

– Mam nadzieję, że będę miała to szczęście i gnój wylezie prosto na moje stanowisko – powiedziała do Tomka Anka, idąc w stronę ustawionego pod ścianą stołu.

**W** piątek z samego rana nadleśniczy Smętek przyglądał się ze zdziwieniem poważnemu zazwyczaj doktorowi Medinopolusowi. Mężczyzna trzymał w ręku listę nazwisk policjantów uczestniczących w nocnej akcji, którą poprzedniego dnia wręczył mu chorąży Jerzyna. Oczy doktora dziwnie rozbłysły, a jego usta wykrzywiły się w tajemniczym uśmiechu.

– To nazwisko wygląda mi ciekawie – powiedział doktor, wskazując palcem jedną z pozycji.

Smętek spojrzał na listę.

– I jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, ta ambona w środku lasu byłaby odpowiednim miejscem.

Nadleśniczy nie widział powodu, aby nie zgodzić się z sugestiami pomocnego weterynarza.

**W** sali konferencyjnej było zdecydowanie mniej osób niż dwa dni wcześniej. Anna rozejrzała się po otaczających ją kolegach. Oprócz niej i Tomka zgłosili się prawie wszyscy, więc do ostatniej chwili nie wiedziała, czy dostanie szansę na spotkanie oko w oko z bydlakiem. Odetchnęła z ulgą, gdy na wywieszanej tablicy odnalazła swoje nazwisko.

– Tu jest lista leśniczych i myśliwych, którzy zostaną na tę noc waszymi chwilowymi partnerami. Nadleśniczy Smętek ustali pary



i stanowiska – odezwał się Damian, wręczając każdemu z policjantów kartkę z wydrukowanymi nazwiskami.

– Mam nadzieję, że trafi mi się jakiś przystojniak... – mruknęła cicho Anka do stojącego obok niej Tomasza.

Wzrokiem prześliznęła po liście. Nagle znajome nazwisko zakłuło ją w oczy.

– Ej, widzisz to, co ja? – zapytała z niedowierzaniem kolegę.

Tomek spojrzał w pokazywane palcem miejsce.

– Arek?

– Jasna cholera! On chyba zdurniał!

Anna niecierpliwie czekała, aż Jerzyna skończy swe pouczenia. Po odprawie i szybkich odpowiedziach na kilka pytań złapała swój wydruk i wybiegła z komendy. Wsiadła do radiowozu i z włączonymi kogutami pomknęła do Wiatraków.

Kilka minut później była na miejscu, dziękując opatrności, że jeep Ajrona stał pod domem. Zaparkowała obok niego i z wściekłością pobiegła w kierunku, z którego dochodziły odgłosy rozmowy. Nieobliczalny doktorek stał przy stajni i długimi, powolnymi pociągnięciami czyścił zgrzebłem stojącą spokojnie Primeę. Z wnętrza dobiegały odgłosy przerzucanego obornika. Na jej widok nawet nie zdziwił się specjalnie.

– Ajron, czyś ty oszalał?! – krzyknęła ze złością. – Zawód nagle zmieniłeś? Jakim cudem na liście myśliwych i leśniczych znalazło się twoje nazwisko?

Anna machała weterynarzowi przed oczami płachtą papieru, aż biedny koń stulił uszy i zarżał niepewnie.

– Nie zmieniłem – odpowiedział jej spokojnie, nie przerywając toalety konia. – Ale mimo wszystko mój zawód jest w pewien luźny sposób związany ze zwierzętami, prawda?

– Ze zwierzętami może tak, ale na pewno nie ze spluwą o dwudziestomilimetrowym kalibrze, która może dziś rozwalić twój

pusty łeb!

Opluła się ze złości, a niewzruszony doktorek zmienił szczotkę i zaczął wyczesywać z końskiej grzywy źdźbła słomy.

- Ajron... To naprawdę nie jest najlepszy pomysł - odezwała się spokojniej, pragnąc przemówić mu do rozsądku.

- A ja uważam, że wręcz odwrotnie.

Z przyjemnością starłaby mu uśmiezek z twarzy przy pomocy wylatującej z boksów zużytej słomy.

- Ajron... Tu nie chodzi o przeprowadzenie staruszki przez ulicę. To jest niebezpieczny kłusownik, który nie zawaha się użyć broni w obliczu zagrożenia.

Jej złość minęła i poczuła w oczach irracjonalne, zdradliwe łzy.

- Coś się stało?

Ze stajni wyszedł zaniepokojony woźnica, obciągając kamizelkę. Anna spojrzała na jego błyszczące mimo brudnej pracy buty, wstydząc się podnieść załzawione oczy na twarz Ajrona.

- Jeszcze nic - odpowiedziała ponuro.

Weterynarz skończył pucowanie kłaczy i wprowadził ją do wyczyszczonego boksu. Objął ramiona policjantki i machając uspokajająco głową sąsiadowi, poprowadził ją w stronę domu. Pomocnik postać chwilę, wpatrując się w odchodzącą parę, i wrócił do roboty.

- Nie rozumiem, czemu się tak emocjonujesz - odezwał się Ajron, podając wzburzonej Annie szklankę wody. - Smętek powiedział, że potrzebują ludzi, to się zgłosiłem na ochotnika. Zapewnił mnie, że zagrożenie jest minimalne. Podobnie jak fakt, że kłusownik w ogóle się zjawi. Zresztą będę pod opieką jakiegoś policjanta, więc chyba nie musisz się o mnie martwić.

Popatrzył na pijącą małymi łyčzkami wodę blondynkę.

- Choć bardzo mi pochlebia twoja troska. - Uśmiechnął się z czułością. - Obiecuję ci, że nie dam się zabić, okej?

Wyjął z jej rąk pustą szklanę i spojrzał prosto w oczy.

- W porządku?

Anna odsunęła jego rękę i usiadła w fotelu, oddychając głośno.

- Właściwie to, realnie patrząc, masz rację.

Uspokojona, podniosła wzrok na stojącego w tym samym miejscu mężczyznę.

- Nie wiem, co mi odbiło. Gnałam do ciebie jak wariatka na sygnale i prawie cię pobiłam przy pracowniku.

Uśmiechnęła się niepewnie. Ajron podszedł do fotela i uklęknął na podłodze. Odgarnął jej z czoła spocone włosy i podniósł do ust wciąż lekko drżącą rękę.

- Bardzo się cieszę, że gnałaś do mnie na sygnale i że prawie mnie pobiłaś.

Dotyk jego ust i cichy, głęboki głos spowodowały, że dopiero co uspokozone serce ponownie zatrzepotało w piersiach. Delikatnie oswobodziła swoją dłoń i położyła na jego ramieniu.

- Po prostu bądź ostrożny - powiedziała miękko. - Mamy go tylko nagrać, nie złapać za wszelką cenę.

Pochyliła się nad ustami Ajrona i zawisała na chwilę w powietrzu. Poblady nagle mężczyzna wstrzymał powietrze.

- I powiem ci, że w takiej pozycji podobasz mi się najbardziej. Klęcząc u moich stóp - wyszeptała wprost w jego usta, po czym z głośnym piskiem zerwała się z fotela, uciekając przed jego, zgarniającymi samo tylko powietrze, ramionami.

**N**a spotkaniu w gabinecie nadleśniczego prawie zabrakło miejsca dla tłumu ludzi. Smętek odczytywał nazwiska i przypisywał pary do konkretnych miejsc. *Czemu nie jestem zdziwiona?* - zapytała samą siebie, słysząc swoje obok nazwiska Ajrona i zerkając spod rzęs na zadowoloną twarz mężczyzny. Miała nadzieję, że doktorek wie,

w którym miejscu jest ta ambona, o której mówił leśniczy.

- Idźcie teraz do domów i prześpijcie się trochę - zarządził Jerzyna. - Zbiórka o dwudziestej pierwszej. I pamiętajcie, żadnych rozmów, palenia papierosów i tym podobnych rzeczy. Ubierzcie się ciepło, bo czeka nas długa, zimna noc... I żadnych perfum ani innych sztucznych zapachów - dodał, zerkając na Annę.

- Co tak na mnie patrzysz? - Zdenerwowała się natychmiast. - Sugerujesz, że tylko ja w tym towarzystwie kąpię się i perfumuję?

Jerzyna postanowił zignorować zarówno krnąbrną funkcjonariuszkę, jak i śmiejącego się pod nosem weterynarza i dał hasło do rozejścia się.

- Patrz, jaki fart - nabijał się w żywe oczy Ajron, odprowadzając Annę do samochodu.

- Niesamowity - zgodziła się z nim policjantka. - Mam nadzieję, że słuchałeś uważnie Jerzyny i Smętka?

Aaron popatrzył na Annę niepewny, do czego ta zmierza.

- Cywile, czyli ty, mają bezwzględnie słuchać funkcjonariuszy, czyli mnie, i być im pomocni w każdy możliwy sposób.

- Tak jest. - Ajron zasalutował.

- Więc proszę przygotować kilka litrów dobrej herbaty, parę koców i kilkanaście kanapek. Mogą być z szynką, oby nietłustą, i ogórkiem. Aha, i kilka paczek jakichś ciastek by się przydało, w razie gdybym odczuła potrzebę węglowodanów.

- A ty co?

- No jak to co? Ja się porządnie wyśpię. Trzeba słuchać przełożonych.

Anna pomachała Ajronowi przez okno, śmiejąc się z jego miny, i pojechała do domu.

## ROZDZIAŁ 19

Rzeczywiście było zimno. Anka krzątała się po ciasnej, myśliwskiej ambonie i zastanawiała się, co przyniesie noc. Mimo chełpliwych słów, wypowiedzianych na pożegnanie do Ajrona, nie zasnęła nawet na sekundę.

Na miejscu zbiórki pojawiła się kilka minut przed czasem i obserwowała podjeżdżające co chwilę samochody. Uśmiechnęła się pod nosem na widok porządnie wyładowanego plecaka, którego właściciel wysiadł z jeepa.

Kilka minut po dwudziestej pierwszej, wysłuchawszy jeszcze ostatnich uwag i ostrzeżeń, wsiedli do służbowych samochodów, które porozwoziły ich na miejsca zasadzek. Ambona, na której mieli czuwać aspirant Sikora i doktor Medinopolus, znajdowała się w środku lasu, nieopodal wioski o nazwie Dziadowo.

Z wysokości pięciu metrów idealnie widać było okrągłą polanę, na brzegu której kłusownik ukrył mordercze, metalowe zębiska. Miejsca wewnątrz budki było doprawdy niewiele. Anka miała wrażenie, jakby jakaś moc przeniosła ją w świat liliputów i w ciasnym pudełku o dwumetrowych ścianach czuła się jak słoń w składzie porcelany. Deska służąca jako siedzisko dla myśliwych została czasowo zdemontowana i obserwatorzy urządzali swoje legowisko

wprost na drewnianej podłodze. Anna zajęła się ustawianiem sprzętu. Noktowizor w postaci małej lornetki powiesiła na wystającym gwoździu, aby w każdej chwili był pod ręką. Kamera znalazła swe miejsce tuż pod jedną ze ścian, w bezpośrednim sąsiedztwie naładowanego glocka, którego zabezpieczenie policjantka sprawdziła na wszelki wypadek kilka razy. Ajron zajął się bardziej przyziemnymi sprawami. Koce i śpiwory porozkładał na podłodze. Na desce położonej wzdłuż jednej ze ścian zorganizował polowę kuchnię, czyli ustawił termos z herbatą i pojemniki z jedzeniem.

Uśmiechając się z zadowoleniem, zamachał przed oczami zaaferowanej organizacją miejsca pracy policjantce kilkoma torebkami biszkoptów. W przeciągu pół godziny wszystko było gotowe. Anna sprawdziła jeszcze, czy bez problemów sięgnie po omacku po sprzęt i broń, po czym, zadowolona z rezultatów, spojrzała na towarzyszącego jej cywila.

- Teraz pozostaje nam tylko czekać.

Oboje wyglądali jak bohaterowie szpiegowskich filmów, ubrani w czarne ubrania i polowe kurtki o maskujących barwach. *Brakuje mu tylko czarnych smug na policzkach i zygzaka na czole* - zachichotała w myślach Anna na widok Ajrona. Mężczyzna skinął głową.

- Kierownictwo sztabu dowodzenia zapewniało, że do trzeciej nad ranem możemy zachowywać się w miarę swobodnie. Jakies propozycje, pani władzo? - zapytał żartobliwie.

- No jak to, panie doktorze? Nie przygotował pan żadnych rozrywek? - zapytała równie żartobliwie, po czym stwierdziła natychmiast, że jej żart nie był zbyt udany.

- Przygotowałem, a jakże... Tylko potrzebuję do tych rozrywek aktywnej współpracy.

Ciemność, rozpraszana tylko światłem gwiazd i wąskiego rożka księżyca, sprawiała, że barki Ajrona zdawały się jeszcze szersze niż

zazwyczaj. Ciasnota pomieszczenia również nie pomagała i Anna poczuła, że to będzie ciężka noc. Nie widziała dokładnie jego twarzy, ale domyślała się złośliwego uśmiešku.

- Aktywna współpraca jest raczej niemożliwa w pomieszczeniu o tych wymiarach, ale możemy pograć w państwa, miasta - palnęła pierwszą lepszą rzecz, jaka wpadła jej do głowy.

- No, dokładnie to właśnie miałem na myśli - zaśmiał się cicho mężczyzna. - Ale na razie usiądźmy i ponapawajmy się urokiem uśpionego lasu - zaproponował i zrobił zapraszający ruch ręką.

Siedział na podwyższeniu zaimprovizowanym z plecaka i zrolowanego śpiwora, spoglądając przed siebie.

*Nie wiem, czy to najlepszy pomysł* - pomyślała dziewczyna. Trochę przerażała ją nieunikniony kontakt z jego ciałem, ale nie chcąc zdradzać swoich rozterek, podeszła i usiadła obok mężczyzny. Ajron przesunął się nieco, aby zrobić dla niej miejsce. Mimo że usiadła na samym brzegu, i tak stykali się ramionami.

- Spójrz, jak spokojnie...

W pierwszym momencie nie widziała nic. Po chwili jej oczy przyzwyczyły się do ciemności i zaczęła rozróżniać kształty drzew, gałęzi i krzewów. Wszystko wyglądało niesamowicie. Z początkowej wszechobecnej czerni zaczęły wyłaniać się inne barwy.

Głęboki i absolutny atrament korzeni i podstaw pni przechodził w coraz jaśniejsze odcienie grubych konarów, kończąc się ciemnografitowymi wierzchołkami gałęzi. Krzaki rosnące dookoła polany otaczała srebrzysta, ledwie widoczna, jakby nierzeczywista mgiełka. Wiatr wiał delikatnie. Szumiąc tajemniczo i poruszając gałązkami, wywoływał z mroku tysiące roztańczonych cieni.

Zauroczona Anna podniosła głowę i spojrzała w niebo. Rozpościerał się nad nią trochę przerażający baldachim rozłożystych koron drzew. Liście nie zdążyły jeszcze złagodzić ich ostrych konturów i kobieta zadrżała lekko, wyobrażając sobie, że gałęzie

odcinające się od oświetlonego księżycem nieba to widmowa dłoń leśnego demona. Krzyknęła cicho, gdy dłoń ta opadła na jej ramię. Ajron spojrział na nią zdziwiony.

- Weź tę łapę - warknęła.

- Chciałem ci tylko pokazać jelenia. - Mężczyzna obruszył się lekko, a Annie zrobiło się głupio.

- Gdzie?

Dłoń, która okazała się nie demoniczna, ale jak najbardziej ludzka, ponownie spoczęła na jej ramieniu i Ajron obrócił Ankę w stronę polany.

- Tam... Widzisz te dwa świecące punkty? To jeleni albo daniel.

Spojrzała we wskazanym kierunku. Dwa żółtozielonawe punkciki błysnęły w czerni i za chwilę zniknęły. Rozległ się cichy trzask złamanej gałązki.

- Całe szczęście, że po przeciwnej stronie niż te cholerne sidła - szepnęła, wciąż jeszcze trochę rozdygotana.

Ajron nie zabrał ręki z jej ramienia i popatrzył uważnie.

- Dlaczego krzyknęłaś?

*Matko jedyna... O demonach mam mu opowiedzieć?*

- Zdawało ci się.

Zaśmiał się cicho.

- Z pewnością...

Nie odpowiedziała, nadal spoglądając przed siebie. *To dziwne - zdała sobie sprawę - ale chyba nigdy wcześniej nie byłam nocą w lesie...*

- Gdy tak patrzę, to ogarnia mnie niesamowite uczucie spokoju i ładu... - cicho i niespodziewanie odezwał się mężczyzna. - Tak jakby czas się zatrzymał i wszystko było tam, gdzie powinno być. Nie istnieje zawiść, spekulacje ani wyścig szczurów. Każdy żyje obok drugiego, nie wchodząc sobie w drogę. Współistnieje, nie niszcząc innych. Taki naturalny porządek rzeczy... Nie chce się wierzyć, że



gdy tylko wszędzie słońce, zarozi się tu od ludzi, zapanuje hałas, rozgardiasz... Nie masz wrażenia, że znaleźliśmy się w jakiejś magicznej bańce powietrza, która zabrała nas z naszego pełnego goniwoty życia do tego cudownego czasu?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie chciała nic odpowiadać. Chciała tak siedzieć w ciemności obok niego i słuchać do końca życia wymawianych szeptem słów. Chciała czuć na ramieniu ciepły ciężar jego ręki i nie myśleć o jutrze ani o niczym innym. Bezwiednie przytuliła się do twardego ciała, po czym, poczuwszy nagle oszołomienie, wstała, aby przerwać ten dziwny czar, jaki rzucił na nią las i brzmienie cichego głosu. Ajron popatrzył jeszcze chwilę przed siebie, po czym odwrócił się w stronę Anki.

- To co? Państwa, miasta?

Uśmiechnęła się pod nosem.

- Dobra. Ale musisz wiedzieć, że z geografii nikt mnie nie zagnie.

Podeszła do ławki i naląła w dwa kubki gorącej herbaty.

- Z czym masz kanapki?

- Z polędwicą sopocką. Szynki nie dostałem. - W głosie Ajrona również zabrzmiały wesołe nutki.

- Ja mam z serem żółtym. Chcesz?

Usiedli po turecku na podłodze ambony i zajadali kanapki, popijając je malinową herbatą.

- Ja mówię alfabet - odezwał się Ajron - a ty powiedz „stop”.

- A znasz kolejność liter?

Nie mogła się powstrzymać. W drgnięciu męskiej głowy domyśliła się uśmiechu.

- Zwracają się do mnie różnymi imionami, ale żadne z nich nie zaczyna się na „j” - odpowiedział złośliwością na złośliwość.

Nie mogła nie przyznać mu racji. Po kilku rundach nie wyłonili zwycięzcy i znudziła im się zabawa rodem z podstawówki.

- Skończmy tę grę, bo robię się coraz bardziej podniecony. -

Ajron zachichotał. – Jak szeptałaś do mojego ucha „Brazylia” i „Barcelona”, to poczułem prawdziwy dreszcz.

*Coś w tym jest* – pomyślała Anna, gdyż faktycznie, wypowiedane szeptem zwykle słowa nabierały tajemniczego brzmienia.

– To słuchaj teraz... – Pochyliła się wprost do jego ucha i wyszeptała namiętnie: – Hemoroidy...

Oboje zatkali sobie usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem, który mógłby zdemaskować ich obecność. Anka spojrzała na zegarek. Dwudziesta trzecia dziesięć. Wstała i wzięwszy w rękę noktowizor, przejrzała brzegi zarośli. Oprócz kilku jasnych, małych punktów, prawdopodobnie drobnych gryzoni, nie ujrzała niczego podejrzanego.

– Zagrajmy w trzy razy naj – zaproponowała, siadając z powrotem.

– Mam się bać?

Zdusiła śmiech.

– No... nie wiem. Tej gry nauczyła mnie Hanka. Zadam ci trzy pytania, a ty musisz szczerze odpowiedzieć.

Z pewnym wahaniem skinął potakująco głową.

– Najwspanialsza rzecz, jaka zdarzyła ci się w tym tygodniu.

Ajron odstawił kubek po wypitej herbacie i usiadł za Anną. Poczula, jak mości się wygodnie, opierając o jej plecy i wyciągając przed siebie długie nogi. Powstrzymała westchnienie wyrywające się z piersi na łaskoczący dotyk jego włosów na karku.

– Najwspanialsza rzecz w tym tygodniu... Siedzenie w ciasnym, ciemnym pudełku z piękną kobietą o ostrym języku.

– To miały być szczerze odpowiedzi! – oburzyła się szeptem.

– Są – odpowiedział i znów połaskotały ją czarne włosy.

Milczała chwilę, ale postanowiła ciągnąć zabawę dalej.

– Najgorsza rzecz, jaka ci się wydarzyła w tym tygodniu.

– Ta sama piękna kobieta o ostrym języku wyjadła mi wszystkie kanapki z wędliną, zostawiając tylko czerstwe bułki z zeschniętym

serem - odpowiedział poważnie i tym razem to jego kark został zaatakowany spiętymi w koński ogon blond włosami, podrygującymi na rozbawionej głowie.

- A teraz najdziwniejsza rzecz.

Ajron zamyślił się.

- Powiem ci, że rzeczywiście zdarzyła mi się dziwna rzecz...

Zastanowiła ją zmiana tonu głosu, słuchała więc uważniej.

- Kilka dni temu odebrałem niespodziewany telefon. Jakiś facet zapytał, czy rozmawia z doktorem Medinopolusem. Odpowiedziałem twierdząco i przez pół godziny słuchałem o jego żołądku, trzustce i wątrobie.

Anna poczuła pusty chichot narastający w gardle.

- Nie dał mi dojść do słowa - kontynuował mężczyzna. - Skończył gadać o układzie trawiennym i zaczął o kostnym. Dowiedziałem się, że strzyka mu we wszystkich stawach, ma łokieć tenisisty i golfisty, kolano przeskakuje przy każdym kroku, a kość udowa boli na zmianę pogody.

Anna nie wytrzymała i głośny chichot przestraszył zająca ogryzającego pierwsze źdźbła trawy kiełkującej nieśmiało pod amboną.

- Po fascynującej opowieści o stanie prostaty przerwał na chwilę, aby wziąć głęboki wdech, i wtedy udało mi się zapytać, skąd dostał namiary na mój telefon. Odpowiedział, że od jednej z moich pacjentek. Zacząłem się zastanawiać, która z krów lub klaczy mogła zrobić mi taki podły numer...

Ankę powinni zwolnić z pracy, bo zapomniawszy o celu swego nocnego czuwania, chichotała jak szalona, płosząc nie tylko biednego zająca, ale i całe stado saren podnoszących ze zdziwieniem zgrabne głowy w stronę nietypowych odgłosów.

- Pomiedzy zgagą i awitaminozą wyjaśniłem mu, że to chyba pomyłka, gdyż, owszem, jestem lekarzem, ale weterynarii. Błoga

cisza, jaka zaległa w telefonie, była ulgą dla moich uszu. Przed zerwaniem połączenia usłyszałem coś o wydzieraniu blond włóków i doszedłem do wniosku, że to chyba nie jest sprawka żadnej z krów, ale raczej pewnej, znajomej blond kozy...

Obrócił się gwałtownie i złapał ją za ramiona.

- Więc teraz musisz ponieść konsekwencje...

Próbowała wydostać się z jego uścisku, ale silny mężczyzna nie zamierzał odstąpić od wymierzenia kary.

- Pół godziny słuchałem o jego chorobach... Pół godziny, które mogłem poświęcić na jakieś znacznie ciekawsze sprawy... Więc teraz ty posłuchasz mnie...

Złapał jej głowę i pochylił się do ucha.

- Hm... Wolisz o ochwacie czy o pryszczycy?... Pryszczycyca. Jest bardziej obrzydliwa - podjął decyzję.

Anka ze śmiechem walczyła z trzymającymi ją mocno ramionami.

- Jest to paskudna choroba zakaźna zwierząt racicowych. Jej powodem jest podstępny *Picornavirus aphthae*. Pierwszym objawem jest gorączka...

Zasapana Anna czuła, że chyba złapała tego wirusa, gdyż temperatura jej ciała wyraźnie podskoczyła. Nie poddawała się, wciąż odpychając głowę Ajrona i próbując wysliznąć się z jego objęć.

- W obrazie krwi początkowo występuje leukocytoza, później leukopenia...

W naczyniach krwionośnych Anny nastąpił wzrost ciśnienia, a serce biło kilka razy szybciej, niż powinno.

- Pojawia się nadmierne ślinienie oraz mlaskanie podczas przyjmowania pokarmu...

*Boże... naprawdę to mam* - przełknęła głośno zbierającą się w ustach ślinę.

- Wyróżniamy postać złośliwą i łagodną...

Bez tchu padła na skotłowane koce i śpiwory, nie mając już sił

walczyć dłużej z sadystycznym doktorkiem. Ajron pochylił się nad nią.

- A w tym konkretnym przypadku możecie państwo zaobserwować, jak z postaci wybitnie złośliwej obiekt badań przemienił się w postać delikatną i uległą...

Zawiesił słowa w powietrzu i trzymając wciąż jej ręce w swoich, jeszcze niżej pochylił głowę. Jego twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od spłonionej z wysiłku i śmiechu twarzy Anny. Nauczycielski, beznamiętny ton głosu zmienił się w ochryply szept.

- I obie postaci są równie podniecające.

Śmiech zamarł i zamienił się w całkiem nieśmieszne emocje. Anka ponownie przełknęła nadmiar śliny i zastygła w bezruchu, wpatrując się w czarną plamę twarzy Ajrona.

W głębokiej ciszy, jaka w końcu zapadła na polanie, zając ponownie zaczął skubać zielone pędy, a sarny spokojnie opuściły głowy. Powietrze w ambonie było tak naelektryzowane, że wystarczyłby mały impuls, aby żar spalił leżących w napięciu ludzi. Mężczyzna odgarnął włosy z twarzy kobiety. Klamra, która spinała je w skromną fryzurę, potoczyła się nie wiadomo gdzie i Ajron z zachwytem wpatrywał się w jedwabistą plamę rozrzuconą wokół ciemnego owalu. Pochylił się do samych, rozwartych lekko ust.

- Chcesz mnie o coś poprosić? - zapytał ochryple wprost w jej usta.

- Tak - odpowiedziała z wysiłkiem. - Zejdź ze mnie.

Weterynarz pozostał jeszcze chwilę w tej samej pozycji, po czym z przeciągłym westchnieniem podniósł swe ciało, a Anna pożałowała pochopnie rzuconych słów. Usiadła i trzęsącymi się rękoma zaczęła macać podłogę w poszukiwaniu spinki do włosów. Ajron podał jej zgubę, która szybko okiełznała gąszcz potarganych, jasnych włosów.

- Chciałam ci przypomnieć, że jesteśmy w pracy - powiedziała bez tchu.

- Wiem - zgodził się mężczyzna. - Gdyby nie to, postarałbym się

bardziej, aby twoja prośba brzmiała inaczej. Całkiem inaczej...

Kolejne dwie godziny spędzili na rozmowach, przerywanych co jakiś czas zerknięciem przez lornetkę na polanę i okalający ją las. Około trzeciej w nocy Anna poczuła senność i jej słowa tłumilo co chwilę szerokie ziewnięcie. W związku z tym, że zjedli już wszystko, włącznie z jej czerstwymi bułkami, z szeleszczącego worka do plastikowego pudełka przesyłała ciastka kupione przez Ajrona i mocząc je w herbacie, wkładała do ust. Kilka razy jej dłoń zamiast na okrągłego biszkopta trafiała na ciepłą rękę i za każdym razem zdradliwa fala ogarniała jej ciało, mimo że rozmawiali akurat o najnowszym kulinarnym pomysle Aleksandry.

- Prześpij się trochę - zaproponował mężczyzna, patrząc na jej kolejne ziewnięcie.

- W pracy jestem - odpowiedziała, mimo że pomysł był bardzo kuszący.

Ajron wziął w ręce bezużyteczną do tej pory kamerę.

- Ile godzin nagrywa?

- W najlepszej jakości chyba dwie, ale mam kilka zapasowych kart i baterii - odpowiedziała Anna, zastanawiając się nad sensem pytania.

Weterynarz ustawił niewielką kamerę obiektywem w kierunku polany i przycisnął guzik nagrywania.

- Nic nam nie umknie. Właż do śpiwora, ja posiedzę na czujce.

Oprócz kilku dalekich pohukiwań i szumu wiatru w lesie panowała cisza. Anka posiedziała jeszcze trochę, niepewna, jaką podjąć decyzję, ale legowisko kusilo i postanowiła położyć się na chwilę. Ściągnęła grubą kurtkę i wpełzła do puchowego śpiwora. Leżała, obserwując sylwetkę mężczyzny, wyraźnie widoczną na tle rozgwieżdżonego nieba.

Siedział prawie bez ruchu, wpatrując się w przestrzeń. Po kilku minutach schylił się do plecaka i wyjął butelkę wody mineralnej.

Z fascynacją patrzyła, jak ją otwiera i podnosi do ust. Senność odeszła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Pojawiły się za to tajemnicze motyle, które w jej brzuchu postanowiły odtańczyć jakiś godowy taniec. Mimo ciepłego śpiwora poczuła chłód i jej zęby zaszczękały, uderzając jeden o drugi. Ajron odwrócił się od okna.

- Zimno?

- Nie - odpowiedziała, a chwilę później jej zęby znów wystukały zgrzytliwe stacatto.

Mężczyzna odłożył na ławkę pustą butelkę, skontrolował jeszcze raz ułożenie kamery i podszedł do leżącej kobiety.

- Posuń się.

Nie zważając na opór, rozpiął suwak i wsunął się obok. Obrócił ciało Anny i położył się za nią, rozcierając jej zmarznięte ramiona. Z każdą kolejną minutą jego ruchy były coraz wolniejsze, a nacisk dłoni malał. Z każdą minutą jej oddech był coraz szybszy, a taniec motyli nabierał tempa. Pomiędzy ich ciała nie dałoby się wcisnąć najmniejszej wykałaczki. Na plecach Anna poczuła podejrzaną twardość.

- To chyba nie jest mój glock? - zapytała drżącym głosem, wbrew rozumowi przyciskając swe ciało do podłużnej wypukłości.

- Nie, kochana... To jest mój glock - wyszeptał Ajron wprost do jej ucha.

Jego ręka zsunęła się z ramienia na brzuch. Dotąd gmerał palcami, dopóki nie wyciągnął brzegu koszulki zza paska spodni i jego dłoń wpełzła podstępnie pod czarny T-shirt. Chwilę zataczał kciukiem kręgi wokół jej pępka. Motyle zwariowały i opanowały całe ciało. Delikatnym ruchem obrócił ją na plecy, pochylił głowę i lekko jak piórkiem dotknął ustami jej ust. Jego dłoń opuściła brzuch i zainteresowała się paskiem od spodni. Językiem sprawdził smak jej warg, a ciało Anny wygięło się, ulegając odwiecznym emocjom.

- Powiedz to...

Jego język sprawdzał teraz smak szyi, powodując szaleńcze pulsowanie krwi w tętnicach.

- Poproś mnie...

Sprawne palce pokonały ostatnią przeszkodę i Annę zalało niepoahamowane pragnienie spełnienia.

- Przełam się... Przecież tego pragniesz...

Jego hipnotyczny głos przerwał wszystkie tany i bariery, jakie sobie postawiła. Gdyby kazał jej skoczyć na główkę z okna ambony wprost na ziemię, nie zawahałaby się ani sekundy.

- Pocałuj mnie... proszę...

Przyciągnęła jego głowę i zatopiła się w palącym pocałunku. Kłusownicy, ambona i ciemny las przestały istnieć, kiedy jej ciało eksplodowało, a dusza poszybowała pomiędzy gwiazdy.



## ROZDZIAŁ 20

Kilka minut przed siódmą sprawdziły się słowa Ajrona i oboje podskoczyli na odgłos zbliżającej się furgonetki. Mężczyzna popatrzył ciepło na Annę i szybko ją pocałował.

- To jesteśmy umówieni, tak?

Skinęła głową, żałując, że noc skończyła się tak szybko. Choć nie narzekała na brak atrakcji, wolałaby, aby kamera nagrała coś innego niż jednoznaczne odgłosy, które skasowali wśród skrępowanych trochę śmiechów. *Może komuś się poszczęściło* - pomyślała z nadzieją, schodząc po drabinie. Z furgonetki wyszedł nadleśniczy Smętek i spojrzał pytająco na policjantkę.

- I co? Zauważyliście coś podejrzanego czy nocka zmarnowana?

Przecząco poruszyła głową, odpowiadając na oba pytania. Po uściśnięciu na powitanie dłoni panowie wpakowali sprzęt do bagażnika, po czym kierowca w zielonym mundurze przycisnął pedał gazu.

Anna z żalem obróciła głowę, patrząc na znikającą, strzelistą sylwetkę ambony. Ajron siedział obok niej na niewygodnej, twardej ławce i przyciskał udo do jej nogi. Po drugiej stronie siedziało kilku mężczyzn, a z ich zawiedzionych min wywnioskowała, że oni również nie sfilmowali niczego ciekawego. Po kilkunastu minutach wysiedli

przed budynkiem nadleśnictwa, gdzie tłoczyło się już wielu zmęczonych nocnym czuwaniem ludzi.

- Boże... To była najgorsza noc mojego życia - pozałił się Tomasz, podchodząc do stojącej samotnie Anny. - Facet, z którym siedziałem w klaustrofobicznym szałasie, wypowiedział zaledwie kilka słów, zimno było jak diabli i, na domiar złego, jedyne, co nadawało się do nagrywania, to kilka saren i lisów. Jakieś gałęzie pokłuły mi tyłek, a poranna rosa zmoczyła ciuchy.

Popatrzył ze zdziwieniem na milczącą koleżankę.

- Anka... halo... słyszysz mnie?

- Tak, tak...

Policjantka nie odrywała wzroku od grupy rozmawiających pod drzwiami budynku osób, wśród której jedna z sylwetek przyciągała jej oczy niczym magnes.

- U mnie też było fajnie... - odpowiedziała koledze rozmarzonym głosem.

Tomek głupi nie był i podążywszy za jej wzrokiem, domyślił się, że jego koleżanka miała tej nocy ciekawsze niż on towarzystwo i bardziej fascynujące przygody.

- A jak spadł księżyc i potoczył się po ziemi, to też było dobre, nie?

- Noo...

Tomek zachichotał w głębi duszy, zadowolony, że będzie mógł ją trochę pognać.

- I jak ten mamut przegalopował obok szałasu...

- No...

- Ale nie wiem, czemu cię tak komary pocięły... Chyba jeszcze na nie za wcześnie?

Anka wróciła do świata żywych i spojrzała na upierdliwego kolegę.

- Co?

- Pytam, gdzie cię tak komary pocięły. Całą szyję masz jakby w... malinkach?

Przerażona Anna spojrzała ze strachem na Tomasza i szybkim ruchem postawiła kołnierz swej polowej kurtki.

- To pewnie pchły...

- No co ty? Nie ma jeszcze robactwa, za zimno.

*Jest... jedna wielka, podła pchła...*

- Widocznie w tej mojej ambonie były. Udało się komuś?

- Nie. Nikt nie przeżył żadnych ekscytujących przygód tej nocy. No, chyba że może wy?

Funkcjonariusz zaśmiał się gardłowo, co uzmysłowiło Annie, jakie przygody ma na myśli Tomek i że żadne wykręty go raczej nie przekonają. Złapała za klapy jego kurtki i przyciągnęła go do siebie.

- Jak powiesz komuś choćby słówko, to nie żyjesz. A jak zobaczę jakieś głupie uśmieški albo coś w tym stylu, to poproszę Marka, żeby dał mi cię na partnera podczas kolejnego treningu samoobrony. A wtedy nawet ochraniacze nie pomogą... Rozumiemy się?

- Dobra, dobra... - Tomek nie przejął się jej groźbami. - Przecież już na twoich urodzinach widziałem, że czujecie miętę do siebie. Każdy widział...

Śmiejąc się z wściekłości w oczach koleżanki, uciekł do samochodu.

- Mamy się stawić w komendzie na odprawę. Jesteś w stanie prowadzić auto czy wziąć cię na linkę?

Nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo Tomek z piskiem opon odjechał w stronę siedziby policji. Obiecując sobie, że zamorduje go z zimną krwią, spojrzała ostatni raz na zajętego wciąż rozmową Ajrona i wsiadła do swojej corsy.

-Pełna porażka. - Jerzyna załamał ręce. - Od wielu dni sidła nie

były sprawdzane, więc byłem przekonany, że się pojawi. W weekend na pewno nie przyjdzie, bo po lesie kręci się za dużo ludzi. Uprawiają jogging albo spacerują z psami... Ktoś mógłby zobaczyć świeże ślady krwi i narobić rabanu. Spróbujemy w przyszłym tygodniu.

Popatrzył na grupę zmęczonych ludzi.

- Idźcie do domów. Dobra robota.

- Nie za dobra, skoro na nic się nie zdała - któryś z kolegów wypowiedział na głos myśli Anki.

- Trudno, siła wyższa. Zastanawiam się, czy nie było jakichś przecieków...

Po powrocie do domu Anna wzięła tylko szybki prysznic, zbyt zmęczona na moczenie ciała w wannie. Obejrzała dokładnie w lustrze swoją szyję i nie ujrawszy na szczęście żadnych malinek, obiecała Tomkowi bezlitosną zemstę.

Położyła się do łóżka, a rozmarzony uśmiech ponownie zakwitł na jej twarzy. Leżąc, przypominała sobie rozmowę bladym świtem. Z każdą chwilą niebo przybierało jaśniejszą barwę. Oprócz cichego szumu kamery do jej uszu dobiegały odgłosy budzącego się lasu. Liczne ptaki ćwierkały na powitanie dnia, a pod amboną szurały jakieś drobne zwierzęta. Leżała obok Ajrona z głową na jego piersi, a mężczyzna nawijał na palce długie pasma jej włosów. Żadne odgłosy z zewnątrz nie wskazywały, żeby w sidła złapała się jakaś zwierzyna, więc uległa namowom doktorka i ponownie włączyli kamerę.

- Warto było się tak upierać? - odezwał się zadowolony. - Z trupem nie byłoby tak gorąco. Nigdy zresztą nie pociągała mnie nekrofilia... - Złapała w palce sutek kochanka i przekreśliła wcale nie delikatnie.

- Zamknij się, bo zaraz sam będziesz trupem.

Tortura, wbrew jej zamierzeniom, sprawiła mu chyba przyjemność, bo westchnął z jeszcze większym zadowoleniem. Milczeli długo, ciesząc się bliskością swych nagich ciał. Temperatura powietrza spadła o kilka dobrych stopni, ale pod licznymi warstwami koców i śpiworów było ciepło i przytulnie.

- We wtorek jadę do Kołobrzegu na sympozjum weterynaryjne. Profesor Borowski jest wybitnym teriologiem, specjalistą w dziedzinie hipologii. Jedź ze mną. Wykłady potrważą cały dzień, ale wieczorem moglibyśmy pójść na spacer brzegiem morza albo pomoczyć się w hotelowym jacuzzi. Przedłużymy pobyt o dzień lub dwa. Będzie super...

Nie musiał kusić jej zbyt długo. *Znów trzeba będzie nakręcić w grafiku* - pomyślała rozmarzona.

Nie dane jej było pospać po bezsennej nocy. Zdawało się, że ledwie przymknęła oczy, gdy zadzwieczała komórka. *Już się stęsknił?* Mimo lekkiej irytacji z uśmiechem sięgnęła po telefon.

- Cześć - powiedziała przeciągle. - Nie możesz beze mnie spać?  
Cisza w eterze trochę ją zdziwiła.

- No... mogę. A ty beze mnie?

Usiadła raptownie, usłyszawszy głos Jacka.

*Boże... on jeszcze żyje?* Postać ekschłopaka całkowicie wywietrzała jej z głowy.

- Cześć, Jacek. Przepraszam, coś mi się chyba romantycznego śniło... - niechcący powiedziała prawdę. - Stało się coś?

- Nie... A co się miało stać?

*Matko jedyna... tylko przeszczep...*

- Bo dzwonisz tak niespodziewanie z samego rana.

- Jakie rano? Już po dwunastej.

Z niedowierzaniem spojrzała na zegarek. Wskazywał dwunastą trzy.

- Aaa... faktycznie.

- Chciałem ci tylko przypomnieć o zawodach. Będiesz? - Jego głos był jedną wielką nadzieją.

- Pamiętam, pamiętam... - skłamała bezczelnie.

- Na którą to miało być?

- Na szesnastą.

- Dobra. Będę o szesnastej.

*Można się jeszcze przespać - dzięki ci, Boże...*

- Fajnie. Nara.

- Dobranoc.

Jeśli Jacek zdziwił się pożegnaniem, to nie zdążyła tego usłyszeć, bo w tym samym momencie, w którym zakończyła się rozmowa, Anna ponownie zapadła w sen.

Po kilku godzinach przeciągnęła się zadowolona. Śniły jej się stada saren i jeleni, buszujących na leśnych polanach. Ocieężałym od snu ruchem podniosła komórkę walającą się wśród pościeli. *Rany boskie! Wpół do piątej!* Wyskoczyła z łóżka, przypomniawszy sobie obietnicę daną Jackowi.

Po szybkim prysznicu wskoczyła w pierwsze lepsze ciuchy i pojechała do „Błyskawicy”. Na parkingu roiło się od aut. Zaparkowała trochę krzywo pomiędzy renówką a srebrnym citroënem i kierując się odgłosami, ruszyła na poszukiwanie odpowiedniej sali. Spojrzała na zegarek - siedemnasta dwadzieścia. Zza współprzymkniętych drzwi dobiegały głośnie brawa i okrzyki. Wsunęła się między kibiców. W większości byli to młodzi, napakowani mężczyźni, lecz jej oko zauważyło również kilka mocno umalowanych pań i sporą grupkę dziennikarzy. Uśmiechnęła się, spoglądając w stronę jednego z ustawionych na środku sali stołów.

Dziewczyna Tomka z drwiącym uśmiechem siłowała się z jedną z zawodniczek. Po kilku zaledwie sekundach Gośka położyła rywalkę, rozległo się klepięcie w stół i sędzia ogłosił jej zwycięstwo. Dumnym wzrokiem omiotła klaszczący tłum, kiwnęła głową na widok Anny, po

czym jej twarz rozpromieniła się niczym słoneczko. Anka usłyszała przeraźliwy gwizd. *Ten dźwięk mógł wydać tylko Tomek* – doszła do wniosku. Nie pomyliła się. Kolega stał po drugiej stronie sali i wiwatował głośno. Przecisnęła się w jego stronę.

- Cześć. Nie wiesz, czy Jacek już walczył?

Tomasz lekko zdziwił się na jej widok.

- A co? Jednak Jacek, nie Arek?

Popukała się w głowę.

- Ty to o jednym tylko. Obiecałam, że przyjdę, to jestem. Kumplujemy się.

- Z Arkiem też się tylko kumplujesz?

Uśmiezek Tomka zdecydowanie ją wnerwiało.

- Pilnuj swojej Gośki – fuknęła.

Tomek spojrzał na odbierającą gratulacje zwyciężczynię.

- Noo... Bałbym się jej podpaść...

W jego słowach było jednak tyle ciepła, że Anna postanowiła wybaczyć mu dogryzanie na temat jej i Ajrona.

- Jacek położył już kilku i zaraz będzie walka finałowa – odpowiedział w końcu Tomasz, kiwając ręką do zbliżającej się Gosi.

Przy gromkich brawach i okrzykach do głównego stolika podszedł były chłopak Anki. Rozejrzał się i uśmiechnął z radością na widok policjantki. Anna pomachała mu wesoło i wsadziwszy dwa palce do ust, gwizdnęła prawie tak głośno, jak przed chwilą Tomasz.

Przeciwnik Jacka, wielkie chłopisko o dłoniach jak bochenki chleba i przedramionach dużo grubszych niż uda policjantki, podchodził z drugiej strony. Po skinięciu głowami zawodnicy usiedli po przeciwnych stronach i rozpoczęli zmagania.

Anna nie sądziła, że można się tak emocjonować, patrząc na dwóch nieruchomych osiłków. Tłum porwał ją i razem ze wszystkimi głośno krzyczała imię Jacka. Przez ponad minutę zawodnicy siedzieli prawie bez ruchu i tylko kropelki potu spływające po czołach

świadczyły, że rozgrywa się pojedynek mistrzów.

Błysnęły flesze aparatów, a z gardeł wyrwał się wielki krzyk, gdy w siedemdziesiątej czwartej sekundzie ręka Jacka przygwoździła do stołu dłoń nieznanego wielkoluda. Sędzia ponownie odstukał koniec gry i nowy mistrz województwa zachodniopomorskiego w armwrestlingu dumnie wstał i skłonił się szalejącej publiczności. Po dekoracji siłacz zamienił się w chłopca i w wesołych podskokach porwał Annę w ramiona.

- Wiedziałem, że przyniesiesz mi szczęście!

Dziwnie wzruszona Anka ucałowała serdecznie mistrza i z uczuciem poklepała po wygolonej czaszce. Zaczęło jej się kręcić w głowie od energicznych obrotów, jakie wykonywał z nią w ramionach, gdy po jej oczach błysnęła lampa, a jakaś kobieta pod sam nos podstawiła Jackowi mikrofon.

- Panie Jacku, jakie to uczucie zostać najsilniejszym mężczyzną w województwie?

Jacek postawił w końcu roześmianą Annę na podłodze i zamrugał oślepiionymi oczami.

- Eee...

- Odebrał pan palmę pierwszeństwa zwycięzcy kilku sezonów. Z pewnością jest pan szczęśliwy?

- Tak - przyznał mistrz po długim namyśle. - Jestem szczęśliwy.

Po chwili znów się zestresował, nie wiedząc, czego chce od niego ta obca kobieta. Ankę zdenerwował pełen politowania wzrok pani redaktor.

- Pani Irenko - odezwała się policjantka, patrząc na identyfikator wiszący na jej piersi - nowy mistrz jest małomówny, ale naprawdę nie radziłabym pani go denerwować. Na własne oczy widziałam, co zostało z kobiety, która wepchnęła się przed nim w kolejkę do warzywniaka.

- A pani to kto? - zapytała nieprzyjaźnie dziennikarka.



- Wielbicielka - odpowiedziała równie nieprzyjaźnie Anka.
- To moja dziewczyna.

Jacek doszedł do wniosku, że Annie grozi jakieś niebezpieczeństwo ze strony napastliwej kobiety, bo objął ją ramieniem i zademonstrował w pełni swe bicepsy. Pani redaktor pozostała jeszcze chwilę, po czym, przekonana chyba słowami Anny, uśmiechnęła się lekko i poszła gnębić wicemistrza.

Po niezbyt przyjemnym epizodzie z wywiadem poszli we czwórkę na mineralkę do klubowej kawiarni. Po godzinie rozmów o technice poszczególnych zawodników i metodach treningu Anka wymówiła się zmęczeniem i zostawiwszy Tomasza pod jak najlepszą ochroną dwóch mistrzów, wróciła do domu.

**W** poniedziałek rano wyprosiła tydzień urlopu, a całe popołudnie jak szalona biegała po sklepach. *Faceci...* - pomyślała z niesmakiem, stojąc w przymierzalni i zakładając kolejną bluzkę. Po kilkunastu telefonicznych konsultacjach z coraz bardziej rozbawionym Ajronem nadal nie wiedziała, co ma ze sobą zabrać.

- Aniu, co weźmiesz, będzie dobrze - tłumaczył jej idiotycznie. - Nie jedziemy do Saint Tropez, tylko do Kołobrzegu. Nie będzie wielkiej gali, tylko zwykły cateringowy poczęstunek po wykładach. Weź coś ciepłego, bo nad morzem z pewnością ostro wieje, i jakąś seksowną koszulkę, którą będę mógł z ciebie zerwać.

*Seksowną koszulkę* - mamrotała w myślach, grzebiąc wśród bielizny w swoim ulubionym sklepie i zżymając się na męski szowinizm. *Ciekawe, czy ty weźmiesz jakieś seksowne bokserki...*

-**K**obietto!?

W tym jednym słowie Ajron zawarł tysiąc pytań. Podeszedł do czekającej pod drzwiami klatki schodowej Anny i z głośnym sapnięciem podniósł wyładowaną do granic możliwości walizkę.

- Co: kobieto? Trzeba mi było dać listę, tobym się dostosowała.

Anna podniosła podbródek na powitanie.

- Akurat... - zamruczał pod nosem mężczyzna, robiąc w bagażniku jeepa miejsce na kilkunastokilowy nadbagaż.

Usiadł za kierownicą i spojrzał na zapinającą pas Annę.

- Gotowa? Jedziemy?

- Jak: jedziemy...? Na górze jest jeszcze jedna torba.

Z poważną miną przetrzymała go kilka minut. Z westchnięciem o sile morskiego huraganu Ajron wyszedł z samochodu i skierował się w stronę bloku.

- Żartuję, żartuję... Jedziemy - zawołała w momencie, gdy otwierał drzwi klatki, i wybuchnęła głośnym śmiechem na widok konsternacji i niedowierzania na jego twarzy.

## ROZDZIAŁ 21

Zacząła tęsknić w tym samym momencie, w którym zamknęły się drzwi za wychodzącym Ajronem. Anna z rozmarzonym uśmiechem na twarzy walnęła się na łóżko. Co prawda kurtkę powiesiła na wieszaku, a torbę położyła pod fotelem, ale na ściągnięcie butów zabrakło jej sił. Leżąc na kanapie, patrzyła w sufit i zerkając z uczuciem na pająka w rogu sufitu, zwierzyła mu się na głos:

- To były zdecydowanie najpiękniejsze dni mojego życia. - Z głośnym stukiem pod łóżko spadły zsunięte buty. - Życie zaczyna się po czterdziestce - powiedziała jeszcze pająkowi, który nie był chyba zbyt zainteresowany, bo na długich nogach umknął gwałtownie w najciemniejszy róg, wystraszony być może długim, zadowolonym westchnięciem.

W Kołobrzegu spędzili całe cztery dni. Każdego ranka pakowali torby, po czym schodzili do recepcji małego, przytulnego hoteliku i Ajron przedłużał pobyt o kolejną dobę.

Recepcjonistka, sympatyczna rudowłosa kobieta, uśmiechała się za każdym razem, widząc niezdecydowaną parę. Z torbami na ramionach schodzili na śniadanie, po czym kierowali kroki do recepcji z zamiarem uregulowania rachunku. Piękna, wysoka blondynka wzdychała ze smutkiem i spoglądała z wyczekującym

uśmiechem na towarzyszącego jej przystojnego bruneta. Ten, w odpowiedzi na jej wzrok, wyciągał telefon komórkowy i dzwoniąc gdzieś, tłumaczył się, że obowiązki zatrzymają go jeszcze na jeden dzień, a z każdym jego słowem blondyna zaczynała coraz bardziej chichotać. Po wykonaniu porannego rytuału zakochana para wracała szybkim krokiem do swojego apartamentu. Rudowłosa recepcjonistka wzdychała zazdrośnie, odprowadzając wzrokiem gości, którzy najwidoczniej nie mogli się rozstać ani z Kołobrzegiem, ani ze sobą.

W sobotę brunet nie wyciągnął komórki, mimo wybitnie wstrząsającego westchnięcia blondynki, i spojrzał z uśmiechem na towarzyszkę.

- O nie! Nawet nie próbuj. Przedłużyłem urlop zdecydowanie ponad plan, ale w poniedziałek już koniecznie muszę być w lecznicy. A ty na komendzie.

Kobieta z niechęcią skinęła głową.

- No przecież wiem. Zresztą rozumiem... masz już swoje lata. - Po czym dodała zupełnie niezrozumiale: - Każdy glock, nawet ten solidnie oliwiony przez całe życie, może kiedyś nawalić...

Na te dziwne słowa wysoki, czarnowłosy mężczyzna rzucił bagaże i usiłował złapać blondynkę za rękę, ta jednak z nieprzystającym do jej wieku piskiem zaczęła uciekać dookoła skórzanych sof, ustawionych w lobby hotelu.

- Mój glock sprawuje się bez najmniejszego zarzutu! I mam na to niepodważalne dowody w postaci długich, szarpanych ran na swoich plecach - krzyczał, goniąc śmiejącą się blondynę.

Po chwili kobieta łaskawie dała się złapać i pozwoliła mężczyźnie na długi pocałunek. Trzymając się za rękę, para po raz ostatni podeszła do kontuaru i mężczyzna uregulował rachunek, zostawiając całkiem spory napiwek. Recepcjonistka odprowadziła ich wzrokiem. Z uśmiechem na twarzy patrzyła, jak wsiadają do jeepa i odjeżdżają.

Sobotnie popołudnie Anna spędziła w łazience, wstawiając pralkę i spłukując w wannie piasek ze swojego ciała, przed telewizorem, nadrabiając braki w aktualnych informacjach z kraju, i w łóżku, które w końcu posłużyło jej do spania. Mając w perspektywie jeszcze jeden wolny dzień, postanowiła nazajutrz odwiedzić Mariolę.

Po leniwym poranku zapakowała się w swoją corskę i ruszyła do Jagodzie. Kiedy podjechała pod dom kuzynki, zdziwiła się trochę, ujrawszy zaparkowanego pod furtką „Rapsodii” vana Piotrka.

Jej brat pracował ciężko przez cały tydzień i niedziele rezerwował raczej dla żony i córek, by delektować się domową atmosferą. Anna wyciągnęła z samochodu prezenty i trzymając pod pachą wielki model statku, weszła do ciepłego pomieszczenia.

Jej nosa dobiegł zapach smażonych ziemniaków, a oczom ukazał się zaskakujący widok. Mariola stała przy kuchni i mieszała stos skwierczących smakowicie kartoflanych plasterków, a Piotr z Hanią siedzieli na taboretach i z głodem w oczach patrzyli na kucharkę.

- Ciociu... Długo jeszcze?

Mariola przykryła patelnię i odwróciła się do dziewczynki.

- Z pięć minut, kochanie.

Z obu piersi, ojca i córki, rozległo się rozdzierające westchnięcie.

- Nie wiem, czy wytrzymam. Mogę umrzeć.

Zarówno słowa, jak i mina Hanki mocno zaniepokoiły stojącą w progu Annę. Pierwszy zauważył ją Natan i podbiegł, zaciekawiony trzymany przez ciotkę przedmiotem.

- Cześć, ciociu. Co tam chowasz?

Na dźwięk jego głosu odwrócili się pozostali. Mariola uśmiechnęła się do niej dziwnie, Hanka po sekundzie znów wbiła wzrok w patelnię, a Piotrek miał w oczach lekki wstyd.

- Cześć, mój piracie.

Anna przykucnęła przed podnieconym chłopcem.

- Mam dla ciebie wspaniały statek. Największy, jaki był w całym Kołobrzegu.

Chłopiec z zachwytem wziął z jej rąk prezent. Hania zdecydowała się oderwać na chwilę wzrok od jedzenia i spojrzała na Annę z pytaniem w oczach.

- Dla ciebie też mam oczywiście - zaśmiała się Anka, nieomylnie odgadując treść pytania. - Ale nie spodziewałam się, że tu będziesz, więc niespodzianka czeka w domu.

Odrobinę rozczarowane dziecko kiwnęło głową, po czym ponownie zapatrzyło się w dochodzące już na szczęście danie. Anna przywitała się z Jurkiem, który wszedł do domu, otrzepując z błota gumowce, i cmoknęła zaczerwieniony policzek brata.

- Co jest grane? - zapytała szeptem, wymieniając całusa z Mariolą.

- Później ci powiem - odszepnęła kuzynka, nakładając na dwa talerze kopiaste fury smażonych ziemniaków.

Piotrek i Hania z wniebowziętymi minami zasiedli do stołu i z rozkoszą mlaskali, jedząc i popijając danie zsiadłym mlekiem.

- Mari... A mogłabyś mi ze dwa jajka posadzić? - zapytał błagalnie Piotrek.

- Jasne. Może trzy?

- Skoro nalegasz...

Braciszek wrócił do konsumpcji, a powstrzymująca śmiech Mariola wbiła na patelnię pięć jaj. Zaległa cisza, przerywana tylko skwierczeniem tłuszczu i głośnym przełykaniem dobiegającym od stołu.

- Gdzie Miśka? - zapytała Anka brata, który po dobrych kilku minutach odsunął pusty talerz i z błogością gładził się po napełnionym żołądku.

- Z matką biedulka została - odpowiedział współczująco.

Coraz bardziej zdziwiona Anna nic nie rozumiała. Ani nagłego

głodu brata i bratanicy, ani pełnego żalu spojrzenia Hani.

- No... biedulka... - potwierdziła Hanka.

Anna już miała siłą wyciągnąć z kuchni kuzynkę, aby ta wytłumaczyła jej natychmiast zaistniałą sytuację, gdy Piotrek postanowił dać upust swoim frustracjom.

- Ja się chyba rozwiodę...

- Jezus Maria! Co się stało?

Anna z przerażeniem usiadła obok załamane go brata i złapała go za rękę. Piotr milczał długą chwilę.

- Olka postanowiła wszystkich nas wykończyć. - Hania kiwnęła głową, w pełni zgadzając się z ojcem. - Schabowy z ananasem w panierce z orzeszków piniowych był całkiem dobry. Polędwiczki cielece z żurawiną i dziwnym miętowym sosem też były jeszcze do przełknięcia, ale jak podała te przegrzebki, to myślałem, że pawia puszcę... - zaczął swą smutną opowieść Piotrek.

- A ja myślałam, że pawia puszcę po tej wątróbce w czekoladzie... - Hania lekko pozieleniała na twarzy.

- Już dwa tygodnie nie miałem w ustach normalnego jedzenia - żalił się dalej ponurym głosem. - Jadłem jednak z uśmiechem na ustach i chwaliłem głośno, bo Ola tak bardzo się starała. Ale dzisiaj miały być na obiad ślimaki, z tym to już bym nie dał rady...

Anka z całych sił zacisnęła usta. Mariolka nie dała rady i schowawszy się za zlewem, rżała z twarzą w ręczniku.

- Ja też próbowałam jeść. - Dzielna dziewczynka miała łzy w oczach. - Ale jak mama nie widziała, to wypluwałam do doniczki albo w ręcznik papierowy, żeby później zanieść psu, ale on też tego nie chciał...

- Moje biedactwa...

Anka trzymała jeszcze fason, ale czuła, że kolejne zdanie może być ostatnim i skończy jak kuzynka.

- A jutro ma być komar... - Hania spojrzała na ciotkę z rozpaczą.

- Homar - poprawił córkę równie załamany ojciec.

- To ja mam pomysł - odpowiedziała zduszonym głosem policjantka. - Ja zjem za was homara, a w zamian oddam tę mrożoną pizzę, która leży w moim zamrażalniku od stycznia. Może być?

- Dzięki, ciociu!

Z wielką ulgą Hanka rzuciła jej się na szyję. Anka przytuliła na chwilę bratanicę, po czym poszła do kuchni i złapała pierwszy lepszy ręcznik.

Po obiedzie poszły z Mariolą na krótki spacer. Małe zielononóżki biegały pod nogami pasących się w sadzie kóz, gdacząc wesoło. Czereśnia i śliwa obsypane już były kwiatami, a na jabłoniach i wiśniach pękały powoli olbrzymie pąki. Słońce co chwila kryło się za późnomarcowymi chmurami, ale ubranym w wiosenne kurtki, śmiejącym się kobietom było aż za gorąco.

- Boże, myślałam, że uduszę się z wewnętrznego śmiechu, gdy dukając i czerwieniąc się co chwila, Piotrek powiedział mi o swoim problemie. Ale Hania stała obok niego i patrzyła tak błagalnie, że nie miałam sumienia buchnąć na cały głos.

Teraz za to Mariola sobie nie żałowała i jej śmiech płoszył zwierzęta w promieniu co najmniej kilku kilometrów. Anka wtórowała jej równie głośno.

- A jak Hanka z rozrzewnieniem w oczach opowiadała, że śniły jej się kopytka ze śmietaną i cukrem...?

Ponowny rechot zabrzmiał nad łąką.

- Biedna Olka...

Mariola otarła załzawione oczy.

- To co? Jedziemy jutro na komara?

Anna pokiwała z aprobatą głową.

- Jedziemy. Do roboty mam na piętnastą. Ciekawe, czy będzie



lepszy niż ten, co jedliśmy przedwczoraj...

Zamilkła i uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Na widok rozmarzenia na jej twarzy Mariola poczuła ciepło w sercu.

- No właśnie. Opowiadaj.

W odpowiedzi Anka jeszcze wyżej uniosła kąciki ust.

- Bosko było - stwierdziła, po czym znów zamilkła.

Mariola dała jej chwilę na romantyczne wspomnienia, po czym szarpnęła kuzynkę za ramię.

- No, gadaj! Zimno było nad morzem?

Anna spojrzała na nią jak na dziwoląga.

- Co ty, zdurniałaś? Gorąco jak nigdy dotąd - powiedziała, po czym roześmiała się radośnie, jakby powiedziała coś wybitnie zabawnego.

Mariola uśmiechnęła się pod nosem w odpowiedzi na, zdawać by się mogło, nielogiczne zachowanie przyjaciółki.

- Na plaży byłam raz. No, właściwie dwa... Pojechaliśmy z samego rana, bo Ajron miał te swoje wykłady o jedenastej. Rozpakowaliśmy tobołki w hotelowym pokoju, on poszedł na aulę, a ja nad morze. Wtedy rzeczywiście było zimno. - Anka ponownie zaśmiała się sama do siebie. - Nie mogłam się za bardzo skupić nad odgłosami morza, bo co chwilę pikała moja komórka.

- No gadaj! Co ci pikała?

Cierpliwość Marioli była wystawiona na ciężką próbę, bo Anna opowiadała urywanymi zdaniami, zamyślając się co chwilę i uśmiechając nie wiadomo do czego.

- Esemesy od Ajrona mi pikała.

Mariolka zaczynała się wkurzać. Anka spojrzała na nią i chyba postanowiła wziąć się w garść, bo odpowiedziała w końcu całym zdaniem:

- Pisał mi... no wiesz... głupoty takie różne.

Zdanie było proste jak konstrukcja cepa. Ale ze skrępowanych

uśmieszków i przyśpieszonego oddechu przyjaciółki Mari domyśliła się, że eśemesów tych raczej nie powinno się czytać przed ukończeniem osiemnastu lat. Westchnęła ciężko.

- Anka! Przecież ja ci nie każę opowiadać, kiedy, w jakiej pozycji i ile razy. Pomiń bzykanko i opowiadaj resztę!

Anka popatrzyła na Mariolę ze szczerym zdziwieniem w oczach.

- Jaką resztę?

Ten dzień stawiał przed Mariolą bardzo ciężkie zadania. Na szczęście miała już wprawę w tłumieniu śmiechu, więc wykonawszy tę trudną sztukę ponownie, dała kuzynce spokój i w drodze do domu cieszyła się w duchu ze zmian w jej życiu.

Przed wizytą u bratowej Anna zaszła do pizzerii i kupiła dwie duże pizze na wynos. Do homara wzięła białe, francuskie wino i z nadzieją na dobry posiłek zapukała do drzwi Aleksandry. W związku z tym, że nie doczekała się zaproszenia, przekładając tobołki do jednej ręki, otworzyła sobie drzwi i weszła do środka. Powitała ją cisza. Co dziwniejsze, jej nos nie wyczuł spodziewanych woni. Położyła pizze na stole, wstawiła wino do lodówki i kierując się przytłumionymi odgłosami, poszła w kierunku łazienki na piętrze. Załamana Aleksandra siedziała na kłocie, obok stał zaperzony Piotrek, a nad wanną pochylały się dziewczynki.

- Cześć - odezwała się niepewnie Anna.

Nie licząc świergotania Michalinki, cisza trwała.

- Co tam macie?

Pochyliła się nad wanną. Z wody spojrzwały na nią wyłupiaste oczy, a olbrzymie szcypce zagrzechotały ostrzegawczo.

- To komal! - wytłumaczyła jej Miśka.

- A czemu on jest w wannie zamiast w garnku? - zaciekawiała się Anka i spojrzała na bratową.

- Spytaj swojego brata - burknęła Ola.

Piotrek wzruszył ramionami.

- Jest w wannie, bo twój brat odmówił wykonania wyroku - zamiast Piotrka dopowiedziała Aleksandra, patrząc z pretensją na męża.

- A co to ja jestem? Kat jakiś? - zdenerwował się wrażliwy mężczyzna. - Chcesz go ugotować, to go zabij. Mnie proszę do tego nie mieszać.

Piotr spiorunował żonę wzrokiem i wyszedł z łazienki. Ola spojrzała z rozpaczą na szwagierkę.

- Patrz, cholera, jaki mi numer ci ze sklepu wywinęli. Zamówiłam w piątek świeżego homara, a oni mi dziś rano żywego przysłali.

- No przecież jest świeży. Świeższy być nie może. - Anna zachichotała w myślach.

- Ale ja nie chciałam żywego. Przecież Piotrek nawet karpia na Wigilię nie zabije, a co dopiero homara. Sama mam go w łeb trzasnąć albo żywcem do wrzątku rzucić?

Anna zachichotała już nie tylko w myślach.

- Przecież mnie dzieci znieawidzą - usprawiedliwiała własną nieudolność Aleksandra. - Już się do niego przyzwyczały. Nawet ma imię...

- No...

Hania oderwała się od wanny.

- Ma na imię Komar.

Zadzwoił dzwonek do drzwi i Anna pomogła bratowej zejść z tronu.

- Chodź, to pewnie Mari.

- I co ja teraz na obiad gościom podam... - martwiła się Aleksandra, której taki wstyd nie przydarzył się jeszcze nigdy w życiu.

Anka, której z kolei przydarzał się wciąż, objęła ramiona

załamanej Olki.

- Nie martw się, kupiłam pizzę. Francuskie wino i włoska pizza to najlepsze połączenie świata. I wszyscy będą w końcu zadowoleni...

Pizza okazała się bardzo popularna tego dnia, gdyż Mariolka również przywiozła dwie, z myślą o cierpiących katusze z powodu zbyt wykwintnego jedzenia domownikach. Trochę urażona Aleksandra z niesmakiem patrzyła na męża i córki, którzy z pazernością i bez żadnej kultury rzucili się łakomie na przyniesione paskudztwo. Trochę jej przeszło po kieliszku wyśmienitego wina, z którym zasiedli po obiedzie. Dziewczynki pobiegły do nowego pieczoszka zajmującego wannę, a dorośli zajęli się inteligentną rozmową.

- Widziałś reportaż z zawodów armwrestlingowych w telewizji regionalnej? - zapytał Piotrek, patrząc na Annę ze złośliwym błyskiem w oku.

- Nie. Nie wiedziałam nawet, że taki leciał - odpowiedziała, patrząc podejrzliwie na brata. - A czemu pytasz?

- Czekaj, przyniosę ci gazetę. Dzisiaj wyszła.

Odchodząc śmiał się głośno i ten śmiech wcale się Annie nie podobał.

- Co mu się stało? - zwróciła się z pytaniem do jego żony.

- A węź... - Olka też była zdegustowana. - W środę wieczorem zaczął się drzeć jak opętany, że jesteś w telewizji, to rzuciłam wszystko i przyleciałam. Akurat ubijałam śmietaną na panna cottę i wszystko mi się zwarzyło. No więc przyleciałam, patrzę... faktycznie. Najpierw pokazali, jak Jacek pokonał tego wielkiego chłopca, później jego dekorację, a na końcu to, jak mu wisisz na szyi. Nie słyszałam dokładnie, bo Piotrek ciągle komentował, ale coś tam gadali, że to ukochana nowego mistrza.

Anka wzruszyła ramionami.

- A co w tym dziwnego, że się cieszył? Byłam pod ręką, to mną

zakręcił kilka razy. Dobrze chociaż wyglądałam? – zapytała z wrodzoną skromnością.

- No właśnie sęk w tym, że wyglądałaś jak jego ukochana.

Aleksandra zadumała się, a Anna zachichotała.

- Zawsze wiedziałam, że marnuję się w tej policji... Powinnam iść do szkoły aktorskiej.

Myślała już zupełnie o czymś innym, gdy wrócił Piotrek, trzymający w ręku miejscowego szmatławca o nazwie „Plotki z naszego miasta”. Usiadł obok siostry i przerzucał strony w poszukiwaniu artykułu o zawodach. Znalazł w końcu i podał gazetę siostrze, która ryknęła śmiechem na widok zajmującej prawie całą stronę fotografii. Stała w objęciach Jacka i z półprzymkniętymi oczami całowała go prosto w usta. Jej ręka spoczywała na łysej głowie w pieśczośliwym geście, a tłumy patrzących na nich ludzi biły brawo.

- Normalnie miłość z pierwszych stron gazet.

Chichocząc, podała gazetę Marioli. Równie rozbawiona kuzynka szybko przeleciała wzrokiem całkiem spory tekst pod zdjęciem.

- Słuchajcie tego. – Zaśmiała się. – *Nowy mistrz województwa zachodniopomorskiego w armwrestlingu, Jacek Malczewski, jest bardzo zakochany w swojej dziewczynie, którą jest, jak udało się ustalić naszej redakcyjnej koleżance, policjantka z miejscowej komendy Anna S. Kobieta okazała się bardzo zaborcza i nie dopuszczała do swego ukochanego żadnych dziennikarzy. Jedną z naszych koleżanek, która według Anny S. ze zbyt małym szacunkiem odezwała się do mistrza, postraszyła ciężkim pobiciem i nękała groźbami, tu cytuję: – Dorwę cię w warzywniaku, jeśli go nie zostawisz w spokoju – koniec cytatu. Czy choszczeńskim policjantom wydaje się, że są ponad prawem? Pan Malczewski wyszedł z Anną S. zaraz po dekoracji i, jak dowiedział się nasz informator, wynajęli pokój w sportowym klubie „Błyskawica”, gdzie*

*z pewnością czule i gorąco świętowali zwycięstwo nad wieloletnim mistrzem Andrzejem Ubrany.*

- Boże jedyny... - Anka trzymała się za brzuch i wycierała łzy płynące z oczu. - Weźcie mi wytłumaczcie, skąd oni biorą takie informacje...

Olka wyrwała gazetę z rąk równie chichoczącej Mariolki.

- *Dorwę cię w warzywniaku, jeśli go nie zostawisz w spokoju...*

Anka, ty naprawdę powiedziałaś coś takiego?

Piotrek patrzył z politowaniem na tarzające się po podłodze kobiety.

- Zwariowałaś? - wykrztusiła Anka. - Faktycznie, było coś w tym stylu. Babsko patrzyło na Jacka z pogardą, to jej powiedziałam, że kiedyś w warzywniaku wepchała się przed niego jakaś kobieta i on zrobił z niej miazgę, czy jakoś tak. Nie pamiętam dokładnie. Wiecie, jaki jest Jacek. My możemy się trochę ponabijać z jego bystrości, ale ta baba tak wrednie na niego patrzyła, że włączył mi się odruch macierzyński.

**Z**akładając mundur, wciąż śmiała się z wyczytanych bzdur. *Boże... I miej tu, człowieku, zaufanie do mediów.* Chwilę później uśmiechała się z innego powodu. *Jutro po pracy kolacja we Wiatrakach. Ciekawe, czy w ogóle zasiądziemy do stołu...* Wsiadając do auta, słyszała szum morza i krzyk mew.

## ROZDZIAŁ 22

Już podczas ściągania kurtki wiedziała, że to nie będzie najlepszy dzień. Mijający ją na korytarzu koledzy patrzyli dziwnym wzrokiem. Podpisując listę obecności w kadrach, zwróciła uwagę na nagłą ciszę, jaka zapanowała po jej wejściu, i szmer podnieczonej dyskusji po wyjściu.

Usiadła za swoim biurkiem, zastanawiając się, czy nie wyrosły jej jakieś pryszczki na twarzy lub czy nie założyła munduru na lewą stronę. Wejście do gabinetu lekko spóźnionego Tomka i jego pierwsze słowa wyjaśniły jej wszystko.

- Anno S., obiecuję, że nigdy nie pójdę z tobą do warzywniaka i że zawsze będę patrzył z szacunkiem na twojego ukochanego mistrza. Nigdy ci jednak nie wybaczę, że rezerwując pokój na słodkie igraszki, nie pomyślałaś o swoim koledze, który także chętnie by poigrał w hotelowym łóżku ze swoją mistrzynią - powiedział policjant, po czym, wyjąc ze śmiechu, padł na swoje krzesło.

Anka się załamała.

- Boże... Wszyscy to czytali? Niemożliwe...

Radosne pochrząkiwanie Pajaca i energiczne kiwanie jego głowy powiedziało jej, iż jest to jednak możliwe, a nawet prawie pewne.

- I wszyscy uwierzyli w te bzdury?

Pajac pajacował dalej, wzbudzając w Annie gwałtowną chęć urwania mu głowy.

- Żartujesz...

Tym razem głowa policyjnego Pajaca poruszyła się w innej płaszczyźnie.

- No, z wyjątkiem mnie oczywiście. Przecież ja tam byłem, stałem obok i wszystko widziałem. Gdyby nie to, też bym uwierzył.

Dobił ją swymi słowami. Anna popatrzyła na niego z niedowierzaniem w oczach.

- No, sama popatrz na to zdjęcie.

Wyciągnął z torby szmatławą gazetę i otworzył na odpowiedniej stronie.

- Przecież wyglądacie tu, jakbyście świata poza sobą nie widzieli. Jacek cię czule obejmuje, a ty całujesz jego usteczka i gładzisz po główce.

Anka wzięła gazetę z jego rąk i spróbowała spojrzeć obiektywnie. *No, może faktycznie... wygląda, jakbyśmy byli zakochani.* Z obrzydzeniem zgmiotła marnej jakości papier i wyrzuciła do kosza. Tomek popatrzył na nią i coś na podobieństwo współczucia zakwitło na jego dobroduszej twarzy.

- Wszystkich gazet nie wywalisz...

- Jak trzeba będzie, to wywalę. Albo spalę tę cholerną redakcję!

- Anka już szykowała się do wojny.

- Daj spokój. - Tomasz okazał się mądrzejszy. - To będzie tylko woda na młyn. Pogadają dzień, dwa i przestaną. A jak będziesz robiła awantury, to pomyślą, że coś w tym jest, i będą ciągnąć temat dalej - powiedział całkiem niegłupio, mając na myśli i kolegów z pracy, i szanowną redakcję.

Anka zastanowiła się nad jego słowami.

- Masz rację - przyznała z ciężkim sercem, bo naprawdę miała ochotę komuś przywalić. - Muszę to olać. I jakoś się przemęczyć



kilka dni.

Nie było to jednak łatwe. Najpierw dostała wezwanie do Marka. Wychodząc z gabinetu, z wściekłością zerwała przyklejone do drzwi zdjęcie i patrzyła z satysfakcją, jak zmiętolona gazeta ląduje w śmieciach. Po drodze z trudem zignorowała kilka chichotów i wysyłanych przez kolegów całusów. Jeden z nich z uśmiechem wręczył jej marchewkę i uciekł z krzykiem, gdy Anka wycelowała ją prosto między jego oczy.

Gdy dotarła w końcu pod drzwi gabinetu Marka, osa mogłaby się przy niej wydawać małą, niegroźną muszką owocówką.

- Słucham - warknęła, zamykając za sobą drzwi.

Marek spojrział na podwładną z uwagą.

- Chyba wiesz, w jakim celu cię wezwałem.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

Warczenie przybrało na sile. Komendant westchnął ciężko.

- Naprawdę postraszyłaś tę redaktorę pobiciem?

- Ty też czytałeś te bzdury? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Marek westchnął ponownie.

- Zanim doszedłem do pracy, miałem w torbie z sześć egzemplarzy wręczonych przez oburzonych mieszkańców, a po wejściu do gabinetu na biurku znalazłem jeszcze cztery.

Anka stała i próbowała wywiercić obcasem dziurę w panelach podłogowych.

- No więc musiałem przeczytać te pierdoły. I muszę cię oficjalnie zapytać. Prawda czy nie?

- Oczywiście, że nie. Jak możesz w ogóle pytać mnie o takie sprawy? Czy takie zachowanie jest do mnie podobne?

Westchnięcie Marka wzburzyło pół tony kurzu z teczek pełnych akt leżących na biurku.

- No właśnie sęk w tym, że to jest bardzo do ciebie podobne.

- No wiesz co! - Ankę aż zatkało z oburzenia.

- A pamiętasz, jak połamiałaś pompkę rowerową tego typka, co po pijaku wjechał w staruszkę?

- Ale przecież nie na nim, tylko na jego rowerze!

Nie mogła zrozumieć, czemu Marek wspomniał w ogóle o tym drobnym incydencie.

- Albo jak rozbiłaś łuk brwiowy Marciniaka na ćwiczeniach z samoobrony?

- To był wypadek!

- Taa... I wypadek ten nie miał nic wspólnego z tym, że kilka dni wcześniej posmarował ci klejem krzesło?

- Udowodnij!

Marek tylko pokiwał z politowaniem głową.

- No dobrze, Marciniak mnie wnerwił, bo akurat miałam tego dnia nową kieckę. Ale nigdy w życiu nie zrobiłam nic niezgodnego z prawem!

Anka stała z zaciśniętymi pięściami, gotowa przywalić nawet szefowi.

- A sfalszowanie dokumentów, kiedy szukałaś domu zastępczego dla tego dziecka bitego przez ojca?

- To jest cios poniżej pasa - oburzyła się. - Miałam pozwolić, żeby Emilka zgnęła w izbie policyjnej? Zresztą wiedziałaś o tym.

- Ale nieoficjalnie.

Nie wiadomo było dokładnie, kto atakuje, a kto się broni.

- Dobra, nieważne. - Marek poddał się pierwszy. - Chcę ci tylko udowodnić, że masz swoje za pazurkami. Więc groziłaś, że ją pobijesz, czy nie?

- Nie! Zresztą mam świadka. Pajacykow był ze mną i wszystko może potwierdzić.

Komendant patrzył na nią dłuższą chwilę, po czym łaskawie kiwnął głową.

- Wierzę ci. I nie wściekaj się na mnie. Musiałem przeprowadzić tę rozmowę.

Anka skinęła głową i wyszła z gabinetu, wciąż, mimo prośby szefa, wściekła jak osa. Tomek wspierał ją jak mógł, lecz nie na wiele to się zdało i kiedy skończyła służbę, trzasnęła drzwiami z taką siłą, że wyleciała klamka. Pan Tadziu - policyjna złota rączka nie mógł się nadziwić, jakim cudem razem z klamką odpadło tyle tynku.

Kolejny dzień w pracy był bliźniaczo podobny do poprzedniego. Po powrocie do domu i wypiciu mocnego naparu z melisy trochę Annie przeszło. *Nie pozwolę, żeby ta suka zepsuła mi drugą połowę dnia* - postanowiła sobie solennie, szukając w szafie odpowiedniej oprawy dla romantycznego wieczoru. *Ani razu o tym nie pomyślę...*

Wyciągnęła krótką, cieniowaną srebrnymi kolorami sukienkę, a na stopy założyła jasnoróżowe szpilki. Pożałowała, że z braku czasu nie może podskoczyć do Beaty i pomalować sobie, wzorem wkurzonej Aleksandry, wszystkich paznokci na najczarniejszą czerń. Biorąc kluczyki od samochodu, przyjrzała się sobie w lustrze. *Ajron powinien zaniemówić z zachwytu.* - Puściła oko do dziewczyny w lustrze i zbiegła po schodach.

Kiedy dojeżdżała do Wiatraków, miała już całkiem niezły humor. Z każdym kilometrem uśmiech na jej twarzy był coraz szerszy, a w myślach tworzyła podniecające obrazy. Wychodząc z samochodu, zapomniała zupełnie o paskudnym przedpołudniu, rozmowie z szefem i antypatycznej pani Irencie. Szczerze mówiąc, zapomniała o wszystkim, z wyjątkiem Ajrona. Myślała o jego dłoniach, czarnych oczach, dołkach w policzkach i uśmiechu zmieniającym się w zależności od nastroju. Kilka razy, z narastającą falą ciepła w brzuchu, wspomniała też inne części jego ciała.

Gdy otworzył drzwi, jego oczy były zmęczone, dołeczki zapadnięte, a cień zarostu na nieogolonym podbródku świadczył o nieprzespanej nocy.

- Boże, chłopie... - powiedziała Anna na przywitanie, całując jego zarośnięty policzek. - Przesadzasz z tą pracą. Wyglądasz jak swój własny cień.

Mężczyzna wpuścił ją, zamknął drzwi i poszedł do kuchni. Anka wciągnęła nosem interesujące zapachy i rozejrzała się po pomieszczeniu.

Wystrój salonu wyraźnie świadczył, że mieszka tu samotny mężczyzna. Nigdzie nie walały się żadne fatałaszkę, na meblach nie było typowych kobiecych bibelotów, żadnych wazoników, pamiątek ani zdjęć z wakacji. Wyjątkiem była jedna duża fotografia przedstawiająca piękną, czarnowłosą dziewczynę, podobną do gospodarza jak dwie krople wody. Na ścianach wisiały dwie duże akwarele, przedstawiające galopujące konie. Anna podeszła do przeszklonej witryny, gdzie wyeksponowane były liczne trofea i medale za osiągnięcia w jeździectwie. Ze stolika podniosła kilka czasopism: „Świat koni”, „Konie i Rumaki”, „Życie Weterynaryjne”, kilka dzienników informacyjnych... *Żadnych szmatławców* - pomyślała z ulgą.

Nawijając na widelec pyszne spaghetti, patrzyła na mężczyznę spod rzes. Nie poznawała wesołego, inteligentnego Ajrona, z którym tak wspaniale czuła się nad morzem. Był dziwnie milczący, odpowiadał półsłówkami i sprawiał wrażenie, jakby myślami był o lata świetlne stąd. Anka próbowała rozbawić go opowieścią o przebojach w domu brata.

- Mówię ci... Jak zobaczyłam pochylone dziewczynki, to w pierwszym momencie pomyślałam, że Olka struła je swoimi przysmakami i biedulki pozbywają się rarytasów wprost do wanny...

Mimo kiepskiego nastroju Ajron pośmiał się trochę razem z nią. Po kolacji usiedli na kanapie z filiżankami herbaty w dłoniach.

Orientalny aromat napoju unosił się w całym pomieszczeniu.

Annę zaczęło męczyć dziwne zachowanie Arka i napięcie wiszące w powietrzu. Owszem, powietrze wokół nich zazwyczaj było pełne iskier, ale tym razem nie miało to nic wspólnego z tańcem motyli albo wystrzałami z glocka. Anka wzięła jego rękę w swoją dłoń i spojrzała w zmęczone, czarne oczy.

- Ajron? Co się dzieje?

Mężczyzna odwzajemnił spojrzenie. Po kilku minutach jego wzrok zaczął się zmieniać, a zmiany te wcale nie spodobały się Ance. Zamiast smutku, w jego oczach pojawiły się iskierki gniewu, a usta wykrzywiły się w pełnym zawodu uśmiechu.

- Myślałem, że dobrze ci ze mną - powiedział z głębokim żalem w głosie.

Anka nic nie rozumiała.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

- Czyżby?

Ajron wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Wychodząc wczoraj z pracy, natknąłem się przypadkowo na Mirellę.

*Taa... Takie samo prawdopodobieństwo przypadku, jak to, że Jacek zacznie w myślach obliczać ułamki* - skomentowała w głowie jego słowa.

- Ucieszyła się na mój widok, wspomniała coś o kolejnej lekcji jazdy konnej... Ale później zaczęła mi opowiadać bardzo nefajne rzeczy.

Anna zaczęła się domyślać powodu wspaniałego humoru Arka i słuchała w skupieniu dalej.

- Powiedziała, że ty i Jacek dalej jesteście razem, że bardzo się z tego cieszy, bo tak wspaniale do siebie pasujecie...

- Przecież to kompletna bzdura! - Czuła, że zaczyna ją ogarniać szal. - Uwierzyłeś tej wydrze?

- Początkowo tylko mnie rozbawiła. Poznałem przecież Jacka i nie wydaje mi się, żebyś znalazła z nim zbyt wiele wspólnych tematów.

Zamilkł na chwilę, a jego kroki przyspieszyły tempa.

- Mówiła, że w niedzielę rano, po zawodach, wrócił z „Błyskawicy” bardzo szczęśliwy po nocy spędzonej z tobą w hotelu.

Anka przełknęła ślinę, gdy blady ze złości Ajron usiadł ciężko obok i złapał ją za ramiona.

- Dalej nie wierzyłem.

Mówił cichym głosem, ale Annie wydawało się, że krzyczy. Wstał gwałtownie i wyciągnął ze swojej lekarskiej torby choszczeńskiego szmatławca.

- Wciąż nie wierzyłem, gdy Mirella podawała mi tę cholerną gazetę! Myślałem, że ta noc spędzona w ambonie znaczyła dla ciebie tyle samo, co i dla mnie. Sądziłem idiotycznie, że nasz przedłużony pobyt w Kołobrzegu uświadomił ci, co do ciebie czuję, i ośmielałem się marzyć, że ty czujesz to samo.

Otworzył gazetę i podsunął pod sam jej nos zdjęcie, na którym Anka całuje Jacka.

- Ale dowody mówią same za siebie. O nim myślałaś, jak pierwszy raz kochaliśmy się w ambonie? Dwa razy sprawdziłem datę. To cholerne zdjęcie zostało zrobione dzień po naszej, jak naiwnie sądziłem, magicznej nocy.

Głos Ajrona był przepelniony bólem i złością.

- A Kołobrzeg? To też była jedna wielka ściema? Gdy krzyczałaś w ekstazie moje imię, myślałaś o nim? Gdy mnie obejmowałaś, wyobrażałaś sobie przerośnięte ramiona tego półgłówka? Gdy całowałem rano na powitanie twe zaspane oczy, pod powiekami miałaś jego obraz?

Już jej się nie wydawało, że krzyczy. Ajron podniósł głos i patrząc na nią z pogardą, wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. Mimo furii

narastającej w sercu spróbowała mu jeszcze wszystko wytłumaczyć:

- Jak możesz mówić takie bzdury! Jak możesz wierzyć wrednej siostruni i szmatławej, plotkarskiej gazetce. Powtarzam ci jeszcze raz, że nic z tego nie jest prawdą. Zdjęcie zostało wykonane po zwycięstwie Jacka i on się po prostu cieszył, a ja gratulowałam mu sukcesu. Wszystkie rewelacje, i redaktorki, i Mirelli, są wysane z palca!

- A jakim cudem ty się tam w ogóle znalazłaś?

Furia w sercu Anny była lustrzanym odbiciem furii w głosie mężczyzny. Kobieta wzruszyła ramionami.

- Normalnie... Poprosił mnie, żebym pomogła mu wygrać pojedynek. Uważa, że przynoszę mu szczęście.

- A później mistrz poprosił cię o numerkę w hotelowym pokoju, żebyś pomogła mu w rozładowaniu stresu?

Anka wstała gwałtownie, a jej wściekłość sięgnęła zenitu.

- W rozładowywaniu stresu w przygodnych miejscach i z przygodnymi panienkami to ty jesteś raczej mistrzem.

- Co masz na myśli?

Całe szczęście, że do małej torebki nie zmieściła się broń.

- Raczej nie aerobik!

- Nigdy nie traktowałem źle swoich kobiet, ani ich nie oszukiwałem.

Choć szkoda, że Anna nie włożyła do torebki przynajmniej gazu.

- Nie obchodzi mnie, jak traktowałeś swoje kobiety. Ale przekonałam się, jak traktujesz mnie. Jeżeli słowa czarnej wydry i anonimowej redaktorki są dla ciebie bardziej wiarygodne niż moje, to nie mamy o czym rozmawiać.

Złapała płaszcz i z dumnie podniesioną głową ruszyła w kierunku drzwi. Nic nie widziała na oczy, w których nagle pojawiły się łzy, lecz szła energicznie, modląc się, aby Ajron nie zobaczył jej twarzy.

- Wracaj! Jeszcze nie skończyliśmy. Znowu uciekasz? Nie stać

cię, aby powiedzieć mi prawdę prosto w oczy? – dobiegł ją jego głos, wykrzykujący idiotyczne pytania.

- Skończyliśmy – odpowiedziała, wsiadając do corsy i odpalając silnik.

Nie wiedziała, jakim cudem dojechała do domu. Nie miała pojęcia, jak weszła po schodach i nie zapaliwszy nawet światła, rzuciła się na łóżko. Nie mogła zrozumieć, jak cudowne dni tak szybko zamieniły się w koszmar. Nie obwiniała Jacka ani redaktorki. Nie obwiniała nawet Mirelli. *Jeśli tak szybko zdecydował, że go zdradziłam, oszukałam i podle grałam uczuciami, to znaczy, że ani przez chwilę mnie nie kochał. Skoro zdecydował się przyjąć bez najmniejszego nawet wahania wersję wydry, to znaczy, że mu nie zależy. Pewnie cieszy się, że ma doskonały pretekst do rzucenia kolejnej, naiwnej, zakochanej w nim idiotki. Nie będę za nim płakać. Nie będę rozmyślać i analizować. Nie!*

Po chwili, wbrew swym obietnicom, zalała się łzami i z własnej woli weszła w przygnębiający świat pytań, rozważań i sprzecznych, gmatwających wszystko jeszcze bardziej odpowiedzi.



## ROZDZIAŁ 23

Siedem dni minęło jej niczym powracający bezustannie senny koszmar. Chodziła do pracy, rozmawiała, jadła i piła. Ale o czym mówiła i co spożywała, nie miała pojęcia.

Obserwujący ją z niepokojem Tomasz chodził dookoła niczym troskliwa kwoka wokół gromadki kurcząt. Mariola zadzwoniła w jakiejś sprawie, ale Anka nie zrozumiała ani jednego jej słowa.

Wieczorami kładła się po wieczornych wiadomościach, a wstawała o świcie z zapuchniętymi oczami i bólem głowy. Ósmego dnia jej stan jeszcze się pogorszył na widok leżącej na wycieracze róży i kartki z napisem „Przepraszam”.

Nie była pewna, od którego z jej eks, dopóki nie zadzwoniła komórka. Patrzyła na imię wyświetlające się na ekranie, aż łyzy zmieniły je w rozmazaną tęczę, po czym wyłączyła telefon, pewna, że nigdy w życiu nie chce już słyszeć głębokiego barytonu.

Po kilku bezsennych godzinach w środku nocy włączyła z powrotem telefon i śmiała się histerycznie, słuchając przychodzących przez pół minuty sygnałów o nieodebranych połączeniach i esemesach. Odrzuciła od siebie komórkę, jakby poparzyła jej rękę, lecz już po chwili szukała jej niecierpliwie wśród skotłowanej pościeli. Po długim namyśle otworzyła folder

z wiadomościami od Ajrona.

*Przepraszam. Byłem idiotą.*

*Odbierz, proszę. Wszystko ci wytłumaczę.*

*Rozumiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać. Sam bym nie chciał. Był u mnie Tomek i wszystko wyjaśnił. Wybacz mi.*

*Aniu, nie pozwólmy, żeby przez głupią zazdrość rozpadło się to, co nas połączyło. Odbierz, proszę,*

Skasowała wszystkie wiadomości, nie czytając już pozostałych. Zamknęła oczy a w jej głowie ponownie wybuchła gonitwa poplątanych myśli i przeciwstawnych emocji. *Palant jeden. Myśli, że zdechła różyczka i kilka esemesów spowodują, że wszystko mu wybaczę? Poniżenie, kłamliwe oskarżenia, ironiczne uśmieszki? A przede wszystkim to, że tak łatwo uwierzył w szkalujące bzdury? Że posądził mnie o fałsz i dwulicowość...? Spadaj na szczaw, cholerny doktoru!* Chwilę później zaciskała dłonie w pięści na wspomnienie nocy w ambonie i wielu jeszcze innych, podczas których Ajron, zgodnie z walentynkową obietnicą, zabierał ją w kosmiczną podróż, i z bliska widziała wybuchające supernowe w głębi wpatrzonych w nią czarnych oczu.

Po kolejnej nieprzespanej nocy postanowiła pojechać do „Rapsodii”, aby tam, wśród zwierząt, kwitnących jabłoni i szumiących liści, odnaleźć chociaż namiastkę spokoju.

Jechała spokojnie, z uchylonym oknem, oddychając głęboko rześkim, czystym powietrzem. Szesnastokilometrowa podróż przyniosła jej wytchnienie. *Dzięki Bogu, do pracy dopiero na nockę...*

Mijała pomału zieleniejące pola i łąki. Drzewa rosnące wzdłuż ulicy pyszniły się młodymi listkami, a ich wiosenna, świeża zieleń działała na zranione serce niczym naturalny balsam. *Jak on mógł uwierzyć w ten artykuł?* – maglowała wciąż od nowa całą sytuację. *Nie uwierzyła ani Mari, ani Olka...* – Przypomniała sobie minę

Piotrka. – *Za to ten kretyn, mój brat, uwierzył...*

Skręciła na brukowaną drogę prowadzącą do Jagodzie. Zwolniła jeszcze bardziej, zastanawiając się nad różnicą pomiędzy mózgami obu płci. *A niby jesteśmy tym samym gatunkiem ssaków...* – nie mogła zrozumieć, jak jej rodzone i do tego jeszcze bliźniaczy brat mógł wyciągnąć takie wnioski na podstawie przypadkowego zdjęcia i idiotycznego artykułu. Przez krótką chwilę skłonna była wybaczyć Ajronowi jego niespodziewany wybuch. W myślach jeszcze raz wróciła do róży i esemesów. *Może jednak powinnam z nim porozmawiać?* Kiedy mijała tablicę z nazwą wioski, jej serce ponownie stwardniało na wspomnienie rzuconych przez Arka słów i własnych przeżyć z ostatniego tygodnia.

Zaparkowała auto i wolnym krokiem ruszyła w kierunku zabudowań.

– Jezus Maria! Anka, jak ty wyglądasz! – przywitała ją kuzynka.

– Odchudzam się – mruknęła w odpowiedzi Anna i weszła za Mariolą do domu.

Korzystając ze słonecznego poranka, Jerzy naprawiał zdewastowane trochę po zimie ogrodzenie, a Natan, pełen dobrych chęci, przeszkadzał, jak tylko mógł. Mariola natychmiast zaciągnęła Anię do kuchni i nastawiając ekspres, spojrzała z uwagą na przyjaciółkę.

– Co się dzieje?

– To, co było do przewidzenia.

Z mizernym skutkiem Anna próbowała powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

– Doktorek się znudził i za chwilę będzie szukał następnej kretynki.

Mariola usiadła ciężko na krześle, nie odrywając spojrzenia od twarzy kuzynki.

– Nie wierzę – powiedziała z mocą naiwna romantyczka. –

Przecież jest w tobie zakochany do szaleństwa. Wszyscy to widzimy.

- To otwórzcie szerzej oczy. Dostał, co chciał, i koniec pieśni.

Mariola wstała i nie zważając na wczesną porę, nalała sobie sporą lampkę koniaku, po czym jednym haustem ją opróżniła.

- Rzucił cię?

Anka z całego serca pożałowała, że musi zadowolić się zwykłą kawą. Zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią.

- Właściwie to ja go rzuciłam - odpowiedziała szczerze.

Mariola poczuła chyba nagle braterstwo z żułami spod budki, gdyż nie bawiąc się w nalewanie w lampkę, pociągnęła długi łyk prosto z butelki.

- Czyś ty zwariowała? Przecież ty też jesteś zakochana do szaleństwa. I nie zaprzeczaj, bo to również wszyscy widzą.

- To otwórzcie wszyscy oczy po raz drugi - burknęła bez sensu policjantka.

Pociągnąwszy z gwinta ostatni łyk, Mariola odstawiła butelkę i usiadła obok Anny.

- Gadaj jak na spowiedzi. Nie fantazuj, nie upiększaj, tylko mów, jak było.

Anna stwierdziła, że może rzeczywiście poczuje się w końcu lepiej, jeśli wyrzuci z serca wszystkie swoje rozterki. Zastanawiała się, jak zacząć, w jakie słowa ubrać myśli, aby przyjaciółka zrozumiała, że to naprawdę nie ma sensu. Że od początku ten związek skazany był na niepowodzenie i miała rację, nie chcąc nawet oddychać tym samym co on powietrzem. Otwierała usta, aby zacząć swą przemowę, gdy odezwała się zniecierpliwiona Mariolka.

- Na pewno poszło o ten kretyński artykuł.

Anka z powrotem zamknęła usta.

- Przeczytał, zobaczył zdjęcie i się wściekł. Tak?

Zdumiona Anna pokiwała głową.

- Mniej więcej.

- Nawrzeszczał na ciebie, a ty się obraziłaś, podniosłaś dumnie łeb i wyszłaś, trzaskając drzwiami. Tak?

- Był tu się pożalić? - Anka znów poczuła złość na obłudnego, cholernego doktora.

- Boże... Jaka ty jesteś tępa... - Mariola pokiwała głową nad oniemiałą Anną. - Przecież to był najnormalniejszy w świecie atak zazdrości. I świadczy wyłącznie o tym, że on cię kocha, jełopie.

- I dlatego, że mnie kocha, zarzuca mi kłamstwo, obłudę i wszystko co najgorsze? To ja dziękuję bardzo za taką miłość. Niech ją zachowa dla innych masochistek, ja się do nich nie zaliczam. Ja jestem hedonistką.

Uśmiechnęła się z ironią na dźwięk własnych słów i wspomnienie ostatnich dni, które z hedonizmem niewiele miały wspólnego. Czuła złość już nie tylko na doktora. Jej najlepsza przyjaciółka wmawiała jej, że Ajron nawrzeszczał na nią z wielkiego uczucia, a ją samą wyzywa od jełopów.

- Sama jesteś tępa. To co? Według ciebie powinnam mu podziękować, że mnie posadził o lewe bzykanko, i jeszcze może nadstawić policzek, żeby mógł się wyżyć, trzaskając mnie po mordzie? Sama zwariowałaś!

Anna zaczynała żałować, że wdała się w tę idiotyczną dyskusję i że w ogóle wpadł jej do głowy przyjazd do tego gniazda świętoszków.

- Jak przylezie do ciebie drugi raz, to powiedz mu, żeby do mnie nie wydzwaniał.

Zerwała się z krzesła z zamiarem natychmiastowego opuszczenia swojej byłej przyjaciółki kolaborującej z jej byłym, cholernym doktorem. Mari siłą posadziła kuzynkę z powrotem na krześle.

- Siadaj, jełopie. Nie było go tu. Boże... Niby jesteś taka mądra, a tak kretyńsko się zachowujesz.

- Sama się kretyńsko zachowujesz.

Anna czuła, że ta rozmowa trąci infantylną kłótnią, jakie przeprowadzały namiętnie w dzieciństwie, ale nie mogła się opanować. Mariolka wyłapała z jej pełnych złości słów tylko jedno stwierdzenie:

- Dzwonił do ciebie? Co mówił?

- Nic. Nie odebrałam.

- Boże... Zadzwoń do niego.

- Chyba żartujesz. Po moim trupie!

Anka zamilkła, przypominając sobie z wielką ostrością, że jedną taką obietnicę już złamała. I to z wielką radością. Przypomniała sobie również pełen motyli w brzuchu i szczęśliwych błysków w oku czas, będący skutkiem niedotrzymania owej obietnicy. Duma i upór wciąż jednak wygrywały ze słowami kuzynki i Anna nie miała najmniejszego zamiaru słuchać rad Marioli.

- Łatwo ci się mądrzyć. To nie ty ryczysz całymi nocami i nie chodzisz jak błędna owca, nie wiedząc, co się dookoła ciebie dzieje. To nie ty rzygasz z nerwów co rano do kibla. Nie nasłuchujesz idiotycznie kroków na schodach albo nie patrzysz w wyłączoną komórkę, jakbyś myślała, że nagle ożyje i zagra ci „Marsz Mendelssohna”. To ja zachowuję się, jakbym spadła z jego Primy prosto na swój pusty łeb.

Mariola znów usłyszała tylko jedno zdanie.

- Wymiotujesz co rano do kibla?

- Głucha jesteś? Przecież mówię.

Zbladła, gdy zrozumiała, o co chce zapytać Mari.

- Zwariowałaś - powiedziała bez tchu. - To niemożliwe...

*Jasna cholera... To jak najbardziej możliwe...* Okres spóźniał się kilka dni, ale Anna zrzuciła to na karb nerwów i zmęczenia. *Boże... co za kretynka ze mnie...* Jakoś nie wpadło jej do głowy, że kosmiczne przejażdżki mogą mieć wcale niekosmiczne następstwa.

Jako że do tej pory prowadziła raczej wstrzemięźliwy tryb życia, nie zażywała żadnych pigułek ani nie stosowała innych środków antykoncepcyjnych. Do zeszłego roku, w przypadku spontanicznej potrzeby lub niespodziewanego zwrotu jakiejś akcji, zdawała się na starą, poczciwą prezerwatywę, i już następnego dnia zapominała o miłym incydencie.

*A on co? Pan doktor nie wiedział, że może wystrzelić ze swojego glocka małego Ajronka?*

Spojrzała na obserwującą ją uważnie Mariolkę. Twarz policjantki, reagująca impulsywnie na każdą przewijającą się przez mózg myśl, powiedziała kuzynce wszystko. Nie trzeba było żadnych więcej słów. Anka przełknęła ślinę i z paniką w oczach zwróciła się do przyjaciółki.

- Jasna cholera, Mari... Masz jakiś test?

Mariola przecząco pokręciła głową.

- Muszę jechać.

Tym razem kuzynka nie usiłowała jej powstrzymać. Domyślała się, jakie emocje szaleją w sercu Anny, i zastanawiała się nad spustoszeniem mózgu, które mogło wywołać tylko bardzo intensywne uczucie.

Trochę ponad godzinę wcześniej jechała wolno, delektując się drogą. Teraz przyciskała mocno pedał gazu, a pola i drzewa były ostatnią z myśli, jakie kotłowały się w jej głowie. *Matko jedyna... gdzie ja miałam głowę...?* - pytała sama siebie, choć doskonale znała odpowiedź. Jej głowa, podobnie jak i pozostałe części ciała, była w chmurach i bujała się rozkosznie, dając rozumowi wolne. *Samotna czterdziestoletnia matka, która sama ze sobą nie może dać rady... Hit sezonu.*

Gdzieś w najdalszym i najmniejszym zakamarku serca poczuła radosne podniecenie na myśl o małym bobasku z czarnymi oczami. *Nie... to byłoby zbyt idiotyczne* - doszła do wniosku tuż przed

Choszcznem, ale jakim cudem wysnuła ten wniosek, sama nie umiałaby powiedzieć.

Dziesięć minut stała pod apteką, zanim odważyła się wreszcie wejść do środka i stanąć w krótkim ogonku. Gdy nadeszła jej kolej, wciąż nie mogła uwierzyć w swoją bezmyślność. Mając do wyboru kilka rodzajów testów, wybrała ten niewymagający próbki z porannego moczu. *Chyba oszalałabym z niepewności, czekając całą noc.* Anna nie bała się wyzwania. I choć potencjalny, mały Ajronek nie byłby dla niej końcem świata, mimo wszystko wolałaby jednak nie przywozić z międzyplanetarnych podróży żadnych pasażerów na gapę.

Po powrocie do domu natychmiast otworzyła niewielkie pudełeczko i poszła do łazienki. *Boże drogi... Niech to jednak będzie menopauza...* Bóg nie wysłuchał błagań swej mało gorliwej służebnicy, postanowiwszy pewnie, że przyda mu się jeszcze kilka owieczek, i Anna zastygła w niedowierzaniu, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w dwa błękitne paseczki...



## ROZDZIAŁ 24

Następnego dnia zrobiła sobie jeszcze trzy testy. Na jednym ujrzała dwie, identyczne jak wczoraj, niebieskie kreski, na drugim różową linię, a na trzecim fioletowe kółeczko. Niestety, wszystkie te symbole jednoznacznie wskazywały, że od tej pory powinna o sobie mówić: „my”.

Po porannym tête-à-tête z muszlą klozetową usiadła, aby zastanowić się, co dalej. *Raczej zbyt długo nie uda mi się zachować tajemnicy* – pomyślała całkiem rozsądnie. Po wymiotowaniu śniadania pojechała do Aleksandry. Bratowa powitała ją ubrana w kwiecisty fartuszek. Piotrek był wyjątkowo w domu i kiwnąwszy siostrze głową na powitanie, poszedł do góry, niosąc jakieś deski.

- Cześć. Wchodź. Masz ochotę na crème brûlée?

- A śledzia nie masz? – zapytała ironicznie Anka, choć tak naprawdę na nic nie miała kompletnie ochoty. - Jak tam twoje przygotowania do konkursu? – zapytała, chcąc odwlec czas odpalenia petardy.

- Weź nic nie mów... W sobotę jadę do Szczecina. Jestem żywym, chodzącym kłębkim nerwów. Ledwie żywym – westchnęła ciężko Ola. - Piotrek mnie zawiezie... Aha. I w związku z tym musimy przełożyć nasz basen. Może na środę? Jak pracujesz?

Z aerobikiem nic nie wyszło, ale basen nadal znajdował się w ich cotygodniowym grafiku. Może nie tak regularny, jak jeszcze w marcu, ale obie kobiety z przyjemnością pływały i relaksowały się w jacuzzi lub saunie. *Albo teraz, albo dopiero, jak mnie wypcha* – postanowiła Anna.

- Przykro mi, ale na jakiś czas muszę zrezygnować z basenu.

- No weź... Nie możesz sobie tamponu włożyć?

- To właśnie z powodu... hm... pewnego rodzaju tamponu.

Mimo powagi sytuacji nie mogła się powstrzymać od krótkiego chichotu. Aleksandra, dobra dusza, zaniepokoiła się od razu.

- No nie gadaj... Teraz taki szajs produkują... Mówiłam ci, żebyś używała tylko tych, które ci poleciłam. Pękł czy co?

- Ekspłodował – potwierdziła Anna.

- Jezus Maria! Byłaś u lekarza?

Jakimś sposobem Annie poprawił się humor.

- Jeszcze nie. Na razie potwierdziłam to domowymi sposobami.

Słowa policjantki zaintrygowały Olę.

- Czyli jak? Lusterkiem?

- Nie. Sikałam.

Aleksandra nie mogła nadążyć za tokiem myślenia swojej zwariowanej szwagierki.

- Weź się nie nabijaj. Serio się martwię.

- A ja serio mówię.

Anka postukała się w pierś. Olka nadal była zdezorientowana.

- I co? Sikałaś z krwią?

- Wręcz przeciwnie.

Anna wciąż zachowywała powagę, choć od wewnętrznego śmiechu zaczynał boleć ją brzuch. Aleksandra nadal próbowała odkryć przyczynę krępującego problemu Ani.

- A to był taki z aplikatorem, czy wkładałaś po prostu palcem?

- Nie... Palcem nie.

- To czym?

- Glockiem.

Dobroduszna Ola popukała się w głowę i stwierdziła, że nie będzie gadać z nabijającą się z niej w żywe oczy wredną policjantką, po czym wróciła do garów. Anka zachichotała głośno.

- To ile czasu nie będziesz chodzić na basen? - zapytała jeszcze lekko obrażona, ale chcąc mieć jasność sytuacji Aleksandra.

- Co najmniej dziewięć miesięcy - odpaliła w końcu petardę Anka.

Olka ponownie popukała się w głowę, patrząc na komediantkę, która ze wszystkiego robiła sobie żarty.

- Bardzo zabawne, wiesz? - obruszyła się. - Czas już na ciebie najwyższy. Jeszcze trochę i będzie za późno.

- Chciałaś i masz.

Ola zamarła z widelcem w ręku i popatrzyła na wyjątkowo poważną Annę.

- Co?!

W odpowiedzi policjantka pokiwała tylko głową.

- Nie wkręcasz mnie?

Tym razem Anna gestem zaprzeczyła. Twarz Oli zamieniła się w jedno wielkie szczęście, ale zamiast rzucić się przyszej mamie na szyję, przeraźliwie wydarła się w kierunku schodów:

- Pioootreeek!

Rozległ się hałas i przerażony mężczyzna, wpół schodząc, wpół zbiegając, wpadł do kuchni.

- Rany boskie, co się stało?

Piotr z niepokojem wodził wzrokiem od siostry do żony. Olka zalała się rzewnymi łzami.

- Będziemy mieli dziecko!

Mężczyzna stanął jak wryty.

- Co?

- Będziemy mieli dziecko!

Przeszcześnie Aleksandra rzuciła się mężowi na szyję. Anka patrzyła na to, a w jej sercu, oprócz ciepła, narastał lekki żal pomieszany z zazdrością. Wyraz twarzy Piotrka zaczął się zmieniać. Niepokój w oczach przeszedł w radosny, choć trochę zdziwiony uśmiech.

- Jesteś pewna? - zapytał, głaskając żonę po włosach.

- Anka mówi, że tak - zaszłochała w mężowską koszulę Ola.

Piotrek zdziwił się trochę, bo nie kojarzył, aby jego siostra ukończyła ostatnio jakiś kurs pielęgniarstwo-położniczy. Doszedł jednak do wniosku, że po Annie wszystkiego można się spodziewać. Uśmiechnął się do policjantki i przytulił mocniej żonę.

- Bardzo się cieszę, kochanie. Może tym razem będzie w końcu chłopiec...?

- Czy chłopiec, czy dziewczynka, wszystko jedno. Grunt, żeby zdrowe było - rozsądziła Ola z rozanielonym uśmiechem.

- Ale dziewczynki tak by się z chłopca ucieszyły... - marzył nadal tatuś.

- A ty, Ania, kogo byś wolała? - Aleksandra uśmiechnęła się ciepło do szwagierki.

- Tak jak ty. Aby zdrowe było - policjantka przyznała rację bratowej.

- Tylko pamiętaj o łykaniu witamin. - Aleksandra już zaczynała dyrygować. - I piersią musisz karmić przynajmniej z pół roku.

- A dlaczego ona ma karmić piersią naszego syna? - zdenerwował się nagle Piotrek. - Sama nie możesz?

Obie kobiety ze zdziwieniem spojrzały na Piotra.

- Czego sama nie mogę? - chciała upewnić się Ola.

Piotrek zwątpił na widok rozszerzonych oczu żony i chichotu siostry.

- No... karmić naszego dziecka...

Anka spadła z krzesła na podłogę, a Olka popatrzyła na męża z politowaniem.

- Jaki ty durny jesteś. Przecież to nie ja, tylko Anka jest w ciąży.

Ogłupiały kompletnie mężczyzna spojrzął jeszcze raz na obie kobiety i klapnął całym ciężarem wcale niedrobnego ciała na kuchenny taboret.

- **N**ie ma innej opcji, to oczywiste, że musisz powiedzieć Ajronowi.

Po tym, jak ucichły euforyczne krzyki Aleksandry i zakończyło się niedowierzające milczenie Piotrka, nadeszła pora na poważną rozmowę. Mężczyzna, wciąż lekko oszołomiony, wrócił do swojej pracy, a obie kobiety, matka i przyszła matka, zasiadły w kuchni przy filiżance herbaty.

- No przecież wiem.

Anna zdawała sobie sprawę, że mimo własnej niechęci do ponownego nawiązania kontaktu z wkurzającym doktorkiem jest mu winna przekazanie tej, raczej niespodziewanej, informacji.

- Ale nie wiem jak - przyznała szczerze.

- Najlepiej normalnie. - Ola nie widziała problemu. - Zadzwoń, umów się i już.

Aleksandra była pewna, że gdy tylko ujrzą się nawzajem, jeszcze przed wszelkimi rozmowami, poważnymi czy nie, uczucie przewycięży głupie nieporozumienia i zakochani wpadną sobie w ramiona, niczym w romantycznym filmie. Anka była bardziej pragmatyczna i przewidywała same kłopoty. A jeśli już film, to raczej horror.

Po powrocie do domu długo się zastanawiała. Kilka razy brała w dłonie komórkę i odkładała ją z powrotem. *Jutro, pomyślę o tym jutro* - postanowiła wzorem Scarlett O'Hary i poszła spać.

Nie dane jej było dotrzymać własnej obietnicy, gdyż sen nie

nadchodził, a jej myśli wciąż krążyły wokół tych samych tematów. Widziała siebie, spacerującą z wózkiem i rozmawiającą z innymi mamami o pieluchach i odżywkach. Nie umknęło jej uwadze, że owe mamy były o piętnaście lat młodsze. Widziała, jak, umordowana kolkami i wiecznym płaczem nie wiadomo z jakiego powodu, strzela sobie w łeb z ukochanego glocka. Malowała w głowie obrazy szczęśliwego Ajrona spacerującego z wydrą lub jakąś inną zwierzyną łowną, podczas gdy ona z ryczącym tłumoczkim przez kilka godzin czeka na wizytę lekarską. *Matko jedyna. Nawet kielicha nie mogę sobie strzelić na poprawę humoru...*

Po chwili jednak, przypomniawszy sobie Aleksandrę i Mariolę, stwierdzała, że przecież nie jest od nich gorsza. Skoro one dały radę z tym niewykonalnym, zdawałoby się, zadaniem, zwanym opieką nad dzieckiem, to da i ona. *Jednak szkoda by była, gdyby maluch już na starcie pozbawiony był drugiej pary rąk do obsługi* – pomyślała praktycznie.

Nie wiadomo, czy to lenistwo, obawa, czy tęsknota za Ajronem, spowodowało, że postanowiła jutro po pracy do niego zadzwonić. Uspokojona podjęciem decyzji, usnęła kamiennym snem.

**W** pracy zawsze zdążyć się pochwalić – stwierdziła beztrąsko i osiem godzin minęło jej tak jak zawsze. Wyjątkiem był duży bukiet czerwonych róż, pyszniący się na biurku, w komplecie z kolejną przepaszającą kartką. Tym razem kwiaty nie wylądowały w koszu, tylko pojechały razem z nią do domu i zamieszkały w wazonie na stole.

Popołudnie z kolei było bardzo stresujące. Po pracy poszła na zakupy i przywiozła do domu stos niepotrzebnych rzeczy. Po zerknięciu przez okno stwierdziła, że nic prawie nie widać i niezbędne jest natychmiastowe przetarcie szyb. Po wstawieniu

czystych rzeczy do prania i ponownym wyprasowaniu załatwionej już wczoraj kupki z fotela nie znalazła żadnych więcej wymówek i z niechęcią podniosła ze stołu telefon.

Kilka minut wpatrywała się w niego i gdyby wzrok mógł zabijać, z komórki, oprócz kilku stopionych elementów, nie pozostałby żaden ślad. Z olbrzymim samozaparciem, po uprzednim zerknięciu na kwiaty, wyszukała numer Ajrona i z drzeniem serca przycisnęła zieloną słuchawkę. Po kilku sygnałach, akurat w momencie, gdy z ulgą chciała zakończyć połączenie, usłyszała głos. Nie ten, którego oczekiwała. Zdecydowanie nie ten...

- ...Już idę, kotku... Słucham? - odezwała się swym słodko-wrednym głosikiem wydra.

Anka przez chwilę nie mogła wypowiedzieć słowa. W pierwszym odruchu chciała się rozłączyć, ale satysfakcja Mirelli nie dawałaby jej spokoju co najmniej przez stulecie.

- Cześć. Daj mi Ajrona.

- A kto mówi?

- Jest napisane na wyświetlaczu.

- Och... Anka...

- Tak? Ostatnio było napisane „Zajebista Blondyna”.

- No wiesz... Gusta się zmieniają...

Głos w słuchawce doprowadzał Ankę do szaleństwa.

- Daj mi Ajrona - powtórzyła, choć gdyby teraz usłyszała jego głos, to sama nie wiedziała, czym mogłoby się to skończyć. Pewnie kolejną awanturą.

- Kogo? Pomyłka chyba.

- Pomyłka to ty masz na imię. Ajrona mi daj, mówię.

W słuchawce zabrzmiało pełne zachwyty westchnięcie.

- Prysznic bierze. Ale jak chcesz, to mu zaniosę telefon. Właśnie mnie woła, żebym plecki mu umyła. To co?

- Nie fatyguj się. Przekaż, że dzwoniłam.

- Jasne.

Fałsz i samozadowolenie w jej głosie mówiły Annie wyraźnie, że szybciej przekaże mu numery swoich kont i futro z lisów niż informację o jej telefonie. Rozłączyła się i z całych sił walnęła komórką o ścianę. Podeszła do stołu i róże wraz z wazonem wylądowały w śmietniku.

Nie dała rady trzymać już dłużej fasonu. Gdy obie przyjaciółki, Mariola i Aleksandra, weszły do jej kawalerki, rozryczała się jak dziecko. Siedziały w milczeniu z pochylonymi głowami i zerkwały ze smutkiem na niecodzienny widok. Bo płacząca rzewnymi łzami, twarzą, pocieszająca wszystkich policjantka to był naprawdę nieczęsty obrazek.

- Ja i tak jestem dalej pewna, że da się to jeszcze jakoś logicznie wytłumaczyć - odezwała się Mariola.

Ola z zapalem pokiwała potakująco głową.

- Oczywiście, że da się wytłumaczyć - odpowiedziała Anna głosem zmienionym przez łzy. - Stwierdził, że dość się już przeproszał. Zamknął krótki rozdział pod tytułem „Anna” i rozpoczął kolejny, pewnie równie krótki rozdział pod tytułem „Cholerna Mirabella”.

- Nie bądź tego taka pewna. - Mariola nie dawała się tak łatwo przekonać. - Przecież sama mówiłaś, że to śliska wydra. Może prawda wyglądała zupełnie inaczej?

Potakujące kiwnięcie Olki było jeszcze energiczniejsze niż poprzednio, ale Anka już się opanowała. Wytarła z twarzy ostatnie łzy i spojrzała poważnie na obie kobiety.

- Nieważne. Skoro tak prędko się pocieszył, to trudno. I obiecacie mi, że żadna z was nie poleci do doktora z awanturą. A już, broń Boże, na żadną poważną dyskusję o obowiązkach



rodzicielskich. Sama mu powiem w odpowiednim czasie.

- To znaczy kiedy?

Oli nie spodobały się słowa szwagierki. Mariolka również miała minę, która jednoznacznie wskazywała, że w tym wypadku wyjątkowo nie zgadza się z przyjaciółką.

- Jak dzieciak skończy osiemnastkę... - burknęła w odpowiedzi atakowana spojrzeniami Anna. - Nie wiem jeszcze - sprostowała szybko, zanim obie kobiety zdążyły otworzyć usta w zdecydowanym sprzeciwie.

Wiedziała jedynie, że aby cokolwiek postanowić, musi nabrać dystansu. Musi przestać działać emocjonalnie, przestać rozmyślać całymi godzinami i analizować każdy szczegół. *Podjęmę decyzję wtedy, kiedy mój uśpiony rozum się obudzi i znów będę mogła racjonalnie myśleć* - postanowiła.

**T**rafił jej się cały wolny weekend. Być może nie była to jej najszczęśliwsza, a z pewnością nie najmądrzejsza myśl, ale postanowiła wyjechać do Kołobrzegu. Zatrzymanie się w tym samym hotelu byłoby zbyt wielkim masochizmem, ale znalazła miłe miejsce niedaleko plaży.

Okutana w ciepłą kurtkę i zaopatrzona w szalik i rękawiczki, spędzała tam całe godziny, siedząc na hotelowym leżaku lub spacerując wolno brzegiem wzburzonego morza. Kwiecień-plecień postanowił, że ten weekend będzie wietrzny, i długie włosy Anki fruwały bezwładnie dookoła twarzy, tak samo, jak kotłowały się myśli wewnątrz jej głowy. Postanowiła nie roztrząsać już złych wspomnień. Skupiła się na dobrych, aby po odpowiednim skatalogowaniu upchnąć je gdzieś na samym dnie serca i zapomnieć niczym o starych fotografiach w pawlaczu, wyciąganych po latach z sentymentem.

Przypominała sobie wszystkie spojrzenia i dotknięcia. Zabawne

przekomarzania, które po przeistoczeniu się w zajadłe kłótnie kończyli gorącym godzeniem się. Wspominała ich wielogodzinne rozmowy o życiu, ludziach, pasjach i uczuciach. *Nigdy nie powiedział, że mnie kocha* – stwierdziła po raz kolejny. *No, ja jemu też nie...* – dodała uczciwie.

W niedzielne popołudnie siedziała na leżaku z szarpaną przez wiatr książką w ręku. Mimo dobrych chęci ani jedno słowo w niej zapisane nie dotarło jeszcze do jej mózgu. Po kolejnej nieudanej próbie przeczytania tej samej strony podniosła wzrok, obserwując zbliżający się od strony Grzybowa tuman kurzu. Po kilku sekundach spośród kłębow wznieconego kopytami piachu i rozproszonych kropeł morskiej wody wyłoniły się sylwetki dwóch jeźdźców. Z zachwytem patrzyła na zbliżającą się parę.

Mężczyzna dosiadał kasztanowego konia, a na białym rumaku pędziła towarzysząca mu amazonka. Wiatr szarpał wydostającymi się spod jej toczka blond włosami. Gdy byli jakieś dwieście metrów od Anny, zwolnili i wstrzymując pełne energii konie, odpoczywali po szalonym galopie, uśmiechając się radośnie do siebie i całego świata.

Nieliczni spacerowicze wyciągali aparaty lub telefony i robili zdjęcia niecodziennej parze. Idąc stępa obok siebie, jeźdźcy rozmawiali o czymś i poklepywali spocone końskie karki. W pewnym momencie kasztan zatrzymał się i podniósł ogon. Z końskiego zadu wprost na piaszczystą plażę wypadły parujące w zimnym powietrzu, przetrawione resztki obroku. Mężczyzna, przy akompaniamencie śmiechu towarzyszącej mu kobiety, z gracją zeskoczył z siodła i sprawnie zgarnął końskie odchody do niebieskiego worka. Podprowadził rumaka do kosza na śmieci, pozbył się swego śmierdzącego balastu i z powrotem dosiadł kasztana. Chwilę poprawiał coś przy siodle, po czym oboje jeźdźcy docisnęli łydki i kilka sekund później Anna widziała już ponownie tylko tuman kurzu i dwa szlaki głębokich śladów na mokrym piasku, zarysowane

końskimi kopytami.

*Takie jest właśnie życie - pomyślała Anna filozoficznie, wstając z leżaka i otrzepując koc. Pędzisz przed siebie, jesteś szczęśliwa, ziemia umyka spod twoich stóp, a wiatr nie może cię dogonić i nagle, ni stąd ni zowąd, zatrzymuje cię w pół kroku jakieś gówno... Martwisz się, analizujesz, ryczysz... A czasami wystarczy po prostu wywalić to gówno do śmietnika...*

Dziwnie pokrzepiona tymi myślami wróciła do hotelu i zaczęła pakować walizkę.

## ROZDZIAŁ 25

*To był dobry pomysł* – doszła do wniosku, wsiadając do samochodu w poniedziałkowe przedpołudnie. Do pracy miała na dziesiątą, a w planie same zaległe raporty, więc ubrała się w wygodne dżinsy, pozostawiając mundur w szafie.

Pozwoliła sobie na dłuższy sen i po nieudanej próbie zjedzenia śniadania oraz szybkim prysznicu była gotowa na zmaganie się z kolejnym dniem. Szum morza i samotność dobrze wpłynęły na jej samopoczucie. Długie, nieśpieszne spacerowanie naładowały wyczerpane do cna akumulatory i pogodzona, przynajmniej chwilowo, ze swoją sytuacją samotnej czterdziestoletniej matki Polki powoli jechała w stronę komendy.

Codziennie oglądane widoki nabrały innego wymiaru. Przez szyby samochodu obserwowała place zabaw pełne bawiących się dzieci i kolorowe wystawy sklepów z zabawkami. Zatrzymywała auto, gdy widziała zbliżające się do przejść dla pieszych matki pchające dziecięce wózki, choć wcześniej na taki widok przyciskała z irytacją pedał gazu, chcąc zdążyć pokonać pasy przed rozglądającymi się po sto razy na boki kobietami. Uśmiechała się na widok niezgrabnego człapania ciężarnych i był to uśmiech pełen sympatii, który pojawił się w miejsce wcześniejszego, współczującego

grymasu.

Już po przejściu pierwszych kilku metrów długim korytarzem poczuła, że w powietrzu wisi jakaś ekscytacja. Koledzy poruszali się energicznym krokiem i klepali wzajemnie po ramionach. Anna stanęła przed otwartymi drzwiami gabinetu Marka, zerkając ciekawie do środka. Komendant stał tyłem do niej i ścisnął rękę zadowolonemu z siebie Jerzynie.

- Panie podchorąży, gratuluję. To była naprawdę świetnie przeprowadzona akcja. Długo to trwało i wymagało wielkiego poświęcenia naszych ludzi, ale mamy gagatka. Jeszcze raz gratuluję.

Damian Jerzyna płonił się jak panienka, a w jego wzroku błyszczały duma i satysfakcja.

- Dziękuję bardzo, panie komendancie. Ale w olbrzymiej mierze jest to zasługa tego weterynarza.

Na słowo „weterynarz” Anna zamarła i zamieniła się w słuch, choć przecież w Choszczynie oprócz czarnookiego, przystojnego dupka było ich jeszcze kilku. Syknęła ze złością na jednego z kumpli, który, z pewnością złośliwie, tupał głośno ciężkimi buciorami, zagłuszając słowa dobiegające zza drzwi.

- Okazało się, że kłusownikiem był mieszkaniec Nowych Wiatraków. Doktor Medinopolus obserwował go już jakiś czas, odkąd nabrał pewnych podejrzeń - kontynuował Jerzyna, a Anka wpadła prawie do gabinetu na dźwięk znajomego nazwiska. - A nabrał ich po naszej pierwszej, nieudanej, zbiorowej akcji. To jakimś sposobem zaalarmowało Medinopolusa i zaczął uważniej przyglądać się swojemu pracownikowi.

- Bystry ten doktorek.

Jerzyna pokiwał z uznaniem głową.

- Po kilku tygodniach przyszedł do mnie z prawie gotowym raportem. Amatorskim oczywiście, ale bardzo prawdopodobnym. Powiedział mi, że dał pracę sąsiadowi, bo widział, że nie przelewa się

na jego podwórku. Nie płacił jednak tak dobrze, żeby tamten nagle aż tak się wzbogacił. Zaczął przychodzić w nowych ciuchach do brudnej roboty, na podwórzu pojawił się nowy ciągnik i tym podobne. Nie był to oczywiście dowód, ale to go zaalarmowało. Zaczął facet kombinować... Przypomniawszy sobie, że wielokrotnie widział sąsiada, jak ten z wyładowaną rzekomo chrustem furgonetką wyjeżdżał z lasu i jechał na targ sprzedać opał. A że mieszka we Wiatrakach od dziecka, las aż po samo Dziadowo zna jak własną kieszeń. A przecież właśnie w tym rejonie działał kłusownik.

Marek słuchał uważnie. Choć nie tak uważnie, jak podsłuchująca pod drzwiami Anka.

- Ale jak powiązał to wszystko z kłusownictwem? - zaciekawiał się Marek.

Jerzyna lekko się zasepił.

- No właśnie, tego nie chciał powiedzieć. Trochę się spłoszył, jak powiedziałem, że podejrzewam przeciek. Chyba, mimo swojej bystrości, ma za długi jęzor...

*Jezus Maria...* - załamała się Anka. *Nie on, tylko ja! To przez mój własny, cholerny jęzor nie złapaliśmy gnoja w tamten piątek...* Przypomniała sobie, jak wpadła do Ajrona z awanturą, nie patrząc na sąsiada wywalającego gnój ze stajni. *Słyszał mnie nie tylko ten cholerny woźnica, ale i całe Wiatraki...*

Podchorąży kontynuował swoją opowieść:

- Doktor mówił, że ostatnio źle sypia, i w piątek grubo po północy przyuważył na sąsiednim podwórku jakieś poruszenie.

*Czyli nie tylko ja nie przesypiam nocek...* - zamyśliła się Anna.

- Coś go podkusiło i pojechał za furgonetką swoim jeepem. Ze zgaszonymi światłami, niczym w jakimś filmie szpiegowskim.

Obaj policjanci zaśmiali się cicho. Usta Anny nawet nie drgnęły.

- Zaparkował nieopodal i poszedł w ślad za sąsiadem. Przyłapał typa na gorącym uczynku. Akurat opróżniał pułapkę, w którą złapała

się młoda sarna. Medinopolus miał ze sobą kamerę i nagrał go, gdy specjalnym kluczem rozwierał szczęki sideł. Niestety, został zauważony...

Słyszając słowa Jerzyny, Anna poczuła zimny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Dreszcz zamienił się w obezwładniającą panikę, gdy w pokoju zaległa cisza.

- Odważny człowiek... - odezwał się po dłuższej chwili komendant. - Choć głupi. Po co się narażał? Nie mógł zadzwonić na policję, zamiast leżać samemu? - W jego głosie zadźwięczały wyraźne nuty gniewu..

- Właśnie - przyznał ze smutkiem Jerzyna. - Poleciał, jakby mu życie zbrzydło. I ma...

Anka nie dała rady powstrzymać się już ani sekundy dłużej.

- Co ma?

Policjantka jak burza wpadła do gabinetu, nie zważając na żadne maniery.

- Co się stało z Ajronem?

Sama nie poznała swego piskliwego głosu. Obaj policjanci spojrzeli ze zdziwieniem na koleżankę.

- No jak to co?

Jerzyna wzruszył ramionami.

- To, czego można się było spodziewać po cywilu bawiącym się w policjanta. Dostał z breneki...

Anka nie usłyszała kolejnych słów. Jakaś wata otuliła jej mózg i kobieta patrzyła na poruszające się usta Jerzyny, nie słysząc nic oprócz słów galopujących w jej głowie. *Dostał z breneki... dostał z breneki...* W tym samym momencie w innym zwoju mózgowym słyszała słowa wypowiedziane przez Damiana kilka tygodni temu: *Może was zranić... Jeśli trafi w strategiczne miejsce, to nawet śmiertelnie...*

Nie wiedziała, skąd znalazła siły na wstanie z podłogi, na którą

się osunęła. Głos, który wydobył się z jej krtani, nadal nie był jej głosem.

- Gdzie on jest?

Krzyk przestraszył Marka jeszcze bardziej niż chwilowe omdlenie podwładnej.

- W szpitalu.

- W którym? Na Unii... na Arkońskiej...? - Anna już wybiegała z gabinetu.

- W naszym, choszczeńskim...

- Zwariowaliście? Zamiast wywieźć go do Szczecina, skazaliście go na naszych rzeźników!?

Stwierdziła, że szkoda czasu na bezzwłoczne zamordowanie szefa. Zrobi to później. Najpierw musiała natychmiast zobaczyć Ajrona.

Pielęgniarka Zosia dyskretnie poprawiła szminką usta. *Co za facet...* - pomyślała po raz kolejny. Na sali pooperacyjnej leżał mężczyzna z marzeń. Z najskrytszych, najgorętszych marzeń... Obejrzała go sobie uważnie, gdy przywieźli go nieprzytomnego po zabiegu. Miał piękne, umięśnione ciało i żadnego śladu obrączki. *Ta czarna to chyba nie żona* - doszła do wniosku, obserwując, jak pacjent odetchnął z ulgą po wyjściu wyfiokowanej paniusi.

Zerknęła na niego zza przeszklonej ściany, oddzielającej dyżurkę pielęgniarską od sali chorych. Leżał wygodnie na podniesionej poduszce i przeglądał jakieś czasopismo z dziedziny weterynarii. Nagle odłożył gazetę i niespokojnie spojrział w kierunku korytarza. Siostra Zosia rozpięła górny guzik fartucha i podniosła się z krzesła.

- Coś się stało, panie Arku? - zapytała troskliwie, podchodząc do łóżka. - Boli pana? Podać coś przeciwbólowego?

Mężczyzna przecząco pokręcił głową, nie odrywając spojrzenia



od przymkniętych drzwi. Zosia zmarszczyła brwi, słysząc dobiegające z korytarza odgłosy jakiejś awantury. *Co za ludzie...* – pomyślała z oburzeniem. *Nawet w szpitalu nie potrafią się zachować.*

Spojrzała na swego ulubionego pacjenta i jej brwi dla odmiany powędrowały do góry. *A temu co?* Pacjent odłożył gazetę, opuścił zagłówek łóżka i padł na poduszkę jak zemdlony. Zamknął oczy i wyglądał, jakby jego stan znacznie się pogorszył.

Właśnie miała zawołać lekarza, gdy otworzyły się drzwi i wpadła jakaś kobieta. Rozejrzała się szybko i podbiegła do łóżka, na którym leżał pacjent. Siostra Zosia z przerażeniem patrzyła, jak nieobliczalna blondyna szarpie biednego człowieka za ramię i wygaduje jakieś bzdury.

– Ajron! Ajron, ty durniu! Jak umrzesz, to cię osobiście zastrzelę!

Tego było za wiele. Siostra zapięła z powrotem guzik i zwróciła się do kobiety:

– Proszę pani. To jakieś kpiny. Proszę natychmiast zostawić pacjenta w spokoju. Przecież widzi pani, że on cierpi!

Na twarzy biednego mężczyzny pojawił się dziwny grymas. *Od czego mogło mu się tak nagle pogorszyć?* W swojej karierze pielęgniarka jeszcze nie spotkała się z takim dziwnym przypadkiem.

Blondyna puściła ramię mężczyzny i spojrzała na pielęgniarkę, po czym z powrotem jej wzrok skupił się na rannym. Dotknęła delikatnie ręką opatrunku na jego czole.

– Jasna cholera – odezwała się cicho, a w jej głosie siostra Zosia wyraźnie usłyszała tłumione łzy.

– Dlaczego w głowę? Nie mogłeś nastawić innej części ciała? Ręki... nogi... nawet swojego cholernego glocka?

Ponowny skurcz na twarzy pacjenta zaniepokoił pielęgniarkę nie na żarty.

– Proszę stąd wyjść – zażądała, patrząc na kobietę, która

najwidoczniej bardzo denerwowała spokojnie zachowującego się do tej pory chorego. – Muszę zawołać lekarza.

– To proszę wołać. Nie rozumiem, dlaczego tu pani jeszcze stoi – niegrzecznie odpowiedziała zapłakana blondyna.

– Proszę natychmiast wyjść albo zawołam ochronę – postraszyła ją Zosia.

Blondyna odrzuciła do tyłu długie włosy.

– Proszę wołać cały komisariat. Nikt mnie stąd nie ruszy.

Nie mając innego wyjścia, pielęgniarka zostawiła kobietę, która chyba nie miała zbyt dobrze poukładane w głowie, i poszła do dyżurki zadzwonić po lekarza. Na wszelki jednak wypadek nie spuszczała wzroku z podejrzanej i rannego.

Anna podsunęła sobie krzesło i złapała bezwładnie leżącą rękę. *Boże jedyny... Jak on wygląda...* Oczy Anny ponownie napełniły się łzami. Ajron był blady jak ściana. Przez środek czoła biegł opatrunek, policzek miał obdarty niczym po spotkaniu z szarżującym nosorożcem, a w zagięciu lewego łokcia tkwił wenflon z podłączoną do niego kroplówką. Lewą brew szpecił plaster, spod którego wystawały cieniutkie niteczki szwów. Mężczyzna miał zamknięte oczy i Anka nie wiedziała nawet, czy słyszy jej słowa.

Kilka słonych kropeł spłynęło miękko na białą, szpitalną pościel. Policjantka pochyliła się do ucha rannego, aby wścibska pielęgniarka patrząca na nią spod byka nie słyszała wypowiedzianych szeptem słów.

– Ajron... Proszę cię, wyzdrowiej... Nie możesz umrzeć i mnie zostawić. Nie chcę żyć bez ciebie. Obiecuję, że z uśmiechem będę gotowała ci obrzydliwe zupy grzybowe, a zbieranie twoich śmierdzących skarpetek stanie się moim ulubionym hobby...

Nie zdążyła na szczęście zobaczyć okropnego skurczu na jego twarzy, z pewnością spowodowanego jakimś strasznym bólem, bo otworzyły się drzwi i do sali wszedł drobny, ubrany w zielony kitel mężczyzna. Anna poderwała się z krzesła.

- Wreszcie! - krzyknęła. - Czy ktoś może mi w końcu powiedzieć, jaki jest jego stan?

Pan doktor spojrział na wysoką, zdenerwowaną blondynkę.

- Przykro mi, ale informacji o zdrowiu pacjenta udzielamy tylko najbliższej rodzinie. Kim pani jest?

- Jestem matką jego dziecka - odpowiedziała dumnie kobieta. - Chyba bliższą rodziną być już nie mogę, prawda? - dodała zaczepnie.

Doktor popatrzył na blondynkę, po czym stwierdził, że para jakoś wybitnie do siebie pasuje, więc nie doszukując się już problemów, skinął pojednawczo głową.

- Pana Medinopolusa przywieziono w sobotę o piątej rano - zaczął wyjaśnienia lekarz.

Blondyna słuchała uważnie, spijając wręcz słowa z jego ust.

- Miał rozcięty łuk brwiowy, podrapany do krwi policzek i ranę postrzałową lewego uda.

Kobieta potakiwała głową w rytm wypowiedzi. Nagle zgubiła wątek i jej głowa zatrzymała się w pół ruchu.

- Jak to: uda?

- No... uda.

Doktor również stracił wątek.

- To czemu ma obandażowaną głowę?

- Całe policzki i czoło zostały poranione gałęziami i korą z drzew - wyjaśnił drobiazgowo lekarz.

Kobieta stała nieruchomo.

- I od postrzału w udo jest nieprzytomny?

W głosie blondyny zabrzmiały tony sugerujące, że powątpiewa w lekarskie umiejętności pana doktora, w związku z czym mężczyzna lekko się zdenerwował.

- Proszę pani. A kto powiedział pani, że pacjent jest nieprzytomny? Na porannej wizycie czuł się doskonale i rozmawialiśmy nawet o rychłym wypisie do domu. Rana była na

szczęście płytka, łuk brwiowy został zszyty i nie ma żadnego powodu do dłuższej hospitalizacji. Przez dwie doby podamy jeszcze antybiotyki...

Lekarz podszedł do stojaka na kroplówki, sprawdził, czy wszystko w porządku, i zwrócił się do siostry Zosi:

- A właśnie... Siostro, czemu pacjent wygląda jak nieżywy?

Wszyscy obecni na sali wbili wzrok w leżącego nieruchomo mężczyznę. Pod wpływem spojrzeń pacjent zaczął opuszczać świat nirwany i spojrzał na Annę wzrokiem, który był całkowicie przytomny. Szeroko otwarte oczy Anny zaczęły się z kolei zmieniać w wąskie szparki. Ajron wyglądał, jakby pożałował swego nagłego ozdrowienia i najchętniej natychmiast wróciłby do swej tak udanie odegranej roli ciężko chorego. Z nadzieją spojrzał na lekarza.

- Panie doktorze. Proszę powiedzieć matce mojego dziecka, że potrzeba mi teraz dużo czułości, miłości i głaskania po głowie. A zakazane są krzyki, straszenie nagłą śmiercią i denerwowanie chorego.

Lekarz, poczuwając się pewnie do męskiej solidarności, z przekonaniem pokiwał głową.

- Tak jest - potwierdził, uśmiechając się do mężczyzny. Zwrócił spojrzenie na zarumienioną nie wiadomo dlaczego blondynkę. - Pani mąż ma absolutną rację. Proszę zostać i zadbać o jego dobre samopoczucie. Jeśli państwo sobie życzą, mogę zalecenia wypisać na recepcie.

- Poproszę - odezwał się pacjent. - Przyda mi się to na piśmie.

Pan doktor popatrzył na parę z uśmiechem i widząc, że sytuacja nie jest tak dramatyczna, jak opisała ją pielęgniarka, ruszył do drzwi.

- Siostro, proszę za mną - odezwał się jeszcze, widząc, że pani Zosia najchętniej jeszcze by została i z przyjemnością samodzielnie zrealizowała zalecenia lekarskie, wyręczając niezbyt palącą się do tego blondynkę.

Anna została sam na sam z Ajronem. Miała tę przewagę, że stała, podczas gdy on wciąż leżał w szpitalnym łóżku. Spojrzała z góry w czarne oczy i nie wiedziała, czy jest zła, czy szczęśliwa. Czy ma ochotę pocałować go prosto w uchylone lekko usta, czy zdzielić przez obandażowany łeb. Miała chęć na jedno i drugie. Pochyliła się nad milczącym mężczyzną.

- Wiesz o tym, że znajdę jakiś sposób na zemstę, prawda?

Pocałowała go delikatnie i tak samo czule walnęła po głowie. Ulga na twarzy mężczyzny ponownie wzruszyła ją do łez. Przytuliła twarz do jego dłoni i rozplakała się, pozwalając ujść wszystkim strasznym emocjom, które nagromadziły się tego przedpołudnia. Drugą ręką Ajron głaskał ją po włosach.

- Nie płacz. Wszystko skończyło się na strachu. Najważniejsze, że tu jesteś...

Podniósł jej głowę i popatrzył głęboko w zapłakane oczy.

- Powiniennem kłusownikowi postawić dobrą flaszkę za to, że mnie postrzelił.

Anna otarła oczy i uśmiechnęła się niepewnie wciąż drżącymi od płaczu ustami.

- Boże... Przez jedną, straszną chwilę myślałam, że już nigdy na mnie nie spojrzysz, że nigdy nie usłyszę twojego głosu, że nie będę miała szansy, żeby ci powiedzieć...

Łzy znów popłynęły cienką strużką.

- Cii... Nie musisz nic mówić. Ja też cię kocham. Nad życie... I zwalniam cię z obietnicy gotowania zupy grzybowej. Ale skarpetki to mogą się czasem jakieś trafić...

- Ajron... Ty durniu... - odezwała się przez łzy, ale słowa te zabrzmiały, jakby powiedziała największy z możliwych komplementów. - Ja też cię kocham, ale bałam się, że nie będę miała szansy powiedzieć ci czegoś całkiem innego...

## ROZDZIAŁ 26

Wróciła do domu późnym wieczorem. Marek zlitował się nad swoją impulsywną funkcjonariuszką i pozwolił jej nie wracać już tego dnia do pracy. Z pewnością zdawał sobie sprawę, że wszystkie raporty przez nią sporządzone będą się nadawać wyłącznie na makulaturę.

Siostra Zosia już dawno skończyła swój dyżur, gdy Anna zdecydowała się opuścić Ajrona. Zerknąwszy szybko na nocną pielęgniarkę, stwierdziła, że sześćdziesięcioletnia kobieta żadną miarą nie przypomina wydrowatej Mirelli i raczej nie powinna namieszać w świeżo odbudowanych relacjach z mężczyzną jej życia. Pocałowała go jeszcze raz i pojechała do siebie.

Leżąc w łóżku, ponownie przeżywała miniony dzień. Spokój poranka, podsłuchaną rozmowę i swój paniczny lęk. Szaleńczą jazdę do szpitala i własne łzy, które na widok ciężkiego, jak się zdawało, stanu mężczyzny lały się ciurkiem. *Jak tylko wyzdrowiejesz, zatłukę na śmierć!* – radość w jej sercu przeczyła mściwym słowom. Ulga, jaką doznała, przekonawszy się, że poskramiacz kłusowników jest cały i prawie zdrowy, powiedziała bardzo wiele o jej własnych uczuciach.

Uśmiechnęła się na wspomnienie miny pielęgniarki, która, wróciwszy po obchodzie do swojej dyżurki, ujrzała w jednym łóżku

dwójkę pacjentów.

- Proszę pani. Ja rozumiem, że pani się cieszy, ale to jest łóżko jednoosobowe. Proszę wyjść i usiąść na krześle. Chciałam przypomnieć, że pani jest tu gościem...

W odpowiedzi Anka jeszcze mocniej przyłgnęła do okrytej szpitalną piżamą piersi Ajrona. Mężczyzna objął ją ramieniem i zwrócił się do niezadowolonej pielęgniarki:

- Pani Zosiu. Żona była na długich poszukiwaniach. Nie wiedziała nic o wypadku i teraz ma wyrzuty sumienia, że tak podle mnie traktowała. Proszę jej pozwolić zostać w łóżku jeszcze trochę.

Uśmiechnął się, w całej okazałości prezentując dołki w policzkach, i jasne było, że siostrzyczka zmięknie. Popatrzyła jeszcze na Ankę z naganą w oczach i zamknęła się w swojej dyżurce, zostawiając ich oboje w spokoju.

- Niby na jakich poszukiwaniach byłam? - mruknęła, wkładając rękę pomiędzy lekko przetrzebione guziki szpitalnej bluzy i bawiąc się włosami na piersi Ajrona.

- Na poszukiwaniach zagubionego rozumu - syknął cicho, gdy w miejscu po rosnącym włosku poczuł ostry ból. - Jak mogłaś w ogóle przypuszczać, że łączy mnie coś z Mirellą? - W cichym głosie Ajrona brzmiało prawdziwe niedowierzanie.

- A jak ty mogłaś podejrzewać mnie o związek z Jackiem? - oburzyła się równie cicho.

- Masz rację - doszedł do wniosku Ajron i uśmiechnął się z lekkim smutkiem. - Oboje zgubiliśmy gdzieś nasze mózgi. Całe szczęście, że je odnaleźliśmy.

- Co do ciebie nie jestem pewna...

Milczeli, nie potrzebując już żadnych rozmów. Każdym dotykiem rąk, spleceniem palców i głębokim, pełnym ulgi i szczęścia westchnieniem mówili sobie wiele więcej, niż mogłyby wyrazić słowa.

- Ale przyznaj, że ona ci się podoba.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Konie też mi się podobają. I to o wiele bardziej. Albo piękny obraz czy muzyka...

Anka westchnęła zadowolona, ale wciąż jeszcze miała pytania.

- Taa. Nie z koniem jednak umówiłeś się w walentynki, tylko z wydrą.

- Poszedłem tylko po to, żeby obejrzeć sobie twojego chłopaka...

Usatysfakcjonowana odpowiedzią Anka pocałowała szybko Arka w szeroką pierś. Ajron plątał jej włosy, przesypując między palcami długie pasma.

- Dzwoniłam do ciebie. Odebrała wydra i powiedziała, że idzie umyć ci plecki - odezwała się znów po kilku chwilach.

Nic nie mogła poradzić na żal, który zabrzmiał zdradziecko w jej głosie. Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

- Przyjechała na konie. Po jeździe, niezbyt udanej zresztą, poszedłem umyć ręce i pewnie w tym momencie dzwoniłaś.

- Tak właśnie myślałam - skłamała, bo wizja wydry w pozycji na jeźdźca i spekulowanie na temat wierzchowca spędzały jej sen z powiek przez kilka długich nocy.

- Choć wciąż nie rozumiem, jak mogłeś uczyć ją jeździć, wiedząc, jaka jest podła.

Kolejny włos poszedł w ślady pierwszego.

- A co miałem robić? Ty nie chciałaś mnie znać, Mariola była obrażona, nawet mój pies na mnie warczał. Ile można się w sufit gapić?

Ajron złapał rękę Anny, szykującą się do depilacji następnego fragmentu skóry.

- I nie gnęb mnie. Słyszałaś, co mówił lekarz. Masz mnie głaskać po włosach, a nie je wrywać.

Ręka zmieniła zamiar i znów łagodnie głaskała męską pierś.

- Jeśli nie miało to być miłosne wyznanie, to co chciałaś mi



powiedzieć na łożu śmierci? – przypomniał sobie Ajron.

Anka uśmiechnęła się.

- To, co już usłyszałeś – odpowiedziała tajemniczo.

- Hm... – Mężczyzna zamyślił się. – Dowiedziałem się sporo. Że walczysz o mnie jak lwica, nie pozwalając się usunąć od mojego łóżka nawet brygadzie antyterrorystycznej. Że będziesz moją osobistą kucharką, a zużyte skarpetki są dla ciebie jakimś fetyszem... – Pomiął milczeniem utratę kolejnego włosa. – Że uwielbiasz brzmienie mojego głosu i nie chcesz beze mnie żyć...

Anna zaśmiała się zmysłowo i lekko zawstydzona przytuliła mocniej głowę do jego piersi. Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- No i dowiedziałem się, że mamy dzieci.

Ręka Anny znów zaczęła kręcić chaotyczne kółka.

- Chciałbyś?

Ajron westchnął z rozmarzeniem.

- Pewnie, że bym chciał.

Anna podniosła się na łokciu i spojrzała w ciemne oczy.

- Ajron... Wszystko, co tu usłyszałeś, jest świętą prawdą. Kocham cię, nie chcę bez ciebie żyć, chcę cały czas słyszeć twój wredny głos i chcę, żebyś patrzył na mnie swoimi diabelskimi oczyskami. No... może z tymi skarpetkami trochę przesadziłam, ale cała reszta jest najprawdziwszą prawdą.

Pełnia szczęścia na twarzy ukochanego trochę ją rozśmieszyła.

- Reszta jest prawdą – powtórzyła dobitniej, widząc, że do rozkochanego mózgu nic nie dociera.

Zamglone oczy zaczęły nabierać ostrości. Mężczyzna spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Chcesz powiedzieć...

Nie zamierzała mu ułatwiać.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś w... ciąży?

Obserwowała jego twarz. Szok w oczach zaczął przemieniać się w wielką radość. Wzruszona Anna skinęła głową.

- Chcę powiedzieć, że za dziewięć miesięcy będziesz zmieniać pieluchy jakiemuś czarnowłosemu maluchowi...

Siostra Zosia znów się zdenerwowała. Jej do niedawna ulubiony pacjent kompletnie zdurniał. Zaczął śmiać się głośno jak głupi do sera i obcałowywać blondynę, która zachowywała się, jakby była w jakimś całkiem innym przybytku, a nie w porządnym szpitalu miejskim. Dziewczyna piszcziała z radości i skakała prawie po łóżku. Zosia już widziała oczami wyobraźni burę, jaką dostanie od oddziałowej za zniszczony sprzęt szpitalny, bo pod wpływem harców dziwnej parki stojak na kroplówki przechylił się niebezpiecznie i poleciał z łomotem na wyłożoną kafelkami podłogę.

- Jutro odbieram go ze szpitala. Wezmę chyba jeepa, bo moja corsa jest taka mała, że byłoby mu niewygodnie. Wciąż go boli ta noga...

Mariola i Aleksandra patrzyły z uśmiechem na podnieconą przyjaciółkę. Błysk w jej oczach nie miał już na szczęście nic wspólnego z powstrzymywanymi łzami. A jeśli już, były to łzy wywołane całkiem innymi emocjami.

Siedziały na ganku w „Rapsodii”, korzystając z pełni wiosny i świecącego jasno majowego słońca. Anna łyknęła kawy z filiżanki i zwierzała się dalej:

- Jestem taka szczęśliwa... Lekarz mówił, że wszystko goi się bez problemów i nie będzie nawet śladu po tej idiotycznej, heroicznej akcji. Co za dureń... Gdy pomyślę, czym to wszystko mogło się skończyć...

- To nie myśl - odpowiedziała szybko Mariola, patrząc z niepokojem na twarz kuzynki. - Grunt, że wszystko sobie wyjaśniliście. No i że ten bandzior pójdzie za kratki. Nie mogę

uwierzyć, że to był ten sąsiad Ajrona...

Wszystkie trzy kobiety pokiwały głowami.

- Wydawało się, że to porządny facet. Trochę mrukliwy, ale normalny... - Mariola wciąż się dziwiła, gdy w jakimkolwiek doktorze Jekyll budził się pan Hyde i uczynny człowiek zamieniał się nagle w psychopatę.

- A jak twoje zdrowie? - zatroskała się Aleksandra, wskazując znacząco na wciąż płaski brzuch Anny.

- Świetnie - odpowiedziała policjantka. - Poranne mdłości przeszły jak ręką odjął i czuję, że mogłabym góry przenosić. - Roześmiała się wesoło, jakby właśnie przeniosła Śnieżkę w sam środek bieszczadzskich lasów. - Mogę jeść to, co chcę i ile chcę. A właśnie! À propos jedzenia, jak twój konkurs?

- Też świetnie - roześmiała się Ola. - Odpadłam. Piotrek i dzieci są zachwyceni...

Wesołe rozmowy i donośne śmiechy trwały jeszcze dobrą godzinę. Zapach kawy mieszał się z zapachem rozkwitających powoli bzów. Kozy pasły się na łące za płotem, z apetytem pałaszując zieloną trawę, zapominając powoli o sianie i całodziennym staniu w zamkniętej oborze. Ptaki fruwały bez odpoczynku, znosząc pracowicie zdobyty pokarm kolejnym świergocącym pokoleniom. Na wysokiej topoli w obszernym gnieździe pani bocianowa wysiadywała cztery jaja, a dumny tata stał na czerwonej nodze i klekocząc co jakiś czas, obserwował z uwagą, czy nigdzie nie czai się jakieś niebezpieczeństwo.

Polną drogą spacerowała para młodych ludzi trzymających się za ręce. Z zachwytem podziwiali wiosenny rozkwit życia. Maj obsypał kwieciami drzewa i krzewy. Bujna trawa pachniała świeżością i cieszyła oczy soczystą zielenią. Zakochani głęboko wciągali do płuc

pachnące słodko powietrze. Dziewczyna stanęła nagle.

- Spójrz...

- Nie dotykaj - przestrzegł ją chłopak. - Gdzieś blisko z pewnością znajduje się jej matka. Jak poczuje ludzki zapach, może odrzucić swoje młode.

Zatrzymali się w sporym oddaleniu, przyglądając się zwiniętemu w kłębek, leżącemu w kołysce z traw, małemu, nakrapianemu jelonkowi. Dziewczyna westchnęła z zachwytem.

- Jaki cudny...

Chłopiec odpowiedział uśmiechem.

- Ty jesteś cudna...

Młodzi zakochani cicho i ostrożnie odeszli, zostawiwszy bezbronną istotkę. Gdy tylko zniknęli z zasięgu wzroku, zza drzew wybiegła piękna, brunatno-czerwona łania i zawołała uspokajająco do głodnego maleństwa...

## EPILOG

Annę obudziło parcie na pęcherz. *Boże!... Znowu?* Wstawiała tej nocy już z dziesięć razy. Z wysiłkiem podniosła swe ciężkie ciało. *A ten oczywiście nawet nie drgnie.* Mimo natychmiastowej potrzeby pójścia do toalety nie oparła się pokusie zerknięcia na śpiącego obok mężczyznę. *Mam nadzieję, że synek będzie podobny do tatusia.* Twarz Ajrona była spokojna i zrelaksowana. Długie, czarne rzęsy ocieniały policzki, na których już ciemniał ślad zarostu. Cieniutka, biała blizna przecinała jego lewą brew. Uśmiechał się lekko przez sen i Anna poczuła, jak bardzo go kocha.

Odsunęła kołdrę, starając się nie obudzić mężczyzny. Od jakiegoś czasu spali pod oddzielną pościelą, bo jej olbrzymi brzuch potrzebował okrycia wielkości co najmniej spadochronu. Podpierając się rękami, usiadła i stopami wymacała kapcie. Odepchnęła się i z gracją mistrza sumo wstała z łóżka. Poczłapała do łazienki, za każdym krokiem masując bolący krzyż. *To jest wielka niesprawiedliwość. Facet strzela sobie z glocka i ma luz, a kobieta przechodzi koszmar...* – utyskiwała, siadając na toalecie. Ulga, jaką poczuła, była nagrodą za cały ten koszmar.

Sikała... sikała... sikała... *Jezus Maria! Nie mogę przestać...* Ulga zamieniła się w przerażenie.

- Aaajrooon!

Okazało się, że mężczyzna nie spał tak mocno, jak by się mogło zdawać. Zresztą wrzask Anki umarłego postawiłby na nogi. Ajron wpadł do łazienki i przecierając oczy z resztek snu, spojrzał na siedzącą wciąż na toalecie kobietę.

- Co się dzieje?

- Nie wiem. Nie mogę przestać sikać. Chyba wody mi odchodzą.

- Panika w głosie Anki momentalnie udzieliła się przyszłemu tatusiowi.

- Rany boskie!

Mężczyzna spojrzał na partnerkę, jakby powiedziała, że za chwilę będzie koniec świata.

- No, co się gapisz! Zrób coś!

Anka wciąż sikała.

- Ale co?

- Do cholery, jesteś lekarzem czy zdunem? Nie wiem co. Dzwon do Marczewskiego.

Ajron kręcił się we własnej łazience, jakby był tam pierwszy raz w życiu.

- A gdzie telefon? - zapytał w panice.

- Jezus Maria... W lodówce...

Anna załamała się doszczętnie, gdy durnowaty weterynarz pobiegł galopem do kuchni.

- Nie ma! - rozległ się jego wrzask wraz z odgłosem trzaśnięcia drzwiami lodówki.

*Jezus Maria...* Sikanie nagle się skończyło. Anna wstała, umyła się i przeszła do sypialni. Ubierając się w przygotowane wcześniej ciuchy, zawołała biegającego po domu Ajrona.

- Chodź tu, baranie.

Baran przybiegł w podskokach ze zbaraniałym wzrokiem.

- Weź moją torbę. Leży pod stołem. Tutaj, w sypialni -

sprecyzowała, bo mężczyzna już zaczynał poszukiwania gdzieś w najgłębszych czeluściach szafy. Mimo bólu zaczęła się śmiać. – Masz? To teraz kluczyki. Nie od corsy. Od jeepa. W corsie się nie zmieszczę – wydawała polecenia niczym generał przygląpiemu rekrutowi. – Jesteś w stanie prowadzić? – Spojrzała na jego ręce i westchnęła ponownie. – Dobra. Sama poprowadzę.

Mężczyzna wziął głęboki oddech.

– Czekał. Daj mi chwilę.

Otworzył okno i stał przez moment, wpatrując się w czarną noc. Jego ramiona poruszały się rytmicznie w takt głębokich oddechów i Anna uśmiechnęła się z czułością do jego pleców. Po minucie zamknął okno, ubrał się i przyklęknął przed kobietą.

– Już dobrze. Kocham cię.

Podniósł do ust jej rękę.

– Boli?

– Nie. Łaskocze...

Pod wpływem ostrego skurczu przeszła jej cała czułość.

– Możemy już w końcu jechać?

– Tak.

Ajron wstał i pomógł Annie podnieść ciężkie ciało z łóżka. Zeszli po schodach. Mężczyzna wrzucił walizkę na tylne siedzenie i odpalił silnik.

Zanim wyjechał, zadzwonił do szpitala, aby poinformować personel położnictwa, że są w drodze. Zatelefonował jeszcze do doktora prowadzącego ciążę Anny i z piskiem opon ruszył w kierunku Choszczna.

– Boże święty! Jedź szybciej! – ponagliła go Anka.

Ajron zerknął na licznik. Sto dwadzieścia na godzinę...

– Oddychaj, kochanie, oddychaj...

– Bardzo ci dziękuję, że mi o tym przypomniałeś... – odpowiedziała sarkastycznie Anna pomiędzy jednym a drugim

paraliżującym skurczem. Trzy minuty później Ajron parkował tuż pod znakiem zakazu i wyprowadzał klnącą na cały świat kobietę. Na izbie przyjęć Anna była pewna, że zwariuje. Ubrana w biały fartuch pielęgniarka z umiarkowaną ciekawością spojrzała na wchodzącą parę.

- Nazwisko? - odezwała się flegmatycznie, wyciągając jakiś druczek.

- Księżna Kate - zawarczała w odpowiedzi Anka, zginając się w pół.

- Oddychaj, kochanie, oddychaj... - Ajron zatrzeszczał jak zacięta płyta i zwrócił się do położnej: - Anna Sikora. Mamy na pojutrze umówione cesarskie cięcie z doktorem Marczewskim.

- No to chyba przyjechaliście trochę za wcześnie - ośmieliła się zażartować pielęgniarka.

- Za to dla pani zaraz może być za późno... - Anka nie miała tego dnia poczucia humoru.

- Oddychaj, kochanie, od...

- Zamknij się w końcu!

*Boże... nie dam rady...* Była już u kresu swoich możliwości, gdy nadjechał doktor Marczewski.

- Witam, witam, panie Arku. - Lekarz ściągał płaszcz, równocześnie podając rękę Ajronowi. - Widzę, że mamusia trochę się pośpieszyła. - Uśmiechnął się do Anny.

- Możemy już zacząć, panie doktorze? Nie wytrzymam z bólu.

- Wiem, jak się pani czuje... - mruknął współczująco, wzbudzając w rodzącej furie.

- A to niby skąd? Był pan kiedyś w ciąży? Proszę sobie przepchać dwie pomarańcze dziurkami od nosa, a to jeszcze nie będzie ten ból, który czuję ja! Więc proszę nie gadać głupot, tylko wziąć się do roboty! - Anka darła się już na wszystkich dookoła.

Pan doktor nie przejął się zbytnio, przyzwyczajony pewnie do



kulturalnych rozmów z rodzającymi kobietami. Nie wiadomo dlaczego, zamiast na Annę, popatrzył współczująco na Ajrona i wskazał wózek stojący przy ścianie.

- Proszę posadzić matkę i zawieźć na górę, już idę się przygotować. Za chwilę zaczynamy.

Dzień później Anna zapomniała o całym bólu. Spojrzała na Ajrona, który trzymał w dłoniach swego synka i patrzył z zachwytem na zaciśnięte piąstki maluszka. Opuściła wzrok na dziewczuszkę przyssaną do jej piersi. *Raz, a dobrze* - pomyślała z dumą. Po kilku minutach zamienili się tłumoczkami. Tatuś z jeszcze większym uwielbieniem podniósł niemowlaka i klepał go delikatnie po plecach. Braciszek jadł z równym apetytem, co jego starsza o pół minuty siostra.

- Mówiłem już, że cię Kocham? - zapytał Ajron.

- W ciągu tego kwadransa jeszcze nie. - Anna uśmiechnęła się do mężczyzny. - To co? Jaś i Małgosia?

Ajron potakująco kiwnął głową.

- Jaś i Małgosia. I postaramy się, żeby żyło im się jak w bajce.

Rodzice uśmiechnęli się do siebie. Mały Jaś usnął przy piersi mamy, a Małgosia ułała na plecy taty wypite wcześniej mleko. Za oknem grudniowy wiatr szarpał nagimi gałęziami drzew, a w sercach Anny i Ajrona nieprzerwanie panoszył się gorący maj.

KONIEC

## OD AUTORKI

**B**ardzo dziękuję wszystkim Czytelnikom, którzy zdecydowali się ponownie mi zaufać i sięgnęli po niniejszą powieść. Mam nadzieję, że się nie zawiedliście i podczas lektury uśmiech nie schodził z Waszych twarzy.

Dziękuję Agnieszce, Ani i Karolinie - moim pierwszym, nieformalnym recenzentkom, męczącym się nad niepoprawionymi, surowymi rozdziałami. Szczególnie gorąco dziękuję Małgorzacie i Wioli, choć wyrazy wdzięczności wcale im się nie należą, bo zamiast recenzować, wyłapywać nieścisłości i konstruktywnie krytykować, śmiały się tylko jak szalone i zmuszały mnie do katorżniczej wręcz pracy, choć i tak moje palce tańczyły po klawiaturze laptopa z prędkością skrzydeł kolibra.

Mam nadzieję, że mieliście Państwo tyle samo przyjemności i radości podczas czytania, co i ja w trakcie pisania tej powieści.

Pozdrawiam serdecznie!  
Joanna Kupniewska

# Spis treści

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

EPILOG

OD AUTORKI